

FORUM 40-41

MYŚLI WOLNEJ

Krakowski magazyn racjonalistów



JANINA BERDAK, 1971 r. Narodziny wiosny, olej, płótno, 70x50cm

W numerze m.in:

- **TADEUSZ BOY-ŻELEŃSKI**, Dobre rady pani Zofii
- **WŁADYSŁAW LORANC**, Konkordat - podarunek Danaów
- **JERZY KOLARZOWSKI**, Między etyką a psycholingwistyką
- **JERZY FRAN CZAK**, Oblęd i jego kopia
- **JAN TRĄBKA**, Nowy świat rodzący się ze starej natury
- **KATARZYNA TANALSKA**, Wyprawa po wolność z kamieniem w butce
- **MAŁGORZATA LEBDA**, Martwe natury - rzecz o Janie Rybowiczu



- 1 **SŁOWO OD REDAKTORA**
- 2 **TEMATY SPRZED LAT.** Tadeusz Boy-Żeleński, *Dobre rady pani Zofii*
- 4 **20 LAT PRZEMIAN W POLSCE.** Jan Nowak, *Najważniejsze wydarzenia w Polsce w ostatnich 20 latach*
- 9 *W obronie Generała Wojciecha Jaruzelskiego* [apel Rady Weteranów Lewicy Oddział w Krakowie]
- 10 Krzysztof Bieńkowski, *Barwny wierszyk o wiośnie, raju i dziewczycy* – wiersz
- 11 *10 lat konkordatu Polska-Watykan*
- 12 Władysław Loranc, *Konkordat* – *podarunek Danaów*
- 17 Józef Kabaj, *Nauczanie moralności czy etyka?* – felieton
- 19 **Joanna Kania-Obrok** *** (*Gorszy od braku muru* – wiersz)
- 20 **MYŚL HISTORYCZNO-FILOZOFICZNA.** Jerzy Kolarzowski, *Między etyką a psycholingwistyką kognitywną. Komunikacja społeczna w perspektywie filozoficznych nurtów XX stulecia*
- 26 Katarzyna Tanalska, *Wyprawa po wolność z kamieniem w bucie*
- 37 Marian Dziwisz, *Prawie metafizyczny, Szczęsny Wroński, Stary poeta i urząd absolutu* – wiersze
Roman Wysogład, *** (*samotność jest bielą...*) – wiersze
- 38 Anna Klama, Aleksandra Morzyk, *Sens przekazu obrazem fotograficznym oraz wpływ struktury mistyfikującej na jego zawartość*
- 44 Stanisław Franczak, *Panta rhei, Chwila*, *** (*Unieważniam...*) – wiersze
- 45 Jan Trąbka, *Nowy świat rodzący się ze starej natury*
- 53 **KRYTYKA LITERACKA I RECENZJE.** Jerzy Franczak, *Obłąd i jego kopia*
- 57 Małgorzata Lebda, *Martwe natury – rzecz o Janie Rybowiczu*
- 65 Ignacy S. Fiut, *Poeci i ich moduły uczuć*
- 77 Leonard J. Pełka, *Manifest nowoczesnego ateizmu i pochrześcijańskiej laicyzacji*
- 79 **WIEŚCI ZE ŚWIATA.** Ditha Brickwell, *Europa w dobie kryzysu*
- 81 Andrzej J. R. Wala, *Ameryka w dobie kryzysu, w oglądzie szarego Polonusa*
- 84 Adam Zieliński, *Limity ludzkiej rozpoznawalności czyli parę impresji na tematy mniej lub bardziej „tabu”*
- 88 Dagmara Firlej, *Egipskie przygotowania do ślubu i wesele*
- 96 **PUBLICYSTYKA – KĄTEM OKA.** Jerzy Hyryk, *Migawki z życia politycznego*
- 99 Krzysztof Bieńkowski, *A jednak* – wiersz
- 100 Joanna Kania-Obrok *nie żyje* – nekrolog
- 101 **WYDARZENIA – KOMENTARZE.** Czesława Jolanta Kotarba
- MYŚLI.** Wybrała Czesława Jolanta Kotarba

doc. dr Andrzej Kurz
– przewodniczący,
prof. dr hab. Czesław Banach
– wiceprzewodniczący,
mgr Stanisław Franczak
– wiceprzewodniczący,
mgr Jan Nowak
– wiceprzewodniczący,
dr Józef Kabaj – sekretarz.

Członkowie:

prof. Wiesław Bielak,
prof. dr hab. Adam Chmielewski,
prof. dr hab. Ignacy S. Fiut,
prof. dr hab. Marian Grzybowski,
prof. dr hab. Jerzy Kochan,
dr Jerzy Kolarzowski,
dr Jan Kozłowski,
prof. dr hab. Józef Lipiec,
mgr Mieczysław Noworyta,
prof. dr hab. Jerzy Ochman,
prof. dr hab. Jan Szmyd,
prof. dr hab. Piotr Szydłowski,
prof. dr hab. Jan Woleński,
prof. dr Adam Zieliński.

ADRES REDAKCJI:

30-703 Kraków, ul. Dekerta 2A/6
tel. 012 423-50-16
e-mail: stanfranczak@wp.pl;
isfiut@uci.agh.edu.pl;
<s.marynowicz@mcdn.edu.pl>
masdz@interia.pl
skalab@o2.pl

Wydawca:

Rada Wojewódzka
Towarzystwa Kultury Świeckiej,
30-703 Kraków, ul. Dekerta 2A/6
www.forummysliwolnej.pl
Dom Fundacyjny im. Lidii i Leona
Świeżawskich

Fotokład:

Barbara Pietryka
ZST SKaBa, 31-422 Kraków,
ul. Strzelców 9/1
tel. 012-35-87-915, 500-141-674
e-mail: skalab@o2.pl

Druk:

Drukarnia
Uniwersytetu Jagiellońskiego
w Krakowie, ul. Czapskich 4,
tel. 012-422-59-41, 012-422-94-44

SŁOWO OD REDAKTORA



„**N**ewsweek” ogłosił rok 2009 **Rokiem Polski!** I słusznie, bo w tym czasie przypadają znaczące dla nas rocznice jak 70-lecie wybuchu II wojny światowej i 20-lecie porozumień Okrągłego Stołu. Wojna odmieniła nasz narodowy byt, zmieniła ustrój i przyniosła na długie lata pokój. Bez Okrągłego Stołu zaś nie byłoby przemian ustrojowych dokonanych drogą ewolucji, choć niektórzy działacze „Solidarności” żałują, że nie dokonało się to drogą krwawej rewolucji. Dziwne, ale prawdziwe. Tegoroczne obchody rocznicowe Okrągłego Stołu są bardzo wyciszone i oddzielone. Nie wszyscy dawni uczestnicy chcieli sięść wspólnie do ich obchodów, a wśród nich Lech Wałęsa. To przykre, tym bardziej, że tak oto sami deprecjonujemy to wydarzenie. I nie ma się co dziwić, że Niemcy przypisują sobie pierwszeństwo w obaleniu tzw. komunizmu poprzez zburzenie muru berlińskiego. Dlaczego nie można było na sejmową uroczystość zaprosić gości z krajów b. bloku wschodniego, a także przedstawicieli rządów innych krajów w tym USA? Dlaczego nie zrobiono nic lub prawie nic, żeby światowe media w ogóle o tym mówiły? Oby nie było tak po kilkunastu latach jak z b. obozem zagłady w Oświęcimiu, gdzie zaczęto nam przypisywać jego istnienie!

A tu jeszcze spośród wielu rocznic mamy 65-lecie Wybuchu Powstania Warszawskiego, 90. rocznicę wyborów do Sejmu Ustawodawczego (ciekawe czy parlament będzie o tym pamiętał?). 60 lat Nowej Huty, czy wreszcie 90. rocznicę powstania Polskiego Związku Piłki Nożnej! Najważniejsze, żeby z tych historycznych wydarzeń wyciągnąć właściwe wnioski i nie popełniać starych błędów, a tym bardziej nowych, co w dobie postępującego kryzysu jest niesłychanie ważne. Choć najgorsze przed nami, jeśli wierzyć Majom, którzy wyliczyli koniec świata na dzień 21 grudnia 2012 roku w samo południe. Ale mimo tej wróżby, warto skupić się na codziennych sprawach, które zależą od nas samych, a nie od układów gwiazd, bo zapowiedzi końca świata przeżywalismy wielokrotnie, przeżyjemy z pewnością i tę.

W bieżącym numerze polecamy zapoznanie się z refleksjami na temat przemian w Polsce w ostatnim dwudziestoleciu. Szczególnie zaś referat Władysława Loranca, wygłoszony na sesji zorganizowanej przez Towarzystwo Kultury Świeckiej i Stowarzyszenie „Kuźnica” z okazji 10 lat konkordatu Polska – Watykan: *Konkordat – podarunek Danaów*.

Proponujemy też Państwu interesujące refleksje: Katarzyny Tanalskiej dotyczące filozofowania rumuńskiego myśliciela Emila M. Ciorana; Małgorzaty Lebdy o twórczości literackiej Jana Rybowicza i jak zwykle zaskakujące skojarzenia dotyczące odkryć naukowych Jana Trąbki. Zaintersowani zaś wieściami ze świata zapewne znajdą coś dla siebie w tekstach: Andrzeja J. R. Wali, Adama Zielińskiego i Dagmary Firlej.

Kraków, marzec 2009 r.

TADEUSZ BOY-ŻELEŃSKI

Dobre rady pani Zofii

Szkice Boya o literaturze francuskiej są książką niezwykłą, dającą czytelnikowi nie tylko interesujące informacje o twórcach i ich dziełach literackich, ale także ogromną wiedzę o naturze ludzkiej i obyczajach. Historia literatury francuskiej nigdy nie była bowiem odrywana od historii obyczajów, zawsze dotyczyła żywych konkretnych ludzi. Nie dziwi zatem niezwykle trafny, bardzo sugestywny tytuł jaki Boy dał swym szkicom literackim: „Mózg i Płeć”. Cytowany niżej szkic zawarty w owym zbiorze dotyczy Diderota i jego wielkiej miłości do pani Zofii Volland.

Cz J. K

Uspokójcie się: chodzi o Zofię Volland, przyjaciółkę Diderota, a to dlatego, że ukazały się świeżo, w dużych trzech tomach, listy Diderota do niej w nowym wydaniu, znacznie pełniejszym od dotychczasowych. Wydanie to uczyniło Diderota na nowo modnym, na tle tych lisów Andre Billy napisał o nim doskonałą książkę. Korespondencja ta, której niektórzy „diderociści” nie wahają się uznać za najlepsze dzieło płodnego pisarza, zawiera w istocie bezcenny materiał do poznania epoki i jego samego. Wielkie i małe zdarzenia, rozmowy, anegdota, myśli, które mu przejdą przez głowę, wszystko to sływa mu z pióra z największą łatwością i wędruje w ogromnych listach do panny Zofii Volland, skazanej z woli matki co roku na kilkumiesięczny pobyt z dala od Paryża. Od czasu do czasu nastęcza się jakiś problem moralny czy obyczajowy, który Diderot, mając bezwzględne zaufanie do jej sądu, przedkłada

p. Zofii do rozstrzygnięcia. Filozofia XVIII wieku, odrzucając autorytety i pragnąc prawidła postępowania oprzeć na ludzkiej dobroci i uczciwości, na rozumie i na pożytku społecznym, raz po raz natykała się na takie zagadnienia, które z zapalem dyskutowano w salonach. Zatem w jednym z listów do Zofii napotykamy taki ustęp: „A propos, oto ważna kwestia, co do której proszę cię o zdanie, ale po dojrzałym namyśle, bo to nie jest problem urojony, taki, jak się wymyśla, aby wprawić w kłopot doktorów Sorbony, ale autentyczny fakt. Gdybyś mogła dołączyć i opinię swojej siostry, tym lepiej.

Zatem, panna mająca trzydzieści dwa lub trzydzieści trzy lata, inteligentna, dzielna, rozumna, zdrowa, raczej interesująca niż piękna, zamożna, nie chce wyjść za mąż, bo zna niedolę złego małżeństwa oraz wszystkie szanse tego, iż wyszedłszy za mąż byłaby nieszczęśliwa; ale chce koniecznie

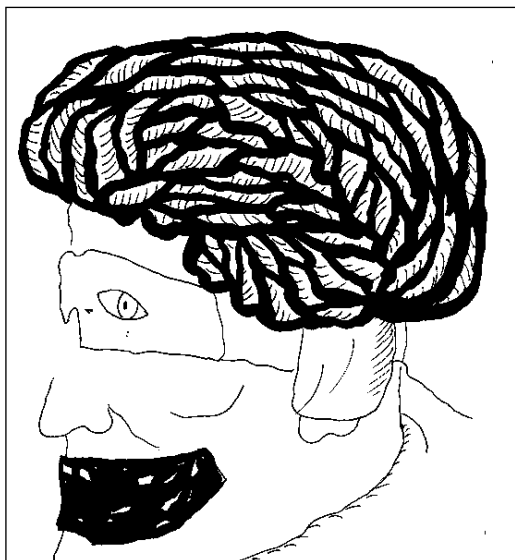
mieć dziecko, bo czuje, że słodko jest być matką i ufa sobie na tyle, aby wierzyć, że potrafi dziecko wychować znakomicie, zwłaszcza o ile to będzie córka. Jest zupełnie samodzielna. Wzięła pod uwagę mężczyznę czterdziestoletniego, którego długo studiowała, który podoba się jej z fizjonomii, ale zwłaszcza z zalet serca i umysłu. I oto w jakich słowach zwróciła się do niego: „Drogi panie, nie ma w świecie człowieka, którego bym tyle ceniła, co pana, ale nie Kocham i nie pokocham nigdy nikogo, i nie żądam miłości. Gdyby pan mnie pokochał, jest tysiąc szans przeciw jednej, że nie umiałabym panu się wypłacić. Chodzi po prostu o to, aby mi pan pomógł zostać matką. (...) Jeśli pan nie chce, aby świat wiedział, co panu zawdzięczam, będę milczała (...). Nie nadużyłam jeszcze wiary niczyjej, nie zdarzy mi się więc to teraz, w moich latach, i to jeszcze z panem”. Oto w przybliżeniu słowa tej osoby. (...) Abyś mogła rzecz ocenić bezstronnie, uprzedzam z góry, że ja znam tę kobietę i że nie ja jestem mężczyzną, do którego się zwróciła. Nie spiesz się. Rozważ spokojnie sprawę, w której łatwo jest narazić najpoważniejsze względy dla głupstwa”. Opinia Zofii nie wypadła pomyślnie. Daremnie Diderot rozwija w dalszych listach całą wymowę w obronie niedoszłej panny-matki. (...) Długo tak przemawiał wymowny Diderot, ale nie zdaje się, aby przekonał swoją Zofię. Można sądzić, że niebaczne słowa: „Nie ja jestem owym mężczyzną, do którego się zwróciła”, obudziły jej czujność i zmąciły zdolność filozoficznego sądu, na który zdobyłaby się może w innych warunkach. Nie żądamy od p. Zofii za wiele. Ale może niepokoiła się na próżno, może ta dojrzała do macierzyństwa panienka nigdy nie istniała na świecie poza wyobraźnią Diderota? (...). W każdym razie

interesujące jest to postawienie problemu, który w sto pięćdziesiąt lat potem podnosi Bernard Shaw w osobie panny Lesbii w swojej „Nowej umowie małżeńskiej”, a i to w formie niemożliwego paradoksu! Za ledwie można powiedzieć, dziś świat dojrzeva – i to bardzo wolno – do praktycznego rozwiązania takich kwestii.

Bo też Diderot jak żaden ze współczesnych miał intuicję przyszłości (...). Człowiek, który przewidział telefon i radio, który na sto lat przed Darwinem odgadł ewolucję gatunków, który nakreślił w roku 1776 plan powszechnego nauczania, zdolny był przeczuć świat, w którym panny zechcą mieć dzieci. Wskazywałem gdzie indziej na to, jak bardzo cała dziś tak roztrząsana „reforma seksualna” znajduje się już u Diderota.

Wszystko w tym człowieku jest oryginalne, nawet jego romans, ta wielka miłość jego życia. (...) □

Obszerne fragmenty tekstu pt. „Dobre rady pani Zofii” zamieszczonego w zbiorze „Mózg i Płeć” wybrała Czesława Jolanta Kotarba



JAN NOWAK

Najważniejsze wydarzenia w Polsce w ostatnich 20 latach

W naszej powojennej historii ostatnie 20-lecie przypadające na lata 1989-2009 przyniosło wiele ważnych wydarzeń. Jedne były przełomowe, historyczne, drugie dużo gorsze czasem nawet niepokojące. Okazało się, że odzyskanie wolności i suwerenności państwowej czy bezpieczeństwa – nie oznacza równocześnie zmian w postawach i mentalności społeczeństwa, w tym wśród ugrupowań politycznych. Daleko nam jeszcze do kierowania się w życiu społecznym zasadami pełnej demokracji i sprawiedliwości, nie mówiąc o zwykłej uczciwości, tolerancji i godności ludzkiej. Dlatego warto o tym pomyśleć i podyskutować.

1. Okrągły Stół

Najważniejszym i najcenniejszym wydarzeniem ostatnich 20 lat był Okrągły Stół. Polska wykazała się mądrością na miarę europejską i światową, którą można by było porównać do uchwalonej ponad 2 wieki temu Konstytucji 3 Maja. Tak jak wówczas dopuszczono do władzy i wzięto w obronę prawa warstwy dotychczas wyzyskiwane – mieszczan i chłopów – tak w czasie Okrągłego Stołu drogą wzajemnego kompromisu uzgodniono, że władzę w Polsce sprawować będą dwa ugrupowania:

- Przedstawiciele dotychczasowych władz PRL – tzw. grupa reformatorska oraz
- Przedstawiciele pozostającej wobec rządu i partii tzw. opozycji demokratycznej.

W obradach Okrągłego Stołu wzięło udział w sumie 55 osób, po równej ilości

z każdej ze stron oraz 3 obserwatorów z pozycji hierarchów kościelnych.

Oto najważniejsze postacie, które były inspiratorami czy uczestnikami Okrągłego Stołu:

- Ze strony rządowej: Generał Wojciech Jarużelski, Czesław Kiszczak, Mieczysław Rakowski, Aleksander Kwaśniewski, Stanisław Ciosek.
- Ze strony opozycji: Lech Wałęsa, Tadeusz Mazowiecki, Bronisław Gieremek, Jacek Kuroń, Adam Michnik.

Trzeba też zaznaczyć, że duży wpływ na przebieg i wyniki obrad Okrągłego Stołu miał niewątpliwie Papież – Polak Jan Paweł II, oraz „pieriestrojka” jaka miała miejsce w Związku Radzieckim za czasów Michaiła Gorbaczowa.

Wartością bezsporną Okrągłego Stołu były przemiany ustrojowe, jakie nastąpiły

w Polsce drogą ugodową, bez walki zbrojnej – co już wówczas uważano za wydarzenie godne uznania. W ślad za Polską poszła większość tak zwanych krajów demokracji ludowej i w rezultacie kraje te drogą ewolucyjną, bez rozlewu krwi (wyj. Rumunia) odzyskały wolność i suwerenność państwową.

Szkoda tylko, że nie zdołaliśmy utrwalić przekonania w Europie, że te wszystkie zmiany ustrojowe, jakie nastąpiły wówczas w Polsce i w Europie Środkowej zapoczątkowane były w Warszawie w czasie Okrągłego Stołu, a nie zaczęły się od zburzenia Muru Berlińskiego.

2. Przystąpienie Polski do NATO i Unii Europejskiej

Kolejnymi wydarzeniami zasługującymi na miano historycznych było przyjęcie Polski do NATO i Unii Europejskiej. Przynależność do NATO zapewnia Polsce bezpieczeństwo militarne, zaś członkostwo w Unii Europejskiej zwiększa pozycję międzynarodową Polski i jej rozwój gospodarczy.

Starania o przyjęcie do Sojuszu Północno-Atlantyckiego (NATO) rozpoczęliśmy niemal od zaraz po zakończeniu Okrągłego Stołu. Odrodzona Rzeczypospolita Polska po wystąpieniu z Układu Warszawskiego szukała oparcia militarnego, a NATO wykazywało duże zainteresowanie zwiększeniem swojego obszaru wpływów w Europie Środkowej i Wschodniej. W rezultacie w 1999 roku Polska stała się pełnoprawnym członkiem NATO, które stało się gwarantem naszych granic i naszej suwerenności państwowej.

Początków Unii Europejskiej możemy doszukiwać się w porozumieniu, jakie zawarły kraje Beneluksu (Belgia, Holandia, Luksemburg), które obowiązywało od 1 stycznia 1948 roku. Później Wspólnota Europejska, wystę-

pująca zresztą pod różnymi nazwami, poszerzała się o kolejne państwa (w 1952 – Francja, RFN, Włochy, 1973 roku – Dania, Irlandia, Wielka Brytania), aby w 1995 roku objąć w sumie 15 państw europejskich, zespolonych w silnych strukturach ekonomicznych i społecznych, gwarantujących stabilizację demokracji i ochronę praw człowieka.

Pierwsze porozumienia gospodarcze i handlowe między Polską, a Wspólnotami Europejskimi zostały zawarte w 1989 roku – w pamiętnym roku Okrągłego Stołu. Odtąd systematycznie zwiększał się zakres stosunków Polski z Unią. Oficjalny wniosek o przyjęcie do Unii Europejskiej Polska złożyła 5 kwietnia 1994 r., a uroczyste podpisanie traktatu akcesyjnego nastąpiło w Atenach 16 kwietnia 2003 r. Po zakończeniu procedury kodyfikacyjnej Polska stała się państwem członkowskim Unii Europejskiej od 1 maja 2004 r. razem z 10 pozostałymi krajami Europy Środkowej¹.

Decyzje dotyczące ratyfikacji przystąpienia Polski do Unii Europejskiej nie były łatwe do przeprowadzenia. Wielu było przeciwników czy eurosceptyków, głównie w środowiskach prawicowych, w rezultacie Sejm podjął Uchwałę o przeprowadzeniu referendum ogólnokrajowego. W referendum, które odbyło się 7 i 8 kwietnia 2003 r. wzięło udział 58,85% uprawnionych do głosowania. Z tego 77,45% było „za”, natomiast 22,5% odpowiedziało „nie”. Największe poparcie dla integracji odnotowano w dużych miastach Polski, głównie w części zachodniej, najmniejsze w regionach Polski wschodniej, zwłaszcza na obszarach wiejskich.

Wyniki głosowania zostały entuzjastycznie przyjęte przez rządzących i przez zdecydowaną większość komentatorów. Ówczesny prezydent Polski Aleksander Kwaśniewski oznajmił: „dokonała się rzecz wielka, wraca-

my do europejskiej rodziny”. A premier Leszek Miller, którego rząd położył największe zasługi w przystąpieniu Polski do Unii, podkreślił, że to „święto całej Europy”.

3. Zawarcie Konkordatu Polski z Watykanem

Stosunki między państwem, a Kościołem wymagały prawnego uregulowania. Poprzednia umowa z 1925 r. została przez państwo jednostronnie zerwana. Obydwie strony były obecnie zainteresowane podpisaniem Konkordatu:

- Kościół katolicki, wykorzystując zmiany ustrojowe, chciał zapewnienia dla wiernych i dla siebie i jak najwięcej przywilejów
- Władze państwowe dążyły do określenia statusu Kościoła katolickiego w Polsce i rozdzielenia kompetencji państwa i Kościoła.

Po długich uzgodnieniach Konkordat został pośpiesznie podpisany w 1993 r. przez premier Hannę Suchocką, a następnie w 1998 roku – znowu po burzliwych dyskusjach – ratyfikowany za prezydentury Aleksandra Kwaśniewskiego. Władza państwowa zdecydowała się na ustępstwa wobec Kościoła licząc na jego poparcie w zbliżającym się referendum akcesyjnym do Unii Europejskiej. Uznano wówczas, że postanowienia konkordatowe są w zasadzie zgodne ze standardami przyjętymi w większości państw europejskich w zakresie wolności sumienia i religii.

Niestety praktyka pokonkordatowa poprzez tzw. „decyzje nowelizacyjne” stale poszerza uprawnienia Kościoła (np. w zakresie nauczania religii w szkołach, dotowania przez państwo uczelni katolickich), a Kościół nie podejmuje się przeprowadzenia regulacji prawnych dotyczących np. spraw majątkowych i finansowych instytucji kościelnych

i duchowieństwa mimo, że w Konkordacie do tego się zobowiązał (tyle że bez określonego terminu).

A zatem, mimo postanowień Konkordatu nie ma w Polsce faktycznego rozdziału Kościoła od państwa, a do tolerancji religijnej, takiej jak na Zachodzie Europy, w Polsce jeszcze daleko.

4. Zagrożenia demokracji

Wybory prezydenckie w Polsce – te ostatnie, które odbyły się w 2005 r. były poprzedzone „walką harcówników”. Podobnie jak w wojnach średniowiecznych, gdy przed główną bitwą stawali przeciwko sobie harcównicy aby rozgrzewać swoje walczące obozy - tak teraz przedstawiciele walczących stron – przystąpili do „walki na haki”...

Najpierw wystąpił Konstanty Miodowicz z Platformy Obywatelskiej i wielostronnie zaatakował Włodzimierza Cimoszewicza, związanego z Sojuszem Lewicy Demokratycznej. Gdy nie skutkowały różne haki prawne K. Miodowicz wykorzystał niejaką panią Jarucką, która w swoich oskarżeniach wobec Cimoszewicza posługiwała się kłamstwami i insynuacjami o charakterze finansowym i obyczajowym, nie mającymi nic wspólnego z faktami i prawdą. W rezultacie tych wszystkich oskarżeń Włodzimierz Cimoszewicz nie wytrzymał nerwowo i zrezygnował z ubiegania się o tron prezydencki. Stało się to przy widocznych zadowoleniu dwóch kolejnych kandydatów, którzy odetchnęli z ulgą, bo w przedbiegach odpadł najgroźniejszy konkurent.

Jako drugi z harcówników wystartował Jacek Kurski z Prawa i Sprawiedliwości, który uzbrojony w wiedzę historyczną wypatrzył w Wehrmachcie dziadka Donalda Tuska, obciążając tym sposobem przywódcę Platformy

rodzinnymi kontaktami z Niemcami, w dodatku z czasów III Rzeszy.

Tak czy inaczej – w rezultacie tych różnych haków wyborczych lub przy ich pomocy – Lech Kaczyński, kandydat PIS-u i swojego brata Jarosława został wybrany prezydentem Rzeczypospolitej Polskiej. Oni w dwójkę niebawem przystąpili do sprawowania władzy w Polsce. Mimo iż obydwaj wcześniej przyrzekali, że jeżeli Lech zostanie prezydentem, to Jarosław nie będzie premierem, w kilka miesięcy o tym zapomnieli. Potem zdarzało się im zapominać jeszcze wiele razy i o wielu obowiązkach m.in. o konieczności stosowania reguł demokratycznych w rządzeniu państwem oraz przestrzeganiu zasad rzetelności i konsekwencji we współpracy z Unią Europejską. Ale co najgroźniejsze obydwaj zapomnieli, że Polacy wybierali Lecha Kaczyńskiego na prezydenta Polski, a nie na prezydenta PIS-u.

W tych wszystkich nieprawościach i nieszczeniach jedno wydaje się optymistyczne: do końca prezydentury Lecha Kaczyńskiego pozostało już niecałe 2 lata.

4. Działalność Instytutu Pamięci Narodowej

Można uznać za uzasadnioną opinię, że do lustracji w Polsce przystąpiono z dużym opóźnieniem, a w innych państwach Europy Wschodniej nastąpiło to znacznie wcześniej. Ale też nie można powstrzymać się od stwierdzenia, że powołany przez Prawo i Sprawiedliwość oraz Platformę Obywatelską Instytut Pamięci Narodowej okazał się „potworkiem moralnym”, słusznie obecnie nazywanym „Instytutem Polowania Narodowego”². W założeniach programowych Instytut Pamięci Narodowej miał kontynuować proces lustracyjny. Miał być placówką naukową, sł-

zącą sprawiedliwości i prawdzie. W rzeczywistości stał się przybudówką propagandową, która nagina i zniekształca historię Polski i życiorysy poszczególnych ludzi.

Zebrało się w Instytucie wielu młodych „wilczków”, przebranych w szaty niby-historyków i pseudo-prokuratorów, a często także sędziów, którzy ferują wyroki według z góry określonego zapotrzebowania politycznego.

Na potwierdzenie przedstawionych opinii przytoczę tylko kilka wybranych przykładów.

1. Wśród publikacji IPN największym skandalem obyczajowym i historycznym jest książka panów Sławomira Cenckiewicza i Piotra Gontarczyka na temat **prezydenta Lecha Wałęsy**, laureata Pokojowej Nagrody Nobla. Napisana tendencyjnie, pełna aluzji i autorskich pomówień, składająca się w większości z wybranych cytatów oficera prowadzącego Lecha Wałęsę, ale bez historycznej analizy, nie próbująca nawet zastanowić się czy zarzuty tam zawarte są prawdziwe, czy choćby prawdopodobne. W dodatku napisana niechlujnie, czego oczywistym przykładem może być informacja, że autor tych opisów – cytatów – nie żyje. A gdy się okazało, że autor jednak żyje i oświadcza oficjalnie, że jego opisy nie były cytatami z wypowiedzi L Wałęsy, tylko wytworem jego osobistych pomysłów – to autorzy książki nie przyjmują tego do wiadomości. Podobnie jak nie uznają oświadczenia gen. Czesława Kiszczaka, że istniała wówczas instrukcja, która dopuszczała możliwość zdobywania informacji od rzekomych współpracowników „drogą operacyjną”. Dlaczego panowie Cenckiewicz i Gontarczyk nie uwzględniają tych faktów? Odpowiedź jest oczywista, bo im nie zależy na prawdzie, tylko na „polowaniu” na przeciwników politycznych.

2. Podobnie manipulowano źródłami historycznymi przy postępowaniu w sprawie

Józefa Kurasia-„Ognia” znanego watażki na Podhalu – dla jednych zwykłego bandyty, dla innych walczącego o wolność... Za tą drugą wersją wypowiedział się Lech Kaczyński i doprowadził do postawienia mu pomnika w Zakopanem. Ta sprawa wymaga rzetelnych badań i sprawiedliwej oceny.

3. W listopadzie 2008 r. na zlecenie katowickiego Oddziału Instytutu Pamięi Narodowej dokonano ekshumacji zwłok **gen. Władysława Sikorskiego**. Naruszono należny spokój jego ciała. W jakim celu? Co chciano uzyskać? Szukano sensacji, która miała udowodnić lansowane teorie, że Generał zginął w wyniku politycznego spisku.

Sekcja zwłok przeprowadzona przez Zakład Medycyny Sądowej w Krakowie potwierdziła, że Generał nie zginął z rąk zamachowców, tylko że zmarł na skutek obrażeń podczas katastrofy samolotowej w Gibraltarze. Odpadły przeróżne hipotezy, że Generał został otruty, uduszony lub zabity strzałem w głowę. Badania nie przyniosły żadnego przełomu w sprawie śmierci Generała Sikorskiego. Wywołały niepotrzebne podniecenie nastrojów oraz – co też nie jest bez znaczenia – przyczyniły się do znacznych wydatków finansowych, na brak których Instytut tak często się uskarża. Otwarte pozostaje pytanie – komu to było potrzebne?

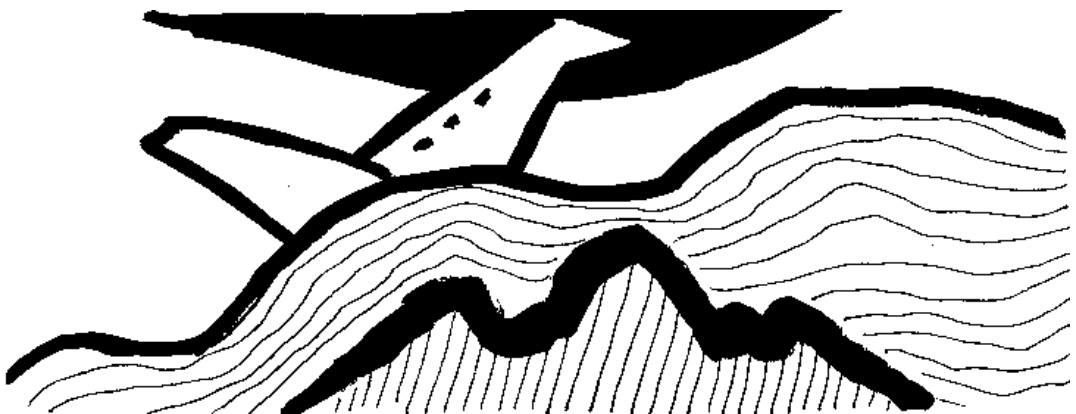
Takich przykładów gdzie Instytut oskarża, manipuluje można by było wymienić więcej, zarówno wśród niesłusznie pomawianych księży, jak i przedstawicieli władz państwowych z czasów PRL

W ostatnich miesiącach pojawia się coraz więcej głosów, wręcz żądań, aby rozwiązać IPN, a materiały UB oraz SB przekazać do archiwów państwowych. Dziwne i niepokojące wydaje się to, że władze Platformy Obywatelskiej nie podjęły dotychczas w tej sprawie wiążących decyzji. Przecież likwidacja IPN mogłaby nie tylko przyczynić się do uspokojenia opinii społecznej, ale także przyniosłaby oszczędności finansowe – tak obecnie potrzebne w dobie kryzysu ekonomicznego. Chyba, że Platforma jest też zainteresowana „polowaniem” na swoje ofiary. □

Literatura:

1. M. Paszyński, *Wizerunek Polski w Unii po wielkim poszerzeniu w 2004 r.*
2. „Przegląd” nr 44 z 12 X 2008 r. i nr 52 z 4 I 2009 r.

Jan Nowak – nauczyciel historii, były Kurator Oświaty i Wychowania, działacz Stowarzyszenia „Kuźnica” i Towarzystwa Kultury Świeckiej.



W obronie Generała Wojciecha Jaruzelskiego

Życiorys Generała Wojciecha Jaruzelskiego dowodzi, że należy on do najświetniejszych ludzi swojej epoki. W młodych latach został wywieziony na Sybir, gdzie zaginął jego ojciec. W mundurze żołnierskim przeszedł szlak bojowy od Lenino do Berlina, ciesząc się ogromnym autorytetem wśród swoich podkomendnych. W wyzwolonej Polsce pełnił praktycznie wszystkie najwyższe stanowiska wojskowe, państwowe i partyjne.

W 1981 r. jako przewodniczący Wojskowej Rady Ocalenia Narodowego podjął historyczną decyzję o wprowadzeniu stanu wojennego. Wybrał – jak sam to określił – „mniejsze zło”: stan wojenny lub wejście wojsk radzieckich. W sytuacji pustych półek, rozchwianej gospodarki i rozpalonych głów opozycji, można było spodziewać się najgorszego – wojny bratobójczej, rozlewu krwi, mordów i zniszczeń. Nikt wówczas (a i niewiele dzisiaj) nie dopuszczał myśli, znając doświadczenia Węgier i Czechosłowacji, że Związek Radziecki wyrazi zgodę na oderwanie się od Układu Warszawskiego takiego znaczącego kraju jak Polska.

Generał Jaruzelski wielokrotnie wyjaśniał, przeproszał, tłumaczył... dlaczego zdecydował się na wprowadzenie w Polsce stanu wojennego. Sprawę tę badała w latach 1993-1997 sejmowa Komisja Odpowiedzialności Konstytucyjnej. Komisja przesłuchała wielu świadków z kraju i zagranicy. Z ich zeznań jednoznacznie wynika, że stan wojenny

był koniecznością, że tylko w ten sposób można było obronić Polskę przez interwencją wojsk Układu Warszawskiego. Potwierdzają tę opinię takie autorytety w polityce europejskiej i światowej jak Michaił Gorbaczow czy Zbigniew Brzeziński. Sejm Rzeczypospolitej Polskiej w podjętej Uchwale oczyścił Generała Wojciecha Jaruzelskiego z zarzutu naruszenia Konstytucji, a społeczeństwo polskie w sondażach wyraziło opinię, że Generał Jaruzelski podjął słuszną decyzję.

Aż tu znowu – po 27 latach od wprowadzenie stanu wojennego – prokuratorzy Instytutu Pamięci Narodowej oskarżają Generała Jaruzelskiego o popełnienie „zbrodni komunistycznej” i o kierowanie „związkiem przestępczym”. To są ewidentne kpiny z faktów i prawa w wykonaniu prokuratorów IPN. Cóż to w praktyce oznacza „zbrodnia komunistyczna”? Można ją zastosować w stosunku do każdego funkcjonariusza państwowego i partyjnego, który żył w czasach PRL. A „związek przestępczy”, którym kierował

Wojciech Jaruzelski – to przecież nic innego tylko wszyscy żołnierze i oficerowie wojska polskiego – cała armia polska.

W obronie Generała Wojciecha Jaruzelskiego występuje wiele osób, organizacji i środowisk obywatelskich. Największą akcję w tej sprawie zorganizował tygodnik „Przeгляд”, w którym prezydent Aleksander Kwaśniewski zamieścił swój prześwietny artykuł „Brońmy Generała Jaruzelskiego”. Potem napływały setki i tysiące listów, część z nich była publikowana w „Przeглядzie”.

Obecnie sprawa jest w sądzie. Odczytano akt oskarżenia, zeznają oskarżeni, w tym Generał Jaruzelski. Jest to pierwszy przypa-

dek, kiedy głowa państwa, prezydent Rzeczypospolitej jest sądzony w sądzie powszechnym. Nie zdarzyło się tak w 1000-letniej historii Polski i w żadnym cywilizowanym kraju europejskim.

Miejmy nadzieję, że odzyskanie wolności i niepodległości, do czego w dużej mierze przyczynił się właśnie generał Jaruzelski, spowoduje wydanie mądrej i sprawiedliwej decyzji sądu. Oby tak się stało!

Rada Weteranów Lewicy
Oddział w Krakowie

Kraków, luty 2009 r.

KRZYSZTOF BIEŃKOWSKI

Barwny wierszyk o wiośnie, raju i dziewczicy

Och jak piękne kwiaty jabłoni
Nawet nie myśl ich zrywać
I w koszyku sękatą dłoń
Elegancko próbuj ukrywać

Widzisz bo kiedy rośnie
Swoją wolę życia objawia
Kwiat a myślisz o wiośnie
I obraz jabłka się pojawia

Więc jak jabłko – Adam i Ewa
Łatwo dalej kojarzyć raj
A tymczasem gdzieś z drzewa

Dorodny wąż i pokusa naj
Ech pokusy ptaki skrzydlate
Ktoś dziewczycę równał z kwiatem



10 LAT KONKORDATU POLSKA – WATYKAN

12 grudnia 2008 roku w lokalu „Kuznica” w Krakowie odbyła się sesja poświęcona dziesięcioleciu zawarcia konkordatu, zorganizowana przez Towarzystwo Kultury Świeckiej oraz Stowarzyszenie „Kuznica”. Otwarcia sesji dokonał prof. dr hab. Jerzy Ochman. Słowo wstępne wygłosił prof. dr hab. Hieronim Kubiak a referaty programowe: prof. dr hab. Paweł Sarnecki; prof. dr hab. Dionizy Tanalski; dr Władysław Loranec oraz dr Maciej Strutyński.

Uczestnicy spotkania biorący udział w dyskusji stawiali między innymi pytania: w jakiej mierze konkordat i realizacja jego pozwala na zabezpieczenie autonomii obu umawiających się stron w obszarach swojego działania? Czy autonomia i tym samym świeckość państwa nie jest zbyt często naruszana poprzez wszechobecność



Kościoła, w tym poprzez wywieranie nacisków na stanowienie prawa? Czy reali-

zacja zasad konkordatu nie narusza praw różnorodnych mniejszości w Polsce?

Autorzy referatów odpowiedzieli na pytania a całość dyskusji i obrad posumował i zamknął obrady wiceprezes Rady Krajowej TKŚ dr Zdzisław Słowik. W niniejszym numerze FMW zamieszczamy referat dr Władysława Loranca *Konkordat – podarunek Danaów*. □



Konkordat – podarunek Danaów

Sąsiedztwo polityki i religii jest tak naturalne jak dwa brzegi rzeki, między którymi ona płynie, raz jednej raz drugiej stronie przydając znaczenia lub uroku. Ludzie bacznie obserwują tę grę. Budują swe domostwa tam, gdzie bezpieczniej. W sąsiedowaniu polityki i religii żadnej hierarchii nie ma. Lewa strona nie może powiedzieć prawej, że jest lepsza i liczniejsza, a prawa nie ogłosi, że jest ważniejsza, bo spogląda wyżej. Ludzie polityki i religii znają ten splot zależności – i jeśli nie opęta ich megalomania aprobują go, bacznie obserwując zachowanie głównego nurtu rzeki życia. Gdy dur zabełta im w głowach – przeżywamy burze. Pilnujemy jednak, by nie powtórzył się potop, bo przecież niemożliwe jest zbudowanie arki, która pomieści czterdzieści milionów ludzi, razem z ich menażerią. Skoro organicznemu związkowi polityki i religii nikt skutecznie zaprzeczyć nie zdoła, spróbujmy opisać jego przypadek szczególny, który stał się udziałem Polaków w okresie nazwanym transformacją. Jego początek przypadł na rok 1980 a autor encykliki *Centessimus annus* ulokował apogeum w roku 1989. Przypomnę, że trzecią część tego politycznego utworu zatytułował *Rok 1989*, co było przejrzystą aluzją do A. Mickiewicza epepei narodowej.

Ludzie prości, a polska inteligencja, aspirując do roli pierwszej wśród równych, stała się prostszą wśród prostych, nie umieją odpowiedzieć na pytanie: „Czego chcieliśmy i co nam z tego wyszło?”. Jesteśmy pewni, że transformacja trwa lecz jej efektów przewidzieć nie sposób. Chociaż wszyscy znają arytmetykę nikt liczyć nie chce. Zawarto niepisany kontrakt – prości ludzie mówią co chcą, a funkcjonariusze państwa i kościoła robią co chcą. Jedni i drudzy wiedzą, że końcem tego falsyfikatu polityki porozumienia może być tylko katastrofa. Większość wierzy jednak, że będzie ona łagodna. Teoretycznie jest to możliwe. Z wielu warunków, od których zależy taki happy end, jest przeproszenie historii najnowszej za odrażający gwałt, jakiego do-

konują na niej prawicowi politycy, ale nie tylko oni. By odzyskać szansę działań skutecznych, trzeba przywrócić pamięć o tym, jak było naprawdę w II i III RP. W tym celu przypomnę ważne doświadczenie a normalizacji stosunków między państwem a kościołem w Polsce.

Po wizycie przewodniczącego Rady Państwa gen. Wojciecha Jaruzelskiego w Watykanie (styczeń 1987 r.) i trzeciej wizycie papieża w Polsce w czerwcu tegoż roku, padły ważne słowa o potrzebie normalizacji stosunków. Rychło przy odpowiednich stołach zasiedli przedstawiciele państwa i kościoła.

Po dwudziestu dwóch miesiącach pracy przygotowano projekty pięciu aktów prawnych: „Konwencja między Polską

Rzeczpospolitą Ludową i Stolicą Apostolską”, „Ustawa o stosunku państwa do kościoła katolickiego w PRL”, „Ustawa o gwarancji wolności sumienia i wyznania”, „Ustawa o ubezpieczeniu społecznym duchownych”. „Umowa między rządem PRL a Konferencją Episkopatu Polski w sprawie uregulowania statusu wyższych uczelni papieskich”.

4 maja abp J. Stroba i minister W. Lorańc, na podstawie udzielonych im pełnomocnictw, parałowali projekt konwencji. Jej tekst kościelna Komisja Mieszana przekazała Stolicy Apostolskiej. To samo zrobiło dwa dni później Ministerstwo Spraw Zagranicznych PRL. Przyjęty przez Watykan tekst Konwencji opatrzone zastrzeżeniem, że dwa artykuły (9 i 10) będą przedmiotem bezpośrednich rokowań w Rzymie. Ustawy krajowe przyjął Sejm 17 maja 1989 r.

Przypomniałem wydarzenia już szeroko znane. Obrosły bogatą literaturą przedmiotu, a przecież wciąż jeszcze nie są właściwie rozumiane. Przedstawiam mój do nich komentarz.

*

W latach sześćdziesiątych działało w Polsce czterdzieści sześć kościołów i związków religijnych, w większości chrześcijańskich. Tylko sześć z nich miało regulacje ustawowe. Realne stosunki z państwem były lepsze niż ich wyraz prawny, ale bez unormowań ustawowych stosunki te nie były stabilne. Łatwo można je było komplikować z obu stron. Potrzebne były nie tylko dobre intencje, lecz także dobre instytucje. Kwestia normalizacji tej sfery życia społecznego stała się pilna.

Podjmując to zadanie przyjęliśmy dwa założenia:

– prawne unormowanie stosunku państwa z kościołami nie może dotyczyć jedynie kościoła katolickiego albowiem każda regulacja, kierująca się tylko statystyką wyznaniową, rozpala nowe konflikty (tak interpretowaliśmy wymowę doświadczeń z lat II RP przy statusie kościoła rzymskokatolickiego jako „pierwszego wśród równych”);

– Jeśli chcemy demokratycznych reform i nowoczesnego państwa, podstawy prawne polityki wyznaniowej należy oprzeć na trzech zasadach: wolności sumienia i wyznania, oddzielenia kościoła od państwa, równości kościołów i związków religijnych wobec państwa.

Prace prowadziły dwa zespoły redakcyjne. W zespole przygotowującym dokumenty kościoła katolickiego szybko osiągnęliśmy porozumienie, że najważniejsze jest przygotowanie podstawy do przywrócenia stosunków dyplomatycznych ze Stolicą Apostolską. Pytanie, czy ma to być konkordat czy konwencja, nie wymagało długich dyskusji. My odwołaliśmy się do opinii kard. Agostino Casarolego, który parokrotnie dał wyraz przekonaniu, że po Soborze Watykańskim II, w konsekwencji szybkiej zmiany warunków, czas całościowych regulacji konkordatowych minął i należy je zastąpić porozumieniami częściowymi. Skoncentrowaliśmy się więc na treści konwencji. Najważniejszą kwestią stało się określenie ustrojowego charakteru państwa. Przy obu stołach chętnie proponowano nam zwięzłą formułę: „neutralność państwa w obszarze religii i ideologii”. Na pierwszy rzut oka był to zachęcający projekt. Światopoglądowa neutralność czy bezstronność państwa może umacniać jego ogólnonarodowy charakter. Jako urzędni-

cy wiedzieliśmy jednak z codziennej praktyki, że państwa nie można zredukować do roli administratora funkcjonującego tak jak służba drogowa. Nawet wtedy, gdy powstawały trudne momenty, broniliśmy zasady, że państwo jest wspólnotą obywateli, rzeczywistością ich zorganizowania, symbolem tego, co im wspólne. Wobec państwa obywatel, ten wierzący i ten niewierzący, ma równe prawa. Chcieliśmy uwolnić życie publiczne w Polsce od ryzyka powstawania dwóch państw jednego narodu lub, co byłoby jeszcze gorsze, od powrotu do zasady: *cuius regio eius religio*.

W parafowanym tekście konwencji znalazło się w art. 1 następujące uregulowanie tej kwestii: „Każdy człowiek ma prawa do wolności, myśli, sumienia i wyznania, nikt nie podlega przymusowi, który ograniczałby jego wolność posiadania religii lub przekonań według wyboru”. Najważniejsze – sędzę, że także trwale – znaczenie miało określenie charakteru państwa w dwupunktowym artykule:

1. „Polska Rzeczpospolita Ludowa stwierdza, że jest państwem świeckim (nie konfesyjnym) gwarantującym swobodę przekonań światopoglądowych i religijnych”.

2. „Stolica Apostolska uznaje tak pojętą świeckość Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej”.

Ten projekt Konwencji ujął kwestię ustrojową kardynalnego znaczenia według standardów europejskich. Jeszcze dziś uważam, że w tej regulacji nieaktualną stała się tylko nazwa naszego państwa.

Po przygotowaniu projektu konwencji pracę nad innymi dokumentami dla kościoła katolickiego toczyły się w dobrym tempie i w dobrym klimacie. Tak było do połowy listopada 1988 roku.

Wykorzystując myśl zaproponowaną przez nas już we wstępnej fazie prac, by tryb regulowania problemów kształtowały artykuły ustawy a nie przepisy wykonawcze, przedstawiciele strony kościelnej zakwestionowali utworzenie Komisji Majątkowej wraz z określeniem jej zadań i trybu pracy żądając, by do tekstu ustawy wpisać tak daleko idący pakiet majątkowych roszczeń, że ten krok wywołałby w Polsce wstrząs polityczny, a w Europie konsternację. Rokowania znalazły się w impasie. Jego źródło tkwiło w polaryzujących się postawach członków Episkopatu. Do rozwiązania kryzysu należało szukać sojuszników. Byli tacy w kościele polskim, ale szczególną rolę odegrał abp Francesco Colasuono. Na przełomie stycznia i lutego złożył oficjalną wizytę. W czasie rozmów potwierdził wolę normalizacji stosunków i wyjaśnił: „Ze zdumieniem przyznaję, że nie wiedziałem o tych zahamowaniach w pracach nad projektem ustawy”. Wyraził sceptycyzm wobec: „zbyt głębokiego wchodzenia w sprawy rewindykacyjne (...) byłoby to nie tylko stanowisko nierealistyczne, ale również oznaczałoby ono możliwość wejścia w sprawy dość uciążliwe dla kościoła”. Jego opinia o zwrocie szpitali, szkół i innych obiektów tego typu też była sceptyczna. Uznał: „iż kościół w Polsce nie jest jeszcze przygotowany, aby prowadzić te instytucje”. Prace nad ustawą zostały odblokowane. Żądania rewindykacyjne uregulowano zgodnie z już przyjętą koncepcją utworzenia Komisji Majątkowej. Postanowiono, że jej decyzje nie mogą naruszać trzech ustaw istniejącego prawa:

– Ustawy z 3 stycznia 1946 roku o nacjonalizacji,

– Ustawy o dobrach martwej ręki, a także praw nabytych przez osoby trzecie, w szczególności przez inne kościoły i związki religijne oraz rolników indywidualnych. Z kronikarskiego obowiązku wspomnę o ostatniej próbie zablokowania normalizacji.

Zdarzyła się na posiedzeniu Nadzwyczajnej Komisji Sejmowej, a jej celem było niedopuszczenie do uchwalenia Ustawy o gwarancjach wolności sumienia i wyznania. Krzątał się wokół tej inicjatywy emerytowany już bp Orszulik. Sparaliżowanie tej próby nie było trudne. 17 maja 1989 roku Sejm ustawę uchwalił. Po tym akcie, w oparciu o decyzję Komisji Wspólnej Rządu i Episkopatu w końcu czerwca odbyła się wspólna narada pełnomocników diecezji oraz ich radców prawnych z dyrektorami wojewódzkich Urzędów do spraw wyznań. Przygotowano na niej plan prac niezbędnych do realizacji ustaw zgodnie z ich literą i duchem. W procesie demokratycznych przemian w Polsce dokonano reform o fundamentalnym znaczeniu. Satysfakcja obywateli była duża, lecz trwała krótko. Wspomniana narada to był w istocie ostatni akt suwerennych działań państwa w sferze stosunków państwo – kościół. Trzy tygodnie później przywrócono stosunki dyplomatyczne między Polską a Stolicą Apostolską, o czym rząd i prezydent dowiedzieli się parę godzin wcześniej niż opinia publiczna. Komentarz do tego faktu wyjaśni, dlaczego mój odczyt ma tytuł: „Konkordat – podarunek Danaów”.

17 lipca 1989 roku, w godzinach przedpołudniowych, dotarło do mych rąk „Oświadczenie Sekretariatu Episkopatu Polski w związku ze wznowieniem stosunków dyplomatycznych między Polską

a Stolicą Apostolską”. W załączeniu do niego, kurtuazyjnie zredagowanym bilecie wizytowym abpa B. Dąbrowskiego, odebrałem gratulacje. A ja – po trzykrotnej lekturze tekstu – stwierdziłem, że w komunikatach kościelnych instytucji nie ma nazwy kraju, z którym przywrócono stosunki dyplomatyczne. Za każdym razem użyto formuły, iż przywrócono je „między Polską a Stolicą Apostolską”. Oświadczenie Episkopatu wskazywało jako podstawę wznowienie stosunków dyplomatycznych: „uchwalenie przez Sejm w dniu 17 maja 1979 r. (...) ustawy regulującej stosunki prawne między kościołem i państwem oraz istotne przemiany polityczne i społeczne dokonujące się szczególnie w ostatnim okresie w naszym kraju”. Po telefonicznym upewnieniu się, że rząd i prezydent dowiedzieli się o wznowieniu stosunków parę godzin wcześniej, zrozumiałem nie tylko to, że konwencja nie zostanie nigdy podpisana, ale także wymowę faktu, że wznowienie stosunków dyplomatycznych zostało polskiemu państwu po prostu zakomunikowane. Tak *zadziałane* akty polityczne uderzały w autorytet państwa. Potraktowano je podobnie jak Grzegorz VII potraktował Henryka IV w Cannosie. To było jasne natychmiast. Na tym tle użyte w Oświadczeniu sformułowanie, że wznowienie stosunków „sprzyjać też będzie wzrostowi prestiżu państwa polskiego na arenie międzynarodowej”, uznać trzeba za gołosłowne. Ten fakt zrozumieliśmy natychmiast, ale opinia publiczna nie zrozumiała wtedy ważniejszej rzeczy. Wiele mówiło się o spisku elit. Tę hipotetyczną diagnozę odrzucam. Przy „okrągłym stole” oraz w Magdalenie porozumiały się trzy realne siły polityczne; partia, „Solidarność” i Kościół. Tak powstała polityka porozumienia. Tam

powstał jej program dotyczący gospodarki i reformy państwa. W pierwszym dogodnym momencie, zaraz po zmianie układu sił, „Solidarność” przystąpiła do wojny błyskawicznej. Rzuciła wojownicze hasło: „Wasz Prezydent, nasz premier”. Było to odrzucenie polityki porozumienia i powrót do podziału na „My i Wy”. Ten zamach usankcjonował Jan Paweł II, dyktując osłabionemu państwu przywrócenie stosunków w jednostronnie określonym trybie. Zacytowane hasło i jego religijne błogosławieństwo zniszczyło szanse polityki porozumienia. Zastąpiono ją nieustającymi „wojnami na górze”. W tym marazmie tkwimy po dziś dzień. Zastąpienie opracowanej wspólnie Konwencji późniejszym podyktowaniem konkordatu, dwukrotna nowelizacja ustawy o kościele, zastąpienie suwerenności państwa procesjami jego urzędników, demonstrujących „synowskie posłuszeństwo wobec kościoła”, stało się czymś tak oczywistym jak przemiana dnia w noc. W przypadku Polski stosunki między państwem i kościołem Watykan oparł na regulacji konkordatowej jako: „jednostronnym prawie kościelnym, wydanym przez papieża na prośbę głowy państwa”. Polska stała się jedynym państwem europejskim, w którym rozpalono na nowo spór o inwestyturę.

Czy zniszczono wszystko? Moim zdaniem nie! Kościół wyraźnie zlekceważył mądrą przestrożę Wergiliusza” *Timeo Danaos et dona ferentes, Boję się Danaów nawet gdy przynoszą dary*. Przybywa faktów wskazujących, że ta polityka przygotowuje nową falę antyklerykalizmu. Dramatyczne osłabienie kondycji państwa wystawia sam kościół na walkę z monarchacją. Instytucjonalizacja kościoła redemptorysty Rydzyka i jego biskupich protektorów rodzi niepokój ludzi wierzących.

Przestaje znaczyć siła tradycji. Do głosu dochodzi logika wzajemnej więzi polityki i religii.

Stan prawny jest jaki jest, a jest zły. Jednak manipulowanie przy konkordacie nie może liczyć na aprobatę społeczeństwa. Przeciętny człowiek widzi w nim dowód naprawiania krzywd. Ludzie sądzą, że ten powrót do normalności powoduje straty, lecz ponosi je bezosobowe państwo i wyobcowane samorządy, a nie okaleczana w możliwościach rozwoju służba zdrowia, oświata i kultura. Normalny człowiek nie kojarzy swej pauperyzacji np. z faktem, że co dziesiąty ksiądz katolicki w świecie został wykształcony w Polsce na koszt polskich obywateli. Jak długo arytmetyka finansów publicznych nie stanie się przejrzysta, wzywianie do zmiany konkordatu wywoła jedynie podejrzliwość co do żywionych intencji. Lewica zawsze powinna patrzeć na świat oczyma człowieka pracującego. Powinna mówić nie o esencji, lecz o egzystencji religii. Odpowiadać na pytanie kto z czego żyje i co zagraża zwykłym ludziom. W obecnych warunkach majstrowanie przy konkordacie to błąd. □

dr Władysław Loranc – znany publicysta i działacz społeczno-polityczny.

Nauczanie moralności czy etyka?

Trud wychowywania moralnego podejmowano po wielokroć, od starożytności po nasze czasy. Skoro jednak podejmuje się go na nowo, widać dotychczasowe próby i efekty nie są zadowalające. Wydaje się, że problem sprowadza się do błędu w systemie, który polega na przyjmowaniu za podstawę sprzecznych ze sobą założeń. Jak choćby to, że człowiek jest z natury istotą złą („grzeszną”), lecz ma w sobie zadatki dobroci („iskrę bożą”), itp. Dochodzi do tego również pomieszanie porządków teoretycznego z praktycznym. Temu ostatniemu zagadnieniu chcę poświęcić niniejszą refleksję.

Bodaj większość naszego społeczeństwa nie rozumie po prostu pojęcia „etyka”. Wynika to z niedostatku elementarnej erudycji filozoficznej. Ogół traktuje etykę bądź to jako synonim moralności, czyli określenie wskazujące na deklarowane normy postępowania (inaczej: wyznawane), które są uznawane powszechnie za właściwe, tj. orzekające, co jest godziwe lub przyzwoite (w tym sensie mówi się o etycznej bądź nieetycznej postawie), albo też – pod kątem szkoły – postrzega się etykę jako tożsamą z edukacją moralną czyli wychowywaniem. Nie ma zaś na dobrą sprawę poważnej debaty, w której rozróżniałoby się i wyostrzało pojęcia etyki opisowej i etyki normatywnej. Dyskurs taki prowadzili niegdyś ze sobą prof. Maria Ossowska i prof. Tadeusz Kotarbiński.

Tymczasem etyka we właściwym tego słowa znaczeniu jest nazwą jednej z filozoficznych dyscyplin, dziedziną aksjologii,

po polsku – teorii wartości. Przy czym mało kto – z zabierających głos w tych kwestiach – pamięta o tym, że teoria jest właściwie opisem, czyli sprawozdaniem, inaczej mówiąc relacją o tym, jak się sprawy mają czy jak rzeczy wyglądają. A z punktu widzenia metodologicznego – zbiorem hipotez. Tak więc, gdy mowa o filozofii koherentnej (spójnej) z naukami szczegółowymi, odwołującymi się do jednej i tej samej rzeczywistości, nieustannie weryfikującymi lub fałfikującymi swe teorie (opisy, hipotezy), etyka jako część tak pojętej dyscypliny przybiera postać i ogranicza się do opisu tej części ludzkiego świata, w której funkcjonują zasady regulujące ludzkie zachowania od strony ich stosowności. Edukacja zaś w tym zakresie jest możliwa tylko w okresie wczesnego dzieciństwa, kiedy to pociechy nie umieją jeszcze mówić „nie chcę”, oraz dopóki nie wyciągają wniosków z tego, że dorośli nader często głoszą

jedno, a robią drugie. Z całą pewnością nie jest możliwa – uważam tak będąc praktykiem jako rodzic i nauczyciel – w wieku 15-19 lat, czyli na etapie szkoły średniej, gdy w dodatku buzują hormony i regulą jest bunt przeciwko światu z jego uciążliwościami; przeciwko obowiązkom nakładanym przez rodziców i resztę społecznego systemu, a także przeciwko przestarzałym zapatrywaniom i nawykom dziadków i babć. Sądę wręcz, że takie działanie – tj. edukacja moralna – przynosi więcej szkody niż pożytku. Nieraz bowiem sprawia niewyobrażalną przykrość, mianowicie w przypadkach, gdy nauczyciel moralności – zwany dawniej moralizatorem – przekonuje o moralnej naganności takiej czy innej decyzji, np. separacji małżonków lub rozvodu, aborcji względnie pozaustrojowego zapłodnienia, a w klasie są dzieci kochające i szanujące swoich rodziców – bo tego potrzebują – choć oni się rozwiedli, które wiedzą że mama przerwała ciążę, albo że same „pochodzą z próbówki” i chcą (czują że mają do tego pełne prawo), by je traktować jak istoty pełnowartościowe.

W bieżącym roku szkolnym – tak się jakoś dziwnie złożyło – indoktrynacja moralna nie jest w szkołach przymusowa. Ale już „mędracy” wymyślili, że trzeba poszukać dla niej innej formy, nie skompromitowanej hipokryzją i paranoją. Mam tu na myśli obłudę, dwulicowość i rozdwojenie jaźni na wirtualną i realną (postulatywna rzeczywistość i obszar codziennych doświadczeń). Oto przykład: głosi się wartość cierpienia („cierpienie uszlachetnia” itp.), lecz wszyscy stosują środki przeciwbólne. Tą nową formą kształcenia ma być etyka w szkołach ponadpodstawowych. No bo jak tu nie wychowywać młodzieży?! Przecież wiadomo, że istnieją wartości,

szlachetna i właściwa droga; szkoła musi je przyswajać, wdrażać! Wiedza wcale nie jest pierwszorzędną sprawą w naszej przezaczonej tradycji. Wiedza budzi wątpliwości, nawet zwątpienie. Także co do wartości moralnych. A za tym idzie jakże groźny relatywizm i ta okropność liberalizm!

Dla porównania: z nauczaniem praworządności jest dużo prościej. Wystarczy uruchomienie czynników samoregulacji, takich jak egzekwowanie prawa; a jeżeli nie ma komu tego przeprowadzić – ustanowi się wysokie nagrody pieniężne dla delatorów... Ostatnio pewne medium podało, że w jednym z miast wojewódzkich uporano się z problemem niepłacenia przez większość posiadaczy zwierząt „domowych” podatku od nich. Towarzystwo Opieki nad Zwierzętami, które z tego podatku utrzymuje swoją pożyteczną działalność, wpadło na pomysł, by zamiast tysięcy wezwań z sądowymi groźbami wysyłać po jednym na każdą ulicę. Gdyby dostali je wszyscy, to by się „umówili”, że nie ma co się przejmować i samorząd by się ugiął ze względu na głosy wyborcze. Kiedy zaś wezwanie dostaje jeden właściciel Burka czy Mruczka z danej ulicy, to najpierw się stawia i wygłasza tyradę: „dlaczego ja? przecież X, Y i Z też nie płacą!”. Następnie, gdy zrozumie, że będzie musiał zapłacić, po powrocie z urzędu przekonuje na najbliższym spacerze ze swoim zwierzęciem niepłacących sąsiadów, że opór nic nie da, bo tak czy tak będą musieli zapłacić. No bo skoro on już zapłacił – dlaczego im miałyby to ujść na sucho?!

Na niemoralne postawy i zachowania też zapewne można znaleźć jakieś sposoby. Należałoby tylko je wymyślić. Bez bagatelizowania sprawy i nie grzęznąc w bagnie tradycyjnej dwulicowości. Cała

nadzieja w inteligencji naszej młodzieży. Przygotowanej – poprzez wiedzę i racjonalną metodologię – do samodzielnego myślenia i wyciągania wniosków. Także, a nawet przede wszystkim, do porania się z rozterkami i dylematami moralnymi. Nie na drodze nauczania określonej doktryny, lecz poprzez zapoznawanie z różnymi systemami wartości w ich wymiarze teoretycznym oraz w obszarze historycznej praktyki. Nawyki moralne, takie jak odruchy współczucia czy społecznej solidarności, kształtują się w domu i otoczeniu. W szkole zaś jest miejsce na kształcenie w sensie wiedzy i umiejętności. Również życiowej mądrości. Pora przypomnieć ten projekt starożytnych myślicieli, który się gdzieś zagubił. Niczym błędni rycerze bowiem nadal wypowiadamy wojny – np. przemocy czy terroryzmowi – nie zdając sobie sprawy z tego, że wchodzimy w ten sposób w błędne koło, ponieważ przemoc rodzi przemoc. Zamiast rozwiązywać problemy – walczymy więc z wiatrakami. □

dr Józef Kabaj – filozof, etyk, publicysta



Joanna Kania-Obrok

*
* * *

Gorszy od braku muru
 Nie do rozbicia przekroczenia
 Nie znasz moich kryjówek
 Szkoda że nigdy
 Nie wejdiesz
 Do rzeki pełnej pereł
 Nie trafisz palcem w życie
 Ciało twoje to brak dotyku anioła
 Dlaczego nie umiesz
 Pływać w powietrzu jak kruk
 Szkoda że lepszego Boga
 Nie ma
 Napisałabym do niego list
 Poprosiłabym o diabła
 Bez tabu, z częstką
 Wszechświata w ustach
 Niech mnie całuje
 Wtedy dowiem się
 Kim naprawdę jestem
 Twoje książki stoją
 Na półkach jak
 Fiolki lekarstw
 Te które bierzesz
 Codziennie leżą
 Na szafce nocnej
 Otwierasz na obojętnej
 Stronie i wyciągasz
 Słowa jak tabletki
 Czasem zatruty
 Nimi leżysz
 Z obolałą głową
 Strony nasączone
 Średniowiecznym
 Narkotykiem
 Budzą do życia
 Falę wspomnień
 I wtedy w zbroi
 Niczym rycerz
 Rządzisz w tym
 Nędznym biurze

JERZY KOLARZOWSKI

Między etyką a psycholingwistyką kognitywną. Komunikacja społeczna w perspektywie filozoficznych nurtów XX stulecia

Aby badać obiektywną stronę ludzkiej świadomości i subiektywną stronę materii potrzebujemy nowej nauki.

Wolfgang Pauli¹

W dwudziestym stuleciu bogactwo powstałych i rozwój już istniejących kierunków refleksji filozoficznej było ogromne. Wymienię i krótko opiszę te szkoły, na które powołują się autorzy skupieni na analizie procesu komunikowania się między ludźmi. Będzie to po pierwsze, wywodząca się z tradycji żydowskich filozofia dialogu. Szkołą o niezmiernie rozległym obszarze oddziaływania będzie stworzona przez E. Husserla fenomenologia – czołowy nurt filozoficzny ubiegłego stulecia. Miał on licznych kontynuatorów wśród nich: R. Ingardena, A. Schütza, E. Levinasa i M. Merleau-Ponty'ego. Nurtem inspiracji najżywiej zaznaczającym się w przedkładanym opracowaniu, jest, wywodząca się z myśli późnego L. Wittgensteina – szkoła kognitywna, której badania kierują się najpierw ku językoznawstwu, następnie ku psychologii, by jednocześnie stać się programowym założeniem, autonomicznego, nowatorskiego kierunku filozoficznego.

Filozofia dialogu rozwinęła się w okresie pierwszej wojny światowej i w okresie międzywojennym za sprawą prac M. Bubera

i F. Rosenzweiga zyskując w filozofii współczesnej coraz większe znaczenie. Synonimiczne określenia tego nurtu to: filozofia innego, czy filozofia spotkania wskazują, jak pisze autor wstępu do polskiej antologii:

Na nieco tajemniczy, szlachetny sposób filozofowania, obiecujący ostateczne ufundowanie rozumu teoretycznego w praktycznym. Filozofia zwykle przemawiała w trzeciej osobie liczby pojedynczej. Jak każda wiedza stwierdzała, że „A jest B, czy nawet, że „A jest”, „A istnieje”. Także o ja mówiła „jest”. Z protestu przeciw tej niegramatyczności zrodziła się filozofia wypowiadająca „ja jestem”. Ja jestem, ja myślę natomiast nie – ja jest.[...] przed imperializmem mego „jestem” nie chroni „jest” rzeczy, lecz dopiero „jesteś” innego człowieka. Rzeczy są na to zbyt słabe dają się zagarnąć moim „projektom świata”, ty natomiast się temu projektowi skutecznie opierasz².

Filozofia dialogu po drugiej wojnie światowej starła się w nierozstrzygalnym sporze z fenomenologią, wnosząc w jej obręb niezwyczajnie szlachetne przesłanie etyczne – „per-

spektywę innego, drugiego ja, czyli Ty”. Pomimo bogatych źródeł czerpanych z dwóch tysiącleci tradycji żydowskiej, filozofia spotkania nie miała wystarczająco silnej podbudowy teoretycznej, by pokonać filozofię Zachodu skupioną wokół autonomicznego, osamotnionego „ja”, realizującego z determinacją swoje arbitralne cele.

Filozofia europejska z pewnymi zastrzeżeniami opowiada się za rozumem autonomicznym. Uzasadnia i formułuje warunki możliwego poznania, traktując je jako ostateczne i strukturalne zarazem. Zawsze też dąży do tego żeby rozważać byt jako całość. Pytanie o relację umysłu do świata często staje się pytaniem – o to samo – pytaniem stawianym od początku istnienia filozofii i uwikłanym w opozycyjne terminy między innymi, takie jak transcendencja / immanencja.

(...) *Najważniejszą cechą świadomości stanowi jej intencjonalność* (podkreślenie J. J. K). *Każde przeżycie to świadomość czegoś, jakiegoś przedmiotu. Spostrzeganie jest spostrzeganiem jakiejś rzeczy, sądzenie jest sądzeniem o jakimś stanie rzeczy, wartościowanie dotyczy tego, co wartościowe, itd. Z drugiej strony każdy przedmiot wszystko, co się w świadomości ukazuje, odsyła do świadomych przeżyć, w których się ukazuje. Spostrzegana rzecz odsyła do spostrzegania, sąd odsyła do sądzenia, itd. Tak oto powstaje właściwy przedmiot fenomenologii jej „naczelny temat” – korelacje między różnymi rodzajami przedmiotów a odpowiadającymi im rodzajami przeżyć³.*

Tymczasem termin pojawiający się na początku zacytowanej definicji – intencjonalność – zarówno w filozofii naukowej, jak i w życiu potocznym, okazał się określeniem stosunkowo szerokim, a przez to nieostrym⁴. Na potrzeby naukowego ujęcia procesu ludzkiej komunikacji warto ten wachlarz znaczeń

określenia intencja i imiesłowu odrzeczownikowego intencjonalność pokazać. W obszarze znaczeń tego słowa mieści się zarówno ukierunkowany zamiar, działanie z premedytacją (dobrze pasuje tu łac. określenie stosowane na potrzeby prawa karnego *dolus coloratus* – zamiar kierunkowy), jak i informacja udostępniona publicznie dla potencjalnego, przypadkowego odbiorcy (np. reklama, szyld, plakat, znak drogowy).

Skromne słowo intencja może spowodować, że odmienności w rozumieniu tego, co się pod nim skrywa, będą decydować o losach ludzi, bądź wspólnot, do których należą. A zatem, wydawać by się mogło, że banalny przykład z zakresu rozumienia choćby jednego słowa, ukazuje, że nasze rozumienie świata jest wyrażane słowami, zależy od słów i potencjału znaczeń, które im przypisujemy. Z kolei słowa i ich znaczenia są kształtowane poprzez miejsca i role w żywej mowie, którą się posługujemy w zależności od potrzeb i osobistego doświadczenia. W kontaktach ze wspólnotą, której właściwy jest dany język, wytwarza się charakterystyczne dla niej rozumienie świata, gromadzona jest wiedza, zapamiętywana, przechowywana i przekazywana następnie jako tradycja.

Drugiemu wielkiemu dziełu L. Wittgensteina „*Dociekania filozoficzne*” zawdzięczamy pojęcie „*gry językowej*” oraz metaforę, która porównuje zakresy znaczeniowe i sposoby użycia słów do figur w szachach⁵. Nie da się zrozumieć gry w szachy bez zapamiętania reguł określających sposobów poruszania się przypisanych poszczególnym figurom w obrębie szachownicy.

Nie można zrozumieć świata bez zrozumienia reguł użycia przypisanych słowom w obrębie języka, którym ten świat opisujemy. A skoro tak, fundamentalną płaszczyzną – wspólnym mianownikiem dla ludzkiego po-

znanie jest język. Wszystkie pytania, które stawiamy w związku z poszukiwaniem wiedzy na początku muszą zostać wyrażone w zrozumiałym dla nas języku. A jakiegolwiek informacje, które za pośrednictwem doświadczeń uzyskujemy, muszą także być przełożone na język, w którym nasze pytanie zostało zadane. Rozstrzygnięcie zagadnień filozoficznych oraz tych, które wynikają ze spotkania się filozofii i nauki mają jedną wspólną płaszczyznę odniesień – mowę człowieka. Nawet, jeżeli ktoś uważać będzie takie stanowisko za skrajne i uzurpatorskie na rzecz lingwistyki, nie może zaprzeczyć, że dla wielu badań np. na temat ludzkiego myślenia, psychiki, motywacji oraz sposobów działania człowieka badania nad językiem powinny stanowić: założony punkt wyjścia albo, stale obecną perspektywę porównań i odniesień, horyzont weryfikacji i uogólnień dla eksperymentów i wszelkich innych typów doświadczeń.

Tego rodzaju nakreślone pryncypia badań nad językiem pozwoliły w kilkadziesiąt lat po ukazaniu się „*Dociekań filozoficznych*” L. Wittgensteina sformułować interdyscyplinarny program badań nad świadomością człowieka nazwany *kognitywizmem* (lub *kognitywizmem poznawczym* w odróżnieniu od *kognitywizmu etycznego*). Program ten odwołuje się do wielu dyscyplin antropologiczno-humanistycznych. Zawiera postulaty antropologii kulturowej jako części filozofii, fizjologii mózgu jako części medycyny, skupiony jest na językoznawstwie, także włącza w swój obręb badania nad sztuczną inteligencją, jako część informatyki i teoretyczne. Ponieważ źródeł wiedzy o naszym myśleniu należy głównie szukać w badaniu sposobów użycia języka i w neurologii toteż program płynący z tak niezwykle radykalnych konstatacji redukuje refleksję filozoficzną do psycholingwi-

styki. W tak rozumianym programie filozofii kognitywnej jako psycholingwistyki nie ma dualizmu podmiotu i przedmiotu (często nie ma jej w naszej mowie, np. gdy konstruujemy stronę bierną). Ulega zniesieniu dualizm świadomości i ciała (za nasze stany ducha odpowiedzialny jest cały system nerwowy a nie tylko symboliczne serce czy mózg). W imię zbliżania się do prawdy jako procesu ciągłego postuluje się przekraczanie ograniczeń subiektywizmu i obiektywizmu. George Lakoff i Mark Johnson autorzy książki uznanej za manifest kognitywizmu filozoficznego⁶ wysunęli dość oczywiste tezy, stanowiące uzupełnienie książki z zakresu językoznawstwa. Tezy będące podsumowującymi filozoficznymi ustaleniami autorów, badających metaforyczne źródła pojęć abstrakcyjnych, stały się równocześnie fundamentalnymi założeniami dla całego kierunku. Tezy Umysł ludzki jest zakorzeniony w naturze mózgu i ciała oraz w środowisku przyrodniczo-społecznym. Nie jest całkowicie wolny. Nie możemy dowolnie myśleć.

Myślmy przeważnie nieświadomie i emocjonalnie. Rozum jest zaangażowany a zatem tylko w niektórych mocno dyskusyjnych i rzadkich wypadkach jesteśmy zdolni do chłodnego oglądu rzeczywistości. Na ogół jednak nie możemy chłodno kalkulować.

Pojęcia abstrakcyjne nie mają charakteru transcendentnego lecz metaforyczny są bowiem dziełem wyobraźni. Zamknięty krąg, w obrębie, którego poruszali się dotąd filozofowie wygląda następująco: wyobraźnia – abstrakcja – metafora – wyobraźnia. Ludzki rozum ukształtowała ewolucja i to zarówno ewolucja gatunkowa na naszej planecie, jak i ewolucja człowieka w poszczególnych epokach (poczynając od rewolucji neolitycznej aż po zmiany wprowadzane dzięki nowym mediom i informatyzacji).

Zgodnie z postulatami psycholingwistyki kognitywnej potrzebujemy pojęć budujących opis ludzkiego doświadczenia w kategoriach jedności⁷. W analizie ludzkiej świadomości realnie istniejących świat przedmiotów, treści poznawcze zeń płynące, kryteria oraz sposoby wydawania sądów o świecie i przedmiotach oraz ich wartościowanie nie dadzą się wzajemnie rozdzielić. Przełożenie strumienia świadomości na zapamiętane znaczenia słów nie różnicuje tego co realne, i idealne, tego co podlega osądowi i/lub się osądowi wymyka, tego co wartościowe w danym kontekście a neutralne lub anty-wartościowe w innym. Jest to zatem projektem, w intencji którego należy zatrzeć tradycyjny rozdział pomiędzy sferą bytu, metodami jego oglądu, a wyabstrahowaną w naszym umyśle sferą wartości.

Metody klasyfikacji wypowiedzi językowych podporządkowane modelowym i funkcjonalnym analizom stanowią teoretyczne podstawy przedłożonego opracowania. Stąd też znaczną część książki będą stanowić rozdziały poświęcone technikom wywierania wpływu w procesie komunikacji. Jednakże techniki językowe, które mogą stanowić wspańiałe narzędzie uzyskiwania

zamierzonego efektu nie powinny przesłonić nader istotnych przesłanek każdego procesu komunikowania się ludzi, a więc i procesu negocjowania.

Umiejętności negocjowania stają się coraz częściej nieodzowne w związku z ogromną ilością konfliktów ekonomicznych, politycznych, ideologicznych, które powodują niepokoje w małych i dużych grupach społecznych. Znajomość podstawowej wiedzy psychologicznej i socjotechnicznej z zakresu prowadzenia negocjacji staje się koniecznością a umiejętność jej stosowania może okazać się niezbędna w wielu dziedzinach życia publicznego (np. do przewidzenia zachowań osób,

które znamy jedynie z publicznych wystąpień w mediach).

W literaturze przyjęło się traktować negocjację dwojako: albo jako stan między porozumieniem i wojną⁸, albo jako uzyskiwanie porządných korzyści⁹. I w jednym i w drugim ujęciu celem osoby podejmującej aktywność komunikacyjną jest odejście od konfliktu na rzecz porozumienia.

Mimo, że w trakcie komunikowania się oddziałujemy na sferę psychiczną drugiego może zdarzyć się, że spotkana na naszej drodze osoba będzie wobec naszych planów, zamiarów, ambicji stanowić barierę nie do pokonania. Poznanie i kształtowanie przychylniej dla nas i naszych zamiarów postawy drugiego człowieka to podstawowy cel negocjacji. Proces poznawania spotkanej osoby nie jest łatwy, ani szybki i niekiedy stwarza wiele przykrych trudności, ale alternatywą pozostaje jedynie izolacja.

Kluczem do sfery intencjonalności Drugiego jest słowo. Słów należy używać starannie. Z ostrożnym wyczuciem powinniśmy dopasowywać się do naszych rozmówców, ale jednocześnie próbując, na tyle, na ile okaże się to niezbędne, rozszerzać ich zrozumienie świata i postrzeganie innych ludzi. Przekraczanie barier komunikacyjnych zarówno własnych jak i tych, z którymi przyszło nam się porozumiewać, to proces niezwykle złożony. Rzadko, kiedy uświadamiamy sobie, że kreowany przez naszą świadomość język oprócz precyzji opisu, kształtowany był (najczęściej nieświadomie), jako zmysł neutralizujący dysonanse poznawcze i drastyczne emocje. Praktyka zmierzająca do przyjaźni, otwartości i likwidacji barier między ludźmi powinna zacząć się od zmieniania zasobów istniejących metafor i tradycyjnych nawyków językowych¹⁰.

Porozumienie osiąga się, stale pamiętając, iż celem naszego wysiłku jest świadomość

drugiego człowieka. To drugi człowiek może okazać się dla nas istotą najważniejszą (opatrzościową, ratującą nas w niebezpieczeństwie). Dlatego stawiamy sobie jako założenie, że naszym celem jest przychylność otaczających nas osób a nie zasoby, które posiadają bądź reprezentują. Zdarza się, że drugą osobę spotkaną na naszej drodze potraktujemy instrumentalnie jako środek do zdobycia potrzebnych zasobów, pieniędzy, informacji wpływów. Jednak w każdej z takich sytuacji pamiętajmy o możliwości przekroczenia etycznego minimum, które mieści się w ekwiwalencji wzajemnych świadczeń.

Zwracając się w stronę praktyki nie można pominąć dorobku zorientowanych lingwistycznie terapeutów amerykańskich. Należy też zauważyć, że szczegółowym zastosowaniem naukowego programu kognitywistyki do metod i technik psychologii praktycznej jest NLP – programowanie neurolingwistyczne w psychologii. Podejście to z jednej strony sięga po zdobycze neurologii (dział medycyny badający system nerwowy człowieka) i neurologiki (nauka formułująca hipotezy dotyczące funkcji ludzkiego mózgu), z drugiej zaś odwołuje się do analizy języka, szczególny nacisk kładąc na psychologiczny kontekst komunikowania¹¹.

Zastosowane metody i technik w zamierzeniu twórców mają prowadzić do osiągnięcia całościowego opisu ludzkiego doświadczenia. Na styku kilku dyscyplin powraca zamierzenie, które w starożytności głosił Arystoteles a na początku XX stulecia podjęli twórcy prakseologii. □

Dr Jerzy Kolarzowski – Uniwersytet Warszawski

¹¹ P. M. H. Altwater, *Pamięć przeszłości. Jak ujrzeć przeszłość i wyjść poza granicę swego umysłu*. przekł. K. Chudziński. Dom Wyd. Limbus, Bydgoszcz 1997, s. 17.

² J. Doktor, autor wstępu do antologii tekstów filozoficznych *Filozofia dialogu*, SIW Znak Kraków 1991, s. 7, por. także M. Buber, *Między osobą a osobą* [w:] *Mosty zamiast murów. O komunikowaniu się między ludźmi*, praca zbiorowa pod red. J. Stewarta, PWN, Warszawa 2000, s. 622 i nast.

³ M. Soin, *Fenomenologia* – nota encyklopedyczna [w:] J. Bobryk, Twardowski. *Teoria działania*. Prószyński i S-ka, Warszawa 2001, s. 125. Na temat fenomenologii, jako samodzielnego kierunku filozoficznego w XX stuleciu oraz jego twórcy por. K. Świącicka, *Husserl*, Wiedza Powszechna Warszawa 1993.

⁴ Problem intencjonalności i jego „przełożenie” na zagadnienie referencji szeroko i błyskotliwie omawia A. Rojszczak, *Mentalizm, psychologizm, intencjonalność i semantyka referencjalna*, [w:] *Psychologizm, antypsychologizm* – pod red. A. Olecha, Aureus, Kraków 2001.

⁵ L. Wittgenstein, *Dociekania filozoficzne*, PWN (BKF) Warszawa 2000 (wyd. 2). Porównaj także M. Wolos, *Koncepcja „gry językowej” Wittgensteina w świetle badań współczesnego językoznawstwa*, wyd. Universitas, Kraków 2002; *Metafizyka jako cień gramatyki. Późna filozofia Ludwiga Wittgensteina*. Wybór tekstów – pod red. A. Chmielewskiego i A. Orzechowskiego, wyd. U Wr, Wrocław 1999, D. Pears, *Wittgenstein*, Prószyński i S-ka Warszawa 1999.

⁶ G. Lakoff, M. Johnson, *Metafory w naszym życiu*, PIW Warszawa 1988.

⁷ W kognitywistycznym programie badawczym ulega zanegowaniu dotychczasowy, a sięgający początków starożytnej Grecji, podział na tradycyjne gałęzie wewnątrz filozoficzne, takie jak epistemologia, ontologia i aksjologia. Patrząc w przeszłość, w efekcie dotychczasowych podziałów filozofii na niespójne ze sobą dziedziny, skonstatowano, że: wszyscy ci, którzy przykładowo zajmowali się problematyką etyczną traciłi z pola widzenia zagadnienia ontologiczne. Natomiast ci nieliczni, którzy tworzyli podstawy filozoficznego systemu i uprawiali ontologię rozdzielali ją od zagadnień aksjologicznych. Była to zatem, bądź aktywność wyrastająca z milcząco przyjętych filozoficznych założeń (np. etyka chrześcijańska, marksistowska, etyka utylitarystów), bądź abstrakcyjna spekulacja filozoficzna na temat bytu, zresztą łatwo poddająca się wszelkim zakusom ideologii”.

⁸ W. Mastenbroek, *Negocjowanie*, Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 1998.

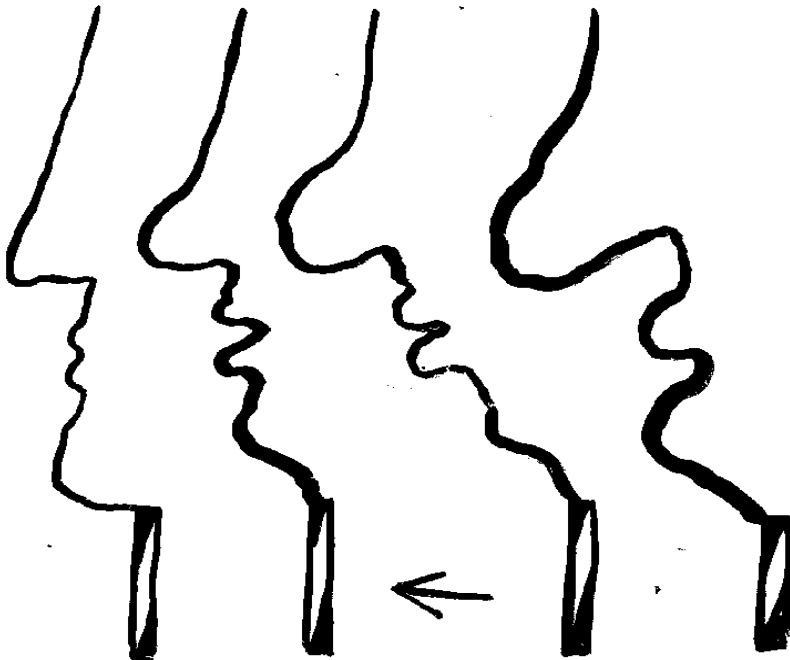
⁹ G. Kennedy, *Negocjować można wszystko. Jak za każdym razem dokonać udanej transakcji*. Wydawnictwo Studio Emla Warszawa 1999.

¹⁰ G. Lakoff, M. Johnson podają przykłady metafor odwołujących się do założenia wspólnego „ogrodu znaczeń” mówiące o tym, że argumentowanie to wojna: „Twoje twierdzenia nie dają się obronić”. „Zaatakował wszystkie słabe punkty mojego rozumowania”. „Jego uwagi krytyczne trafiły prosto do celu”. „Zburzyłem jego argumentację”. „Nigdy nie wygrałem z nim

sporu. Nie zgadzasz się? Dobrze, strzelaj!” „Jeżeli użyjesz tej strategii on cię pokona”. „Zbił wszystkie moje argumenty”: G. Lakoff, M. Johnson, *Metafory w naszym życiu*, wyd. cyt., s. 26. Badania, analizujące rozszerzanie się otwartości komunikacyjnej i pokojowe aspekty używania języka są dopiero u początków. Jeżeli jednak zmiany w semantyce słowa pisanego pozwolą na rekonstrukcję ewolucji świadomości, otrzymamy dodatkowe cenne źródło, pomocne w badaniach nad historią samowiedzy naszego gatunku, por. R. Koselleck, *Semantyka historyczna*, Wyd. Poznańskie, Poznań 2001.

¹¹ „Programowanie neurolingwistyczne jest, więc pierwszą dziedziną z zakresu etologii, nauk społecznych i poznawczych, wyraźnie poświęconą studiom dotyczącym „struktury ludzkiej subiektywności”. Wiedza na temat miarodajnych elementów „subiektywnej konstrukcji rzeczywistości”, opracowana w ciągu ubiegłych dwudziestu pięciu lat, stanowi dzisiaj coraz częściej punkt wyjścia dla nowatorskiej działalności badawczej, która zdołała pokonać paradygmat ogólnego, uniwersalnego człowieczeństwa na rzecz realnego uwzględnienia indywidualnych, społecznych i subkul-

turowych różnic.[...] NLP to nie jest zbiór teorii, a więc uczeni nie mają się, o co spierać. Są tylko metody, które można ocenić i porównać ze sobą pod względem skuteczności. A powodem, dla którego powyższe techniki rzadko, kiedy są popierane naukowo uzasadnionymi teoriami, jest fakt, iż są one wynikiem tak zwanego modelowania, czyli analizy działania ludzi sukcesu bez uwzględnienia ich teoretycznych przekonań. NLP narodziło się w latach siedemdziesiątych z powodu chęci naukowców metodycznego unowocześnienia psychoterapii. Można by nawet powiedzieć, że korzenie NLP sięgają czasów Arystotelesa, w rzeczywistości jej źródłem jest psychologia XIX wieku, a dokładniej prace Williama Wundta i Williama Jamesa. Natomiast wkład, jaki wnieśli w rozwój NLP Alfred Korzybski, Jay Haley, Howard Gardner, Milton Erickson, Jerome Singer, Carl Pribram oraz Szkoła Palo Alto zgromadzona wokół Gregory’ego Batesona, Virginii Satir i Paula Watzlawicka, został w stu procentach udowodniony”. L. Derks, *Techniki NLP w tworzeniu dobrych związków z ludźmi*, GWP Gdańsk 2003, s. 10 i 19.



Wyprawa po wolność z kamieniem w bucie

*Czuję, że jestem wolny, ale wiem, że nie jestem.*¹

Cioran

Artykuł ten porusza temat wolności w myśli Emila M. Ciorana. Głównym jego założeniem jest próba odkrycia wątku wolności, czającego się w ciemnych zakątkach myśli autora *Wyznań i anatem*. Wolność przewija się tam nieustannie zawoalowana w różnych kontekstach. Kwestie, które porusza Cioran są bardzo aktualne, na czasie, ważne dla współczesnej filozofii. Choć bliskie filozofii egzystencjalnej, to jednak podchodzą do tematu ludzkiej egzystencji od nieco innej strony, jest tam dużo wtęgotów z buddyzmu, ale także są tam wdzięcznie wplecione między innymi nastroje starotestamentowe i gnostryckie. Sam Cioran mówił: *tym co zawsze interesowało mnie najbardziej była filozofia-wyznanie*². Jest tak rzeczywiście, teksty Ciorana są bardzo osobiste, pisane „na gorąco”, pod wpływem chwili i emocji, do czego sam się przyznaje, pisząc: *Moja myśl powstaje nie jako proces, lecz jako rezultat, osad. Jest tym, co pozostaje po fermentacji-odpadkami, mętami*³.

Pesymizm z którego można czerpać siły

Istnieje taka tendencja, że ludzi zachłyniętych myślą Ciorana postrzega się jako potencjalnych samobójców, a jego książki,

zwłaszcza ta pierwsza, *Na szczytach rozpaczy*, zwane są „biblią samobójców”. Spróbuję w tym artykule odpowiedzieć na pytanie, czy rzeczywiście tak jest. Sądzę iż skłonność do postrzegania myśli tego rumuńskiego filozofa w tak powierzchowny sposób wynika ze zwykłej nieznajomości jego tekstów. Pisma Ciorana, wnikliwie przeanalizowane i głęboko przeżyte, dowodzą że są przesiąknięte pesymizmem, z którego, paradoksalnie, można czerpać siłę. Myśl Ciorana wypełniona jest przez ból, cierpienie, bezsens istnienia i balansowanie na krawędzi między życiem i samobójstwem, w rezultacie mimo tych wszystkich przeciwności Cioran wybiera życie.

Osobiście najczęściej sięgam po Ciorana w ciężkich momentach życia, szukam w nim odpowiedzi, pocieszenia, siły. Lektura Ciorana za każdym razem wstrząsa mną tak, jakbym wypila jednym haustem szklanke wódki szukając w niej ukojenia. Początki zawsze są ciężkie. Zazwyczaj już pierwsze wersety sprawiają, że czuję jakbym dostała solidnego kopniaka, mam dość, ale brnę dalej. Drugi kopniak, potem czuję się, jakby ktoś napluł mi w twarz, zbeształ, potrząsnął mną. W takich momentach budzę się z letargu. Rzucona w potworną rzeczywistość chcę uciec od tego, ale już nie potrafię. Cenię Cio-

rana właśnie za to, że już na wstępie nokautuje i tym samym zmusza do walki z samonięświadomością i oślepiającym samozadowoleniem. Są także chwile kiedy czuję, że zaraz wybuchnę, bo nie wiem już czy to ja czytam Ciorana, czy to On czyta mnie, uczucie, zaiste, irytujące i zachwycające zarazem. Wracając do lektury po dłuższym czasie, wstrząsa mną zawrót głowy, napięcie i chwilowe uczucie nudności połączone z kołataniem serca. Jest to dyskomfort porównywalny z tym jaki następuje, gdy zapala się papierosa po kilku dniach abstinencji. Zaraz po tym przychodzi dziwna błogość, pewien rodzaj odprężenia, ale to tylko chwilowy stan. Cioran w rozmowie z Fernando Savaterem wyznaje: (...)sądzę, że książka musi naprawdę być raną, że musi w taki lub inny sposób zmieniać życie czytelnika. Kiedy piszę książkę, chodzi mi o **przebudzenie** kogoś, o *schłostanie go*⁴. Trzeba przyznać, że znakomicie mu się to udaje.

Filozofia jest jak glina z której Emil Cioran wyrzeźbił się sam, mimo to ciężko jest go zaszufladkować w jakimkolwiek nurcie filozoficznym. On sam z pewnością nie życzyłby sobie by kłaść go na jedną półkę z kimkolwiek. Najczęściej można spotkać się z opinią, że Rumun ma wiele wspólnego z myślą egzystencjalną. Nie wiadomo, czy to z racji czasu w którym tworzył, czy może zupełnie przypadkiem, ale faktycznie można między Cioranem a egzystencjalizmem znaleźć pewne podobieństwa. Zarówno Cioran jak i egzystencjaliści z egzystencji człowieka czynili ośrodek filozofii. Występuje u nich wspólny motyw człowieka, którego istnienie wypełnia troska i trwoga, którego otacza nicność. Motyw infinityzmu (człowiek skończony styka się w życiu z nieskończonością) i humanizmu (człowiek jako motyw istnienia) również występuje u autora *Na szczytach rozpaczy*, jednak ma on do nich nieco odmienne podejście.

Związki z egzystencjalizmem

Cioran, podobnie jak egzystencjaliści, nieustająco drażył temat niedoskonałości natury człowieka, jego poczucia dramatycznej samotności i beznadziei wobec bezmiaru czasu i przestrzeni czy też wobec Boga. Egzystencjaliści próbowali znaleźć lekarstwo na ból istnienia poprzez dążenie do zbawienia, lub osiągnięcia wolności całkowitej poprzez spokój wewnętrzny. Dla Ciorana tak zbawienie jak i Bóg jest abstrakcją i choć szuka spokoju wewnętrznego i wolności, to jednak uważa, że człowiek może się wyzwolić szukając w sobie siły, by zrezygnować ze swojego człowieczeństwa, odrzucić świat, zapomnieć o sobie popadając w nicość, zatapiając się w niebycie. Cioran w młodości czytał Kierkegaarda i Heideggera i można zauważyć, że ziarno egzystencjalizmu zostało w nim zasiane i kiełkowało przez cały czas. Autor *Złego Demiurga* chętnie polemizuje z egzystencjalizmem, choć równie często polemizuje z samym sobą. W stosunku do Kierkegaarda jest raczej sentymentalny, z jego myśli nie czerpie wiele, ale można zauważyć pewne z niego naleciałości.

Podstawowym problemem nękającym Kierkegaarda było poczucie absurdu śmiertelnej ludzkiej egzystencji w stosunku do nieskończoności i wszechmocy Boga, albo niewiary w Boga i przyjmowanie wiecznie istniejącej przyrody, która jest wobec losu człowieka zupełnie obojętna. Ogólnie filozofia Kierkegaarda była wyzwaniem rzuconym ludziom wierzącym do zweryfikowania swej wiary w obliczu tegoż paradoksu egzystencji.

Cioran również zajmował się poczuciem absurdu śmiertelnej ludzkiej egzystencji, ale w obliczu niemocy i nieudolności Demiurga.

Z samym Heideggerem ma Cioran dużo więcej wspólnego. Heideggerowe *Dasein*

przekraczając byt w kierunku *Bycia*, wkracza w nicość i staje przed faktem, że jest i że otaczający go byt jest tylko nietrwałą i nieistotną strukturą przesłaniającą jego kształtujące się w nicości *Bycie* oraz, że śmierć jako nieprzekraczalna, ostateczna możliwość bycia będzie jego nieuniknionym końcem. Zatem *Bycie*, *Dasein* jest *byciem-ku – śmierci*. Odkrycie tego wywołuje w *Dasein* *Trwogę*, która skłania go do ucieczki w *upadanie*. Charakteryzuje się ono całkowitym zapomnieniem *Bycia* i skupieniem uwagi na bycie wewnątrzświatowym, który jawi się jako autonomiczny od *Dasein*. W *upadaniu Dasein* jest odurzony światem, który wydaje mu się bezpieczny, znajomy, w którym znajduje uzasadnienie i oparcie. W rzeczywistości jednak *Dasein* nieustannie ucieka, gdyż *Trwoga* zawsze czai się gdzieś w cieniu. U Ciorana człowiek także żyje w ciągłym przecuciu nadchodzącego końca, dla Niego człowiek zaczyna kończyć się w momencie zaistnienia. Życie jest *drogą-ku – śmierci*, albo może jeszcze gorzej *drogą ze śmierci*, bo każda chwila życia jest agonią. Człowiek oszukuje się uciekając w nieświadomość, jednak w chwili gdy uświadamia sobie ten fakt, gdy poczuje, że śmierć idzie z nim przez życie ramię w ramię, zaczyna odczuwać lęk, *trwogę* i niekończący się niepokój, że wszystko jest pozbawione sensu, że wkrótce nic po nas nie zostanie.

O Sartre Cioran mówi: *Naturalnie są pewne punkty wspólne między nami, bo czytywałem w części tych samych co on filozofów. (...) Jednakże czuje się kimś na antypodach Sartre'a, wszystkich jego metod, a nawet postępowania w życiu. Choć on sam nie jest mi antypatyczny. Mam dla niego coś w rodzaju sympatii. Ten pocziwiec ma jednak cechy szlachetne. Ale ma też w sobie jakąś naiwność dla mnie niezrozumiałą*⁵. Jednym z punktów wspólnych, o których wspomina wyżej

Cioran, jest bez wątpienia opisywany przez obu filozofów stan, który Sartre nazywa *Mdłościami*, a Cioran *nudą*. Zauważyłam wiele analogii łączących *nudę* z *Mdłościami*. Zaczęłam zatem od Sartre'a.

Sartre, starał się opisać byt człowieka, jako sam fakt istnienia, ale podjął się też próby przewartościowania pewnych wartości.

W *Mdłościach* Sartre krytykuje niektóre postawy tak filozoficzne, jak i intelektualne, próbuje odpowiedzieć na pytanie: jak człowiek odczuwa sam siebie i jak dany jest mu świat, lecz myślą przewodnią *Mdłości* jest *straszność* istnienia. Owa *straszność* charakteryzuje człowieka, który odkrywa, czy może raczej uświadamia sobie, swoje własne istnienie. Byt z chwilą, gdy staje się świadomy, zaczyna odczuwać *Mdłości*.

Antoine Roquentin, główny bohater *Mdłości*, jest około trzydziestki, nie przeżywa jakichś szczególnie traumatycznych historii, nie ma problemów finansowych, jego życie jest spokojne, banalne, można by powiedzieć, że wręcz nudne, wyzbyte problemów jakie posiadają tak zwani „normalni” obywatele. Jedyne co targa nim nad wyraz mocno jest pewien dziwny stan gwałtownych przeżyć psychicznych zwany *Mdłościami* – czucie się nie na miejscu, bez oparcia, obco, przepełnione wstrętem zdziwienie ciałem i światem – odczucie nienaturalnego na swój sposób stanu, jakim jest istnienie. Nie jest to jednak ten rodzaj burzy emocjonalnej, którą zazwyczaj przeżywają młodzi ludzie, bo Roquentin jest na to już za stary, a nawet stanowczo odżegnuje się od tych Kordianowskich uniesień, czy Werterowskich bolączek. *Mdłości* nie są żadną blokadą twórczą, żadnym kryzysem kreatywności. Roquentin nie ma aspiracji by się wyróżniać, odcina się od społeczeństwa i nie ma ochoty podporządkować się jego strukturom.

Mdłości dopadają człowieka w momencie, gdy zaczyna zdawać sobie sprawę z tego, że jego świadomość jest zupełnie wyodrębniona od reszty rzeczywistości, a jednocześnie skazana jest na rzeczywistość znajdującą się poza nią. Rozumie, że nie może istnieć sama dla siebie, może być tylko świadomością wciąż odnajdującą się wobec wszechobecnego bytu.

Niestety, człowiek będąc zupełnie odrębnym bytem nie może uwolnić się od rzeczywistości zewnętrznej. Takie istnienie zewnętrzne rzeczy (byty *en-soi*), widziane przez psychikę (był *pour-soi*) tworzy jednostkę wolną. Nie ma już *cogito ergo sum*, tylko *sum ergo cogito*, świadomość jest zawsze świadomością jakiejś rzeczy. Z naszego istnienia wynika pewna konsekwencja, a mianowicie nie jesteśmy w stanie w żaden sposób pozbyć się świata, z którym nie potrafimy się zidentyfikować, który nas przeraża, jest nam obcy, a w dodatku wydaje się nam zbędny. Istnieje jako prawda doświadczona, bo *istnienie poprzedza esencję*, czyli świadomość nie istnieje bez świata. Egzystencja przeraża, wyolbrzymiona realność budzi przeróżne potwory, w wyobraźni Roquentina, czy może raczej jego świadomość rodzi przeróżne obrazy i paranoiczne uczucia. Chce on wyzwolić się od nich, jednak nie potrafi. Zamiast tego popada w stan absolutnego poznania. Dostrzeganie wszechobecności bezsensu i ohydy, prowadzi do negacji istnienia. Jedyńm wyjściem z tej beznadziejnej sytuacji wydaje się być samobójstwo, jednak czy samobójstwo coś tu pomoże? Zbędność istnienia jest nieuchronna, nie da się jej uniknąć, gdyż została dana wszystkim, a samobójstwo w tym wypadku to jedynie usunięcie jednego, nieistotnego istnienia, więc nie ma większego sensu.

Roquentiowi marzy się nicość, jednak dręczy go wszechobecne, bezsensowne, ni-

czym nie uzasadnione istnienie: *Wszystko jest bezpodstawne: ten ogród, to miasto i ja sam*⁶. Roquentin Chciałby więc odnaleźć sens, który może istnieć w abstrakcyjnej twórczości, ale jakby to podsumował Cioran: (...) *każdy człowiek, który działa projektuje pewien sens. Przywiązuje sens do tego, co robi; jest to absolutnie nieuniknione i żalodne*⁷.

Ta mroczna paleta negatywnych wrażeń mogłaby nabrać jaśniejszych kolorów tylko dzięki odczuwaniu intensywnych, magicznych wrażeń, emocji, przygód, których Roquentin wciąż poszukiwał bez skutku. Istnienie rozrywane jest przez czas, dlatego Roquentin poszukuje tego co spoza czasu, jakiejś doskonałej jedności, czyli tego co w świecie rozedrganej materii jest najbardziej ulotne. Roquentin jest w tej sytuacji bezgranicznie zagubiony. Najdobitniej uświadamia to sobie w chwili, gdy po latach znów spotyka się z Anny, kobietą którą kochał i z którą łączyły go bliskie, choć osobliwe relacje. Antoine pokładał w niej nadzieję, była dla niego odskocznią od miazdzącej rutyny. Anny nadawała wyższy sens nie tylko swojemu, ale także ich wspólnemu życiu poprzez tworzenie w nim *sytuacji uprzywilejowanych i chwil doskonałych*. Wszystko upadło w chwili, gdy Anny stwierdza: „Skończyłam się”. Właśnie wtedy Roquentin zdaje sobie sprawę z tego, że wszystkie *sytuacje uprzywilejowane i chwile doskonałe*, które do tej pory pozornie nadawały życiu jakikolwiek sens, w rzeczywistości były tylko ułudą, a życie tak naprawdę nie ma żadnego głębszego sensu, istnienie jest bezcelowe, bezzasadne i nic tego nie zmieni. Odczuwanie *Mdłości*, czyli niekończącego się, monotonnego poczucia obcości życia, jest wynikiem czasu prawdziwe spostrzeżonego i przeżywanego.

Cioranowska nuda

Nuda, czyli czas, który nie upływa, któremu brak przedmiotu, czy inaczej, po Heideggerowsku – *nuda* to postrzeganie istniejącego. Poprzez *nudę* widzimy rzeczy, postrzegamy je i czujemy, że żyjemy. *Podczas nudy czas nie może upływać. Każdy moment puchnie i nie ma już, by tak rzec, przejścia od jednego momentu do drugiego. W następstwie tego zaczynamy żyć w radykalnym oderwaniu od rzeczy*⁸. Cioran też podkreśla, że nie chodzi tutaj o nudę kilkugodzinną, czy kilkudniową, lecz kilkuletnią, albo wręcz permanentną: *Nie chodzi o nudę, którą można przezwyciężyć rozrywkami, rozmową czy przyjemnościami, ale o nudę, można by powiedzieć, fundamentalną, polegającą na tym, że mniej lub bardziej raptownie, u siebie bądź u innych, albo w obliczu pięknego krajobrazu człowiek czuje, że wszystko jest puste, nie ma treści ani sensu. Pustka w sobie i na zewnątrz. Cały wszechświat rażony jest nicością. Nic już nas nie ciekawi, nic nie zasługuje na uwagę. Nuda to zawrót głowy, ale spokojny, monotony ; to objawienie powszechnej nieważności, to pewność granicząca wręcz z osłupieniem bądź najwyższym jasnowidzeniem, że nie można, nie powinno się nic robić na tym świecie ani na innym, że nie ma na świecie nic, co mogłoby nam odpowiadać, bądź nas zadowolić*⁹.

W życiu istnienie i czas działają jak jeden organizm, my natomiast posuwamy się wraz z czasem, ciągle do przodu, jednak *nudzac się* „czas odrywa się od istnienia” i staje się wobec nas zewnętrzny. Akt życia jest włączeniem w czas „jesteśmy czasem”, *nudzac się*, odłączamy się od czasu, wypadamy z niego. Cioran przyznaje, że stan ten można w pewnym stopniu polubić, a nawet się w nim

rozsmakować. W tej kwestii – nie pierwszej i nie ostatniej – zgadzam się absolutnie z Cioranem. Wszak, czyż to nie między innymi *nuda* właśnie popycha ludzi do wszelkiego rodzaju twórczości?! Choć Cioran napisał: *Nie robię nic, rzecz jasna. Śledzę jednak upływ godzin, a to jest lepsze od prób ich wypełnienia*¹⁰, to jednak faktem jest, że mało kto nie próbuje ich wypełnić. Nawet sam Cioran nie był w stanie oprzeć się próbom wypełnienia *godzin nudy*. *Nuda* to matka kreacji, jest fundamentem wszystkiego co „wartościowe”. Odważę się nawet stwierdzić, że bez *nudy* nie byłoby sztuki, nauki, przyjaźni, a może nawet miłości. Wszystkie te wartości są prawdopodobnie wynikiem *nudy*, a paradoksalnie powstały po to, by tę *nudę* zabić, by świadomość istnienia bolała mniej.

Oczywiście jest to niemożliwe, lecz czasem pomaga na krótką chwilę zapomnieć o wszechogarniającej *nudzie*, o męczących *Mdłościach*. *Nuda* była zawsze i nadal jest *nieszczęściem mego życia, nierozzerwalnym w oderwaniu od fizjologii. Dzieje się coś takiego, że odczucie pustki, poprzedzające nudę albo będące nią, przekształca się w doznanie ogólnie obejmujące wszystko, skutkiem czego znika jej podstawa organiczna*¹¹.

Skoro była mowa o *nudzie*, to wypadaloby też wspomnieć o kolejnym, niezwykle istotnym pojęciu w filozofii Ciorana, a mianowicie o *pustce*. Cioran był wytrwałym poszukiwaczem, niezmordowanym intelektualno-duchowym podróżnikiem, przekraczał bariery, łamał zasady, gotów był poświęcić wszystko byle tylko nie zstąpić z tej ścieżki, odrzucał wszystko to, co mogłoby go rozpraszają. Siłą napędową jego poczynań było poczucie pustki. Pustka była jego obsesją, można by rzec, że nawet celem.

Inspiracje buddyzmem

Cioran rozróżnia dwa rodzaje *pustki*; *trwoga przed pustką* oraz *przyciąganie pustki*. *Trwoga przed pustką* jest równoznaczna z *nudą*, lecz jest pewnym doświadczeniem metafizycznym, czymś pozytywnym, ale pozytywnym w buddyjskim znaczeniu. *Pustka*, dzięki której możemy wyleczyć się ze wszystkiego. *Bytowi odejmuje się wszelkie własności, po czym, zamiast uczucia braku, a więc pustki, mamy uczucie pełni – poprzez brak. (...) pustka jako narzędzie zbawienia. Jako droga, ścieżka do zbawienia*¹².

Mowa tu o *Śunjata* (pustość)¹³, która jest stanem pozytywnym, w przeciwieństwie do *nudy* nie jest przyczyną oszołomienia, ale sama w sobie jest formą oszołomienia, które prowadzi do wyzwolenia i nie jest to złudzenie wolności, o który wspomina Cioran: *Z punktu widzenia filozoficznego problem wolności jest bardzo prosty: w naszych gestach widzialnych jesteśmy wolni, mamy złudzenie wolności. Ale w istocie rzeczy nie jesteśmy wolni. Wszystko, co głębokie, neguje wolność*¹⁴.

Poprzez oderwanie się, likwidację absolutną, zrzucenia wszelkich więzów, górujemy nad wszystkim, nie ma już nic, co mogłoby nas ograniczać i tym sposobem górujemy nad światem. Gdy nie mam już nic stajemy się wolni. Cioran twierdzi, że wyzwolenie nastąpi tylko wtedy, gdy zrozumiemy własną przypadkowość i bezsens naszych codziennych starań. Odkrycie pustki nawet w tym co do tej pory miało jakiś sens i wartość daje wiedzę prowadzącą ku wyzwoleniu, odziera świat z pajęczyny iluzji.

Cioran nie uznaje zbawienia ani Boga, który w czymkolwiek by nam pomagał, stąd w samym człowieku musi odnaleźć siłę, dzięki której dotrzeć można do ekstatycznego stanu

nieuwarunkowanego, zwłaszcza przez czas, w którym byt byłby równie czysty i niematerialny jak niebyt. Pustka u Ciorana jest jak przeznaczenie, w kierunku którego bez ustanku jest pchany na swojej duchowej ścieżce; jest to zasada rzeczy. Napotykamy na nią, gdy poddajemy redukcji byt. Byt taki okazując się tylko sumą przypisywanych mu atrybutów idzie w parze z pustką, której podstawową funkcją jest odarcie nas z przyzwyczajzeń, nawyków i skłonności, które powinny odpaść z nas jak strup z zagojonej rany. Trzeba zrezygnować ze swojego człowieczeństwa, stając się nie-człowiekiem zapominamy o sobie i o świecie, upajając się niebytem, śmiało odrzucamy kulturę i historię, a każdą chwilę przeżywamy jak najintensywniej kontemplantując w ten sposób wieczność. Po dotarciu do wieczności niczego już nie oczekujemy, niczego też nie żałujemy, nie chcemy ani życia ani śmierci, zapominamy o przyszłości i przeszłości. Absolut odnajdujemy poprzez zapomnienie się w doznaniach nam dostępnych, wtedy gdy nie unikamy doznań, przeżyć negatywnych – cierpienia, bólu – bo ich najwyższe napięcie, może znieść różnicę między nimi, a doznaniem największej rozkoszy; przenosimy się wtedy w pozaczasowy wymiar, wpadamy w stan nirwany.

Wobec wieczności cierpienie i rozkosz są niczym, ale mogą być środkami do celu, do zbawienia, wyzwolenia. Takie wyzwolenie nie prowadzi nas ani w górę ani w dół, lecz może prowadzić nas w obu tych kierunkach jednocześnie. Ta droga wstecz jest w rzeczywistości nakierowana na zniszczenie *Ja*. *Ja* doświadcza, doznaje, to osobowość zorganizowana wokół świadomości – głównego zła (i dobra), *Ja* jest źródłem cierpienia, gdyby go nie było, nie byłoby też cierpienia. Cioran jest zarówno indywidualistą, jaki i antypersonalistą. Samoświadomość jest źród-

dłem cierpienia bowiem przeciwstawia świat człowiekowi, oddziela człowieka od świata i nieustannie przypomina o nieuniknionej śmierci. Zarówno świadomość jak i osobowość są złem, ponieważ pozwalają nam dostrzegać fakt, że jesteśmy nieszczęśliwi. Szczęście możemy osiągnąć tylko poprzez zapomnienie, zniszczenie własnej osobowości, rezygnację z człowieczeństwa – świadomości, stopienie się ze światem.

Cioran widział ogromny problem w swoim niezwykłym przywiązaniu do kultury, ta bowiem kształtowała jego osobowość i świadomość, a jednocześnie wiązała go ze światem idei i materii, których to właśnie chciał się wyzbyć. Jego celem było unicestwienie ego, jednak miłość do sztuki i kultury mu to uniemożliwiała, bo: *Być jałowym – i tyle stąd mieć doznań! Wieczna poezja bez słów!*¹⁵.

Z Cioranowskiej postawy życiowej wynikają charakterystyczne dla jego myśli paradoksy: *Mieć jednocześnie upodobanie do prowokacji i do niepokażności, z instynktu być mąciwodą, a z przekonania – trupem!*¹⁶

Cioran za drogę do wyzwolenia się z istnienia proponował obranie postawy biernej, statyczności bycia, naśladowanie kamienia. Źródło cierpienia i sposób jego wygaszenia są i u buddystów i u Ciorana podobne, ale już pojęcie „ja” jest rozumiane inaczej. Dla Ciorana *Ja* to substancjalny, stały, centralny element, „niezmienny substrat osobowości”; nie da się go zniszczyć za pomocą medytacji. Natomiast dla buddystów *Ja* to proces, łańcuch nieustannie powstających i ginących aktów, nie ma autonomicznego bytu, jest „egzystencjalną iluzją”. Nauka buddystów o zbawieniu jest optymistyczna, a u Ciorana zbawienie to przytomny skok w świat pochłaniany przez otchłań nicości. Różni się też buddyzm i Cioran jeśli chodzi o antropologię. W buddyzmie człowiek ma niemal boskie

możliwości jeśli chodzi o wyrwanie się z *Samsary*, u Ciorana człowiek jest nędzny, chory i upadły, bezsilny, myślący, a zatem i samotny. Zwierzę różni się od niego tym, że po prostu jest takie, jakie przyszło na świat. Z kolei człowiek to chaos, zlepek wszelkich możliwych elementów i z tej różnorodności musi sobie stworzyć *sens*, musi się nauczyć tego, kim jest przy równoczesnym założeniu, iż nauka nigdy się nie kończy; zatem zawsze jest tym, kim nie jest i nigdy nie jest tym, kim jest. Bycie *nie – człowiekiem* to ustawiczne przeskakiwanie z jednej formy do innej, to nieustanne szukanie, to napór nicości na to, co wygospodarowaliśmy sobie w naszej egzystencji, to równoczesne bycie i nie bycie lub bycie takim, a zarazem innym, to bezustanne wyzwanie się z siebie i popadanie w innego siebie aż do momentu śmierci i zastąpienia. Z tego też powodu Cioran gardzi jednowymiarową iluzją, skostnieniem w jednej formie, w jednym obłędzie, bo w jednowymiarowości w żaden sposób nie może spełnić się idea człowieka jako tego, który jest nieustannie *nie-człowiekiem*.

Każda droga, czy też obłęd, jest dla niego dobra a zarazem zła, dobra jeśli dostrzegamy inne i to, że uciekamy w jakąś iluzję, zła jeśli nie dostrzegamy innych. Być *nie – człowiekiem* to niekończąca się podróż przez to, czym być możemy, mieszanie elementów, pełna świadomość naszej nicości i nieskończoności świata, pełna świadomość własnej kondycji i niepokonany apetyt na obłęd. Być *nie – człowiekiem* oznacza też pokochać własne uwięzienie w świadomości, choć jest ono tak nieznośne, bo tylko dzięki niemu przecież jesteśmy. Oznacza wreszcie zaakceptować nicość, oraz śmierć.

Dla Ciorana śmierć jest pewną formą dystansu, dzięki któremu człowiek może spostrzegać rzeczy takimi, jakie są w rzeczywi-

stości, odartymi z wszelkich pozorów. Takim pozorem jest dla Ciorana samo życie, które oddała człowieka od Boga, a nie tak jak sądzimy, przybliżyła nas do niego. Świadomość ta wychodzi poza zjednoczenie się z Bogiem. Bóg nie jest dla niego końcem poszukiwań, on go przekracza. Napotyka go, ale w niego nie wierzy. Ludzie na ogół są przedmiotami; właśnie dlatego pragną, by Bóg *istniał*. Kiedy przestajemy być przedmiotami i stajemy się sobą, znika problem, czy Bóg jest czy go nie ma. Staje się on na nasze podobieństwo, nierealnością w poszukiwaniu samego siebie.

Ekstazę utożsamiał Cioran natomiast z zerwaniem z tradycyjnie pojmowaną percepcją, zapomnieniem. Śmierć jest nierozdzielnie związana z samobójstwem, które zawsze fascynowało Ciorana, nie interesuje go jednak jako rodzaj aktu tylko jako ostatnia możliwość, jako jedyna broń człowieka przeciwko absurdowi życia. Życie traktuje jako brutalny przypadek, na który, chcemy tego czy nie, jesteśmy skazani. Człowiek wymyśla samobójstwo niejako w obronie swojej godności, by, choć raz stać się panem sytuacji. Jest to więc wyraz ludzkiej godności, jakby złośliwy żart zrobiony Stwórcy. Jest ono zawsze u autora „Ćwiartowania” równoległe wobec religii i czyni zeń mistyka o władniętego obsesją wolności.

Stąd łatwiej jest zrozumieć dlaczego Cioran nie wierzy. Stan wiary zaprzeczałby bowiem ciąglemu wątpieniu, które najbardziej płodne w swojej istocie prowadzi go ścieżką do Boga. Cioran mówił, że myśl o samobójstwie pozwala mu żyć, że gdyby nie ona, już dawno by się zabił. Świadomość tej możliwości przyprawiała go o upojenie porównywalne z ekstazą. Choć nigdy nie uważał się za zwolennika samobójstwa, zawsze podkreślał użyteczność i terapeutyczną formę jego idei. Nie dziwi Ciorana fakt, że w każdej reli-

gii to samobójstwo właśnie jest traktowane na równi z innymi zbrodniami: *Dlaczego religie zakazują samobójstwa? Próbując nadać życiu sens w chwili, gdy ma go najmniej. W istocie wszystkie są nihilizmem przeciw samobójstwu*¹⁷. To ono bowiem daje człowiekowi największą wolność. Być może jedyną, jaką w rzeczywistości posiadamy.

Cioran nie próbuje odżegnywać się od swojej porywczej natury, egotyzmu, niepokoju duszy. Nieustannie wątpi, jest sceptykiem, mistykiem a zarazem poszukiwaczem. Nie uważa się za filozofa, bo tymi gardzi, traktuje siebie jak mistyka. Nie toleruje żadnych systemów i krytykuje wszystkich, którzy są do jakiegokolwiek systemu przywiązani. Za to oberwało się nawet samemu Buddzie: (...) *Czyżby Budda, nawet on, był zwykłym belfrem? Jego wyrzeczenie jest zbyt systematyczne, w jego rozczarowaniach za dużo konsekwencji*¹⁸.

Wybiera, zatem, mowę fragmentaryczną jako formę swego niesystemowego myślenia; właściwie bardziej przeżywania, gdyż myśl według niego zatrzymuje w miejscu to, co odczuwamy i czyni zeń byt zupełnie bezpłodny. Myśli swoje wyraża najczęściej w formie aforyzmów, bo jest u niego formą zapisu subiektywnego przeżywania świata, które w swych ekstremalnych punktach (zerwania ze światem) jest ekstazą.

Filozof medytacji wątpiącej

Cioran okreśłany jest często jako filozof medytacji, lecz nie takiej, która dąży do ukojenia, ale raczej do rozdrapywania, drażnienia zastanego stanu rzeczy. Ta metoda służyć ma oczyszczeniu w zapomnieniu. Nie możemy osiągnąć równowagi w świecie, dopóki istnienie jest już jedynie stanem. Wtedy bowiem jesteśmy z nim już tylko w zgodzie, już

to w niezgodzie. Podczas, gdy istnienie jest czymś nieredukowalnym: oporem, na który natrafiamy i którego nie musimy uzasadniać z naszą subiektywnością. Brak równowagi w świecie, owoc oburzenia świadomości, stąd się bierze, że nie potrafimy myśleć o rzeczywistości w sposób neutralny. Jakichkolwiek nie podjęlibyśmy wysiłków, zostaje ona stanem rzeczy, na który przystajemy lub nie. Im bardziej nasza świadomość staje się subiektywna, tym mniejsza jest autonomia bytu. Ile my zyskujemy intensywności, tyle rzeczywistość traci obecności. Mieć świadomość oznacza nie być już na jednym poziomie z istnieniem. Rumun nieustannie wątpi, kultuwyuje wręcz ironiczne, cyniczne wątpienie, z którego często wynikają przeróżne sprzeczności.

Uczynić coś albo nie uczynić, to według Rumuna jedno i to samo. Cioran nie popełnia samobójstwa, bo: *Obsesja samobójstwa to właściwość człowieka niezdolnego już ani do życia, ani do śmierci, i którego uwaga nigdy nie odrywa się od tej podwójnej niemożności*¹⁹. *Trzeba żyć twarzą w twarz z bytem, a nie z umysłem. Naprawdę liczy się tylko to, by rozumieć, nie zaś produkować*²⁰. *Dlaczego się nie zabijam? Gdybym wiedział dokładnie, co mi w tym przeszkadza, nie stawiałbym już sobie pytań, gdyż znalazłbym wówczas odpowiedź na wszystkie*²¹.

Autora *Upadku w czas* można więc uznać za mistyka, który w poszukiwaniach nieustannie napotyka na niemożność komunikacji z samym sobą i Bogiem. Boga nazywa złym Demiurgiem, ale nie jest to gnostycki, złośliwy Demiurg. Demiurg Ciorana jest nieporadny, niedoskonały, niemy, jest nicością: *Wszystko bez Boga jest nicością, Bóg zaś jest nicością najwyższą*²². Z Bogiem nie można poprowadzić dialogu, w ogóle niemożliwe jest z nim jakakolwiek komunikacja ani ucieczka do niego – na tym polega ludzki dramat. Nato-

miast boskim dramatem jest ludzka historia, gdyż Bóg nie tylko wmieszany jest w proces stworzenia i niszczenia, będący sednem życia, ale cierpi wraz z nim, nieskończenie intensywniej. Jest to wspólne nasze nieszczęście, które – biorąc pod uwagę skalę wielkości – Jego niszczy być może wcześniej niż nas. Cioran w przeciwieństwie do Nietzschego nie ogłasza śmierci Boga, a raczej jego upadek, ale Cioranowski Bóg, tak jak i Nietzscheański jest niezależny od wiary. Ten rodzaj śmierci jest także wyzwoleniem od *choroby woli*, czyli wiary. Wiara była *chorobą woli*, potrzebą znalezienia osoby wydającej nam rozkazy.

Człowiek odzyskując wolę popadał w stan nihilizmu, mogąc wiele, lecz nie wiedząc do końca czego chce. Wyrazem tego jest m. in. chrześcijańska nicość przeciwstawiona najlepszemu bytowi – Bogu. Nie o takiej jednak nicości pisze Cioran. Dla niego taka zastała w swojej formie nicość nie ma nic wspólnego z tą poszukiwaną przez ludzi: Człowiek tęskni za nicością stworzoną przez Boga, jest jednak zbyt skończony i ograniczony by osiągnąć Boga. Nie zmienia to faktu, że Bóg nieustannie przywołuje człowieka do siebie, determinuje go, by przewyciężył wytworzony przecież przez samego Boga stan skończoności. Cioran nieustrudzenie zmagął się z Demiurgiem, przepychał się z nim, oskarżał, próbując uwolnić się od niego. Na uzasadnienie swojej „niewiary” Cioran podkreśla, że nawet niewierzący chce rozmawiać z *Jedynym*, dlatego, że nie jest łatwo porozumieć się z nicością.

W konsekwencji Rumun poddaje się stwierdzając, że ani wiara, ani wyzwolenie nie są mu przeznaczone, nie jest do nich stworzony, ponieważ jest zbyt mocno związany i przywiązany do kultury: *Jeśli o mnie idzie musiałem dać za wygraną, bo zdecydowanie nie jestem stworzony do wiary. Usposobienie*

*mam takie, że negacja zawsze była u mnie silniejsza niż afirmacja. Można to uznać za demoniczny aspekt mojej natury. Zresztą z tego powodu nigdy nie potrafiłem uwierzyć w cokolwiek bądź. Owszem, chciałbym, ale nie mogłem*²³.

Cioran uważał również, że lekarstwem na „chorobę czasu” jest starość. Trzeba poddać się jej w sposób absolutnie świadomy, cierpliwie i spokojnie czekać aż wygasną w nas energia woli życia, pragnienia i popędy. *To czekanie na starość jest tedy oczekiwaniem wzrostu wolności i zrozumienia. Nie musimy się w tym względzie wysilać; czas zrobi swoje za nas, to nasz wielki sprzymierzeniec*²⁴. Autor „Złego Demiurga” akceptował własną starość, w połowie lat osiemdziesiątych przestał pisać, ponieważ, jak twierdził, wyleczył się, zrzucił brzemię. *To, co odczuwałem w ciągu wielu lat, przemieniło się w książki, które jakby napisały się same*²⁵.

Cioran zmarł 20 czerwca 1995 roku w Paryżu, w wieku 84 lat, choroba zabrała mu pamięć, a wraz z nią okazję by „śmiać się w chwili ostatniego smutku”, tak jak to wszystkim, a przede wszystkim sam sobie obiecywał. Zgłębianie myśli Ciorana wywołują emocje, które mogą porównać do wspinaczki na bardzo stromą górę. Towarzyszy jej adrenalina, strach, niepewność, chęć wycofania się w połowie drogi. Jeśli nie poddam się, to dotrę na sam szczyt, czuję ogromną satysfakcję, chwilową euforię, zachwyt słowami, które spływają na mnie i oblepiają niczym zimna mgła na szczycie góry. Jednak zaraz potem prócz pięknych widoków roztacza się przede mną wizja zejścia. Dociera do mnie, że to jeszcze nie koniec, że wejście na szczyt to tak naprawdę dopiero połowa drogi. Zostaję sama z myślami, już bez towarzysztwa Ciorana, i mam wybór: skoczyć ze szczytu i bać się tylko przez chwilę, lub schodzić

powoli i przez całą tę drogę odczuwać lęk. Wybór należy do nas. Wybór to wolność, żaden z nich nie jest zły, czy dobry. Cioran szuka wciąż sposobu na zmniejszenie niedogodności istnienia choćby poprzez twórczość, poprzez wykrzyczenie tego wszystkiego co nas boli, bo *obsesje wyrażone ulegają osłabieniu i poniekąd przezwyciężeniu*²⁶. Autor *Zarysu rozkładu* życie traktuje jak kamień w wysokim, ciasno zawiązanym bucie, ciężko jest go wyjąć, ale możemy sobie chociaż poprzeklinać, pokrzyćceć, ponarzekać. Śmierć i cierpienie jest jedyną i niepodważalną prawdą, inne prawdy łagodzą ból istnienia tylko w tym stopniu, w jakim są w stanie przysłonić tę pierwszą. Cioran mimo tych wszystkich przeciwności nie rezygnuje ze świata, odnajduje w istnieniu pewien urok, który polega na tym, że człowiek pomimo świadomości wszystkich tych okropności staje się „wspólnikiem życia”. W rozmowie z Helgą Perz zapytany o sens śmieje się i odpowiada: *To pytanie dręczyło mnie przez całe życie, ale nie znalazłem odpowiedzi. (...) Trzeba się z tym pogodzić i przyjmować życie takim, jakie jest*²⁷. Dopiero w momencie, w którym pojmiemy naszą przypadkowość, nedorzeczność i nieistotność codzienności, absurdalność naszego istnienia; kiedy w pełni doznamy nicości tego, czym jesteśmy, wtedy dopiero będziemy mogli bezkarnie zatapić się w każdej darowanej nam przez los chwili. Bo tak naprawdę wyzwoleniem jest świadomość, że nie ma żadnego zbawienia i choć rozczarowująca, nie pozwala nam zgorzknieć lecz uczy jak robić dobra minę do złej gry, jak dzielnie znieść życie mimo bólu i niewygody. *A więc cierpicie, pijcie, wychylajcie puchary przyjemności do dna, płaczcie albo śmieJCie się, krzyczcie z rozpaczY albo z radości, wyśpiewujcie miłość albo śmierć – bo i tak nic z tego wszystkiego nie zostanie!*

*Cała moralność chciałaby zrobić z tego życia sumę straconych okazji*²⁸.

*
* * *

Czy książki Ciorana są „biblią samobójców”? Uważam, że owszem, są, ale po obcowaniu z Jego myślą zazwyczaj nabiera się do wszystkiego dystansu. Cioran nie mydli oczu, nie obiecuje, że istnienie kiedykolwiek będzie bardziej znośne, wręcz przeciwnie, zdiera kłapki z oczu i uświadamia nam jeszcze dobitniej, że żyć znaczy cierpieć i że jedynym ratunkiem jest odkrycie pustki, która nie jest osiągalna dla większości z nas. Najważniejsze jednak, że roztacza przed nami możliwość wyboru między życiem a śmiercią, to jest jedyna wolność na którą możemy sobie pozwolić, bo prawdziwą wolnością jest nigdy się nie narodzić, oto klucz do całej zagadki: *Nie zaznać narodzin... na sama myśl o tym – jakież szczęście, jaka wolność, jaka przestrzeń*²⁹! □

Katarzyna Tanalska – mgr filozofii, absolwentka Uniwersytetu Szczecińskiego.

Śródtytuły podchodzą do redakcji (M.D)

¹ E. M. Cioran, *O niedogodności narodzin*, przeł. I. Kania, Oficyna Literacka, Kraków 1996, s. 73.

² *Rozmowy z Cioranem*, przeł. I. Kania, KR, Warszawa 1999, s. 19.

³ *Ibidem*, s. 11.

⁴ *Rozmowy z Cioranem*, op. cit., s. 16

⁵ *Rozmowy z Cioranem*, op. cit., s. 47

⁶ J. P. Sartre, *Mdłości*, przeł. J. Trznadel, Zielona Sowa, Kraków 2005, s. 151

⁷ *Rozmowy z Cioranem*, op. cit., s. 55

⁸ *Rozmowy z Cioranem*, op. cit., s. 58.

⁹ *Ibidem*, s. 23.

¹⁰ E. M. Cioran, *O niedogodności narodzin*, przeł. I. Kania, Oficyna Literacka, Kraków 1996, s. 4.

¹¹ *Rozmowy z Cioranem*, op. cit., s. 101.

¹² *Rozmowy z Cioranem*, op. cit., s. 59.

¹³ Śunjata (z sanskrytu *pustka, pustość*), jedno z ważniejszych pojęć buddyzmu mahajany, sformułowane przez Nagardżunę w filozofii środkowej drogi (mahajamika). Oznacza, że wszystkie zjawiska i rzeczy, łącznie z osobowością i świadomością człowieka, nie posiadają stałej natury. Cały świat stanowi układ ciągle zmieniających się uwarunkowań. Nic nie istnieje samo z siebie, ale jest wynikiem współwystępowania różnych elementów. [źródło: portal wiedzy.onet.pl]

¹⁴ *Rozmowy z Cioranem*, op. cit., s. 55.

¹⁵ E. M. Cioran, op. cit., s. 45.

¹⁶ *Ibidem*, s. 115.

¹⁷ E. M. Cioran, *Zły Demiurg*, przeł. I. Kania, Oficyna Literacka, Kraków 1995, s. 85.

¹⁸ *Ibidem*, s. 143.

¹⁹ E. M. Cioran, op. cit., s. 64.

²⁰ *Ibidem*, s. 67.

²¹ *Ibidem*, s. 57.

²² *Ibidem*, s. 107.

²³ *Rozmowy z Cioranem*, op. cit., s. 182.

²⁴ I. Kania, *Cioran, albo o anachronizmie mądrości*, [w:] E. M. Cioran, *Zły Demiurg*, Kraków 1995, s. 132

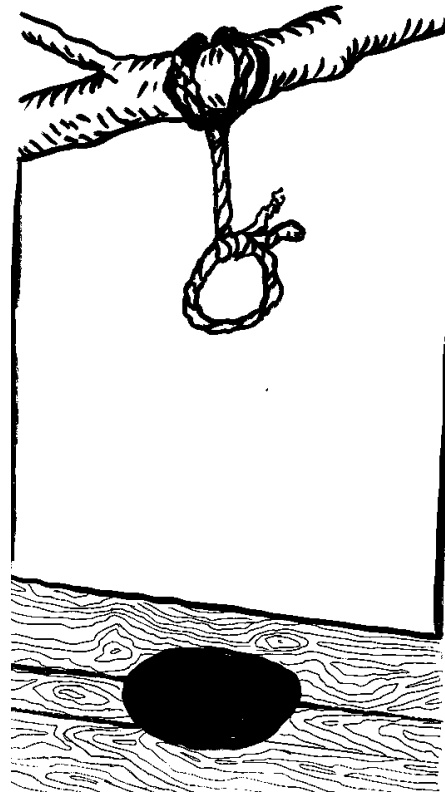
²⁵ *Rozmowy z Cioranem*, op. cit., s. 126.

²⁶ *Ibidem*, s. 13.

²⁷ *Rozmowy z Cioranem*, op. cit., s. 25.

²⁸ E. M. Cioran, „Na szczytach rozpaczy” przeł. I. Kania, wyd. Oficyna Literacka 1992, s. 101.

²⁹ E. M. Cioran, op. cit., s. 20.



Marian Dziwisz

Prawie metafizyczny, czyli wirtualny

Czy był już koniec świata?
Być może
Bo jestem tu i teraz
obrazem – myślą – słowem
bez ciała – krwi - kości
nic mnie nie boli
i nic nie dolega
dla każdego
na wyciągnięcie ręki
na pstryknięcie palców
na kliknięcie myszki
nie istnieją dla mnie wschody
i zachody słońca
zasypianie i wstawanie
nie znam co to łaknienie lub pragnienie
chyba, że...
Tu jest niebiańsko, chociaż przyznaję:
niekiedy wkurza mnie
ten drugi ja – żyjący realnie
jakbym był od niego zależny
muszę go prosić aby mi pozwolił
być samodzielny
rozmawiać z kim zechcę
wędrować gdzie mi się podoba
ciągle muszę pożyczać od niego:
palce, myśli, słowa
mam nadzieję, że to się skończy
w końcu go przeżyję
w końcu
Wielki Konstruktor bytów wirtualnych
Pozwoli mi żyć swoim własnym życiem.

Szczęśny Wroński

Stary poeta i urząd absolutu

przenikalność światów staje się regułą
przez pergamin poety przedziera się
światło
sączą się zapewniania podłość zostanie
ukarana
szlachetność opatrzy się nagrodą
stary poeta wie że dobro rodzi się w bólu
stary poeta wie że wiersz rodzi się w bólu
stary poeta wie że człowiek rodzi się by
doświadczać
nicości i kategorycznie jej zaprzeczać

Roman Wysogład

*
* *

samotność jest bielą
opisaniem ust
zamknięciem drzwi
pościeleniem łóżka
samotność to obraz
ledwie rozpoczęty
zepchnięty w pogranicze beztroski

marzec 1969

Sens przekazu obrazem fotograficznym oraz wpływ struktury mistyfikującej na jego zawartość

Dzisiaj, jak nigdy dotąd życie człowieka jest ściśle związane z kulturą wizualną. Kultura ta stała się globalna, co sprawiło, że ludzie zaczęli postrzegać rzeczywistość przez pryzmat obrazu. Obraz stał się nośnikiem informacji, wiedzy, doznań estetycznych i wartości. Można go czytać jak książkę. Jeden obraz można podzielić na kilka fragmentów, które połączone stanowią całość. Fotografia, obecna w niemal każdej dziedzinie medialnego przekazu (prasa, reklama, rozrywka) jest nie tylko znakiem wpisanym w całość procesu komunikacji, ale również sama stanowi zakodowany przekaz, funkcjonujący samodzielnie, wymagający interpretacji. Warto tutaj zaznaczyć, że poniższe rozstrzygnięcia dotyczące sensu przekazu fotograficznego i jego mistyfikacji są jedynie zarysem problematyki.

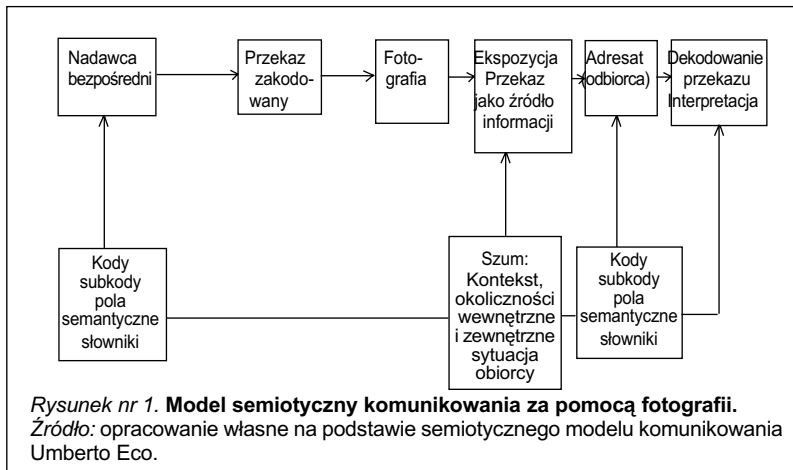
Każda fotografia rozpatrywana może być jako rejestracja obiektywnej rzeczywistości, niejako lustrzane odbicie tego, czego naocznie doświadcza podmiot. Fotografia komunikuje się z odbiorcami za pomocą symboli. Nowatorskim będzie tutaj przedstawienie procesu aktu komunikacyjnego opierając się na cassirerowskim modelu komunikowania.

Ernst Cassirer uważał, że proces komunikacji składa się z trzech elementów: podmiotu, przedmiotu i wspólnoty. Podmiot to samoświadomość siebie, która wyraża się za pomocą pojęć kulturowych. Dzięki samoświadomości mitycznej rozumiemy cechy swojej świadomości indywidualnej. W pojęciu podmiotu mieści się również myśl, która jest swoistym rodowodem społecznym. To ona tworzy przedmiot, który jest dopełnieniem podmiotu, jest on symbolem. Istnieje niezależnie od iadomości. Przedmiot, który istnieje w mimie występuje w postaci fenomenologicznej, w związku z czym rzeczywistość mityczną ludzie przyjmują „na wiarę”, nie przyjmują jej jako obrazu samego w sobie. Uświadomienie sobie natomiast istnienia przedmiotu możliwe jest dzięki mitowi. Wokół przedmiotu tworzy się wspólnota, czyli grupa ludzi, którzy umieją odczytać dany symbol. Aby umiejętnie zinterpretować komunikację kulturowo – symboliczną człowiek musi mieć odpowiednie kompetencje kulturowe (musi stać się idealnym nadawcą – odbiorcą) oraz znać idealne kody używane przez społeczeństwo. Nie można stworzyć ogólnego modelu podmiotu, bo nie da się w sposób ca-

łościowy określić świadomości indywidualnej każdego z osobna odbiorcy. Oczywiście jednak w procesie komunikowania, zwłaszcza współczesnego przekazu medialnego, taka „idealna sytuacja” będzie jedynie modelem postulowanym. Zarówno nadawca bowiem, jak i odbiorca będą nie tylko podejmować aktywność w określonych sytuacjach, ale również będą dysponować określonymi indywidualnymi uwarunkowaniami percepcyjno-wytwórczymi. Biorąc pod uwagę te czynniki wewnętrzne jak i zewnętrzne sytuacji

komunikacyjnej za pomocą fotografii, pragnę odnieść się tu do modelu komunikowania zaproponowanego przez Umberto Eco:

nak nie chodzi tu jedynie o kłamstwo, czy też zamierzoną manipulację. Może ona bowiem mieć także i bardziej subtelną wymowę. Mam tu na myśli przede wszystkim świadome odwoływanie się do mitów, bazowanie na ich społecznie zakorzenionym znaczeniu, które nie tylko służyć będzie owej manipulacji, ale dodatkowo będzie wzbogacać znaczenie fotografii. Należy w tym miejscu wspomnieć o indywidualnych uwarunkowaniach samego fotografa, który dysponować będzie własnymi kodami i subkodami, polami semantycznymi oraz słownikami, w oparciu o które dokonuje niejako interpretacji fotografowanego obiektu. Odpowiednie naświetlenie, ką-



Nadawca funkcjonuje tu już nie tylko jako przedłużenie obiektywu, ale jako obsługa techniczna aparatu, ale również i odpowiednia jego interpretacja oraz przełożenie na ‘język fotografii’. Fotograf może bowiem tak dobrać fotografowany obiekt, światło, czy kolorystykę, aby uzyskać pożądany efekt. Ponadto może on naginać rzeczywistość oraz odwoływać się do takich konotacji, aby fotografia niosła ze sobą pożądany przekaz. Znaną są w historii mistyfikacje, które wywoływały ogromne emocje, a okazywały się jedynie zmyślnym zabiegiem fotografa. Jed-

uczenia, czy też dobór tła będą tu zależeć od nadawcy (fotografa) przekazu, w zależności od tego co chce przekazać.

Po stronie odbiorcy również pojawiają się wspomniane czynniki zewnętrzne oraz wewnętrzne, które stanowić będą o interpretacji percypowanego przekazu. Podmiot zatem dekodując fotografię będzie bazował na tym co widzi, filtrując to przez układ odniesień indywidualnych oraz społecznych. Nie bez znaczenia jest oczywiście kontekst sytuacyjny, w którym znajduje się sam odbiorca. Wszelkie szumy oraz nastroje podmiotu, to-

warzyszące kontaktowi z fotografią będą warunkować nie tylko zakres odbioru i zrozumienia komunikatu, ale również i samą jego interpretację.

Warto w tym miejscu zatrzymać się na procesie percepcji fotografii, którą to analizę przeprowadzę w oparciu o model semiotyczny Rolanda Barthesa. Kluczowym jest tutaj rozróżnienie między znaczącym a znaczącym oraz między konotacją a denotacją. Recepcja obrazu fotograficznego przebiegać będzie na trzech poziomach: denotacji, konotacji oraz mitologizacji. Denotacja opiera się na bezpośredniej obserwacji dzieła fotograficznego. To wszystko to, co odbiorca widzi gołym okiem, a czego doświadcza w pierwszym kontakcie ze zdjęciem. To jakby recepcja „fizycznych”, świadome źródło przekazu. W gestii nadawcy zatem pozostaje nie tylko sama rejestracja danego fragmentu rzeczywistości, a zatem jedynie wybór obiektu fotografowanego oraz naocznych danych przekazu fotograficznego. Jej podstawą są zatem kompetencje percepcyjne odbiorcy. Kolejnym etapem jest konotacja, która stanowi niezwykle złożony proces, bazujący na danych zarejestrowanych podczas denotacji. Podmiot przefiltrowuje to, co widzi przez złożony system indywidualno-społecznych filtrów. Z jednej strony istotne będą tu zatem jednostkowe uwarunkowania odbiorcy (nastój podmiotu, wcześniejsze kontakty z fotografią, kontekst sytuacyjny) oraz kulturowo-społeczne zaplecze (przyswojone wzorce społeczno-kulturowe), które to będą prowadzić do indywidualnych, szerszych skojarzeń i powiązań. Synteza tych trzech poziomów stanowić będzie zwieńczenie procesu percepcji. Dopiero w tym momencie można mówić o właściwym dziele fotograficznym, którego przekaz został przez podmiot zdekodowany. To dopiero etap mitologizacji stanowi właściwe ramy dla indy-

widualnie zdekodowanego przekazu. Fotograf robiąc zdjęcie, a później je publikując chce abyśmy doznali jakichś odczuć. Ale to, że fotograf tego chce nie wystarczy. Fotografia, aby powodowała u odbiorców doznania musi przyciągać uwagę, musi stawiać sądy. Fotograf musi zostawić w zdjęciu coś dla widza.

Fotografia, jako narzędzie komunikacji stanowi oczywiście element szerszego procesu komunikowania medialnego, który kreuje rzeczywistość podmiotu. Ta otaczająca nas rzeczywistość jest jednak, zdaniem J. Baudrillard'a przepętniona obrazami, które pozbawione są sensu. Obrazy – przedstawienia wchłonęły niejako samą rzeczywistość, stając się symulacjami rzeczywistych wydarzeń. Symulakry zdominowały przekazy medialne, ale również i całe otaczające nas uniwersum. Podmiot bombardowany jest fragmentami pseudo – całości, której części tylko na pozór stanowią sensowną syntezę. Fragmentaryczny jest zatem nie tylko sam przekaz, ale również i podmiot (*podmiot fraktalny*), który reaguje na te oderwane od siebie, odsensowane kawałki. Doskonałą ilustracją fragmentaryzacji dyskursu medialnego jest właśnie fotografia, stanowiąca skrótowy i naoczny zapis informacji. Agonia rzeczywistości, recesja symulaków oraz sposób serwowania symulaków wpływa bezpośrednio także na zdolności percepcyjne podmiotu. Pozornie rytm komunikatów medialnych wyznacza informacja, która jednak walczy o miejsce z rozrywką, główną pożywką bezosobowej *maszy*.

Komunikat, który niesie ze sobą fotografia stawia odbiorcom intelektualne wyzwanie. W odczytaniu treści zawartej w zdjęciach pomaga nam niewątpliwie mit, który jest jedyną drogą do wkroczenia w strukturę czasu mitycznego. Mit pozwala cofnąć się odbiorcy do czasów istnienia najbardziej pierwot-

nych przedmiotów, postaci i wydarzeń, pozwala odnaleźć archetypy. Rodzimy się w określonej zbiorowości społecznej, która w procesie socjalizacji przekazuje nam swoją wiedzę kulturową, a więc i strukturę archetypiczną. W procesie tym uzyskujemy odpowiednie kompetencje społeczne i kulturowe, które pozwalają nam doszukać się w obrazach fotograficznych nie tylko treści denotacyjnych, ale również elementów konotujących znaczenie przedstawionego obrazu, pogłębiając jego znaczenie. Patrząc na zdjęcie musimy budować sami jego historię. R. Barthes uważa, że mit ułatwia odbiorcom to zadanie. Każdy przedmiot bowiem może stać się mitem w chwili, gdy zostanie on zawłaszczony przez społeczeństwo oraz gdy przedmiot ten ma swoje odniesienie w dalekiej przeszłości. Idąc tym tropem możemy stwierdzić, że fotografia jest tworzywem słowa mitycznego. Mit w fotografii dostrzega pewną sumę znaków, z których każdy jest wyrazem jakiegoś pierwotnego łańcucha semiologicznego. Bardzo ważną rolę w procesie mistyfikacji obrazów fotograficznych odgrywają niezauważalne na pierwszy rzut oka szczegóły, które implikują w sobie symbole. To właśnie symbol jest tym narzędziem, które pozwala odbiorcy na przywołanie odpowiedniego mitu. Ale sam obraz nigdy nie będzie symbolem, ponieważ obraz jest tylko dokładnym odtworzeniem przedmiotu. Symbol zostaje powołany do życia w czasie mitycznym. Nieświadomie każdy człowiek dąży do powrócenia w ów świat, w którym nie pojawiła się jeszcze historia. Dzieje się tak dlatego, ponieważ wszyscy nosimy w sobie taką część swojego człowieczeństwa, które powstało jeszcze przed narodzeniem się historii. Częścią tą jest mit i symbol. To co odczytujemy z fotografii wyraża naszą tęsknotę za przeszłością. Na zdjęciach pojawiają ogromne ilości symboli, któ-

re budują naszą mityczną świadomość. Spójrzmy na zdjęcie poniżej, na którym widać dwa bardzo popularne w kulturze europejskiej symbole: wodę i drzewa. Pierwszy z nich symbolizuje święta wodę, która implikuje zarówno śmierć jak i narodziny. W Portugalii, w Walii i w Bretanii wierzy się do dziś, że ludzie rodzą się podczas przyływu, a umierają wtedy, kiedy jest odpływ. Kontakt z wodą zawsze daje możliwość regeneracji. Woda to symbol istnienia. Natomiast drzewa są symbolem świętych gajów. W kulturze europejskiej drzewa to symbol zmarłych. Dusze ludzkie zamieszkują drzewa. Przykład ten pokazuje, że wszystko co widzimy, nie tylko na fotografii, zbudowane jest z symboli. Ale dopiero konkretny przedmiot, czy osoba zostają uznane za odzwierciedlenie formy symbolicznej, kiedy przedmiot ten zostanie odpowiednio zastosowany, a osoba zacznie odpowiednio działać.



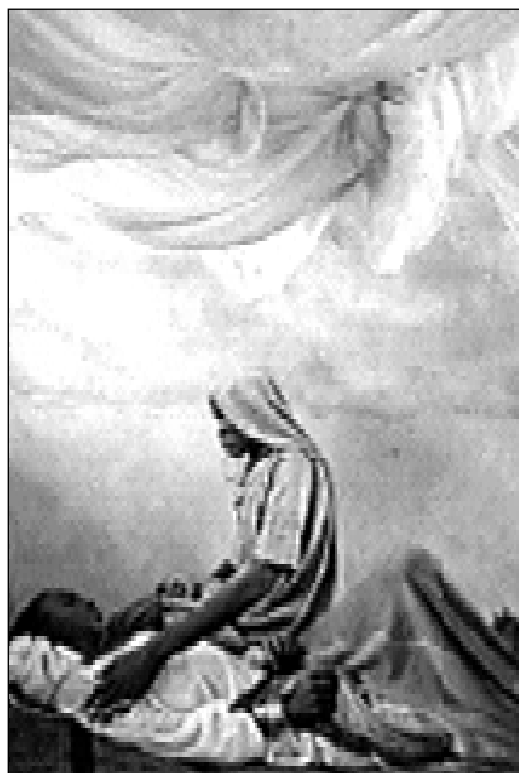
Fotografia 1. Kyoichi Sawada, Południowy Wietnam 1964
Źródło: <http://www.sgi.org/spanish/inicio/quarterly/13/ArteEducation1.html>

Fotografowie robią swoje zdjęcia w najdalszych zakątkach świata, nie zawsze znamy kultury, które pokazywane na zdjęciach, nie zawsze wiemy, gdzie położone są miasta, w których mieszkają bohaterowie obrazów fotograficznych. To właśnie symbol pozwala nam na poznawanie innych, obcych nam cywilizacji i kultur. Dlatego symbol jest tak waż-

nym elementem mitu. To symbol będzie powodować, że myśl mityczna będzie się uzewnętrzniać poprzez przybranie odpowiedniej formy, dzięki mitowi treść będzie się utrwałać w odpowiednim znaku, który to znak będzie stawać się uniwersalny i istnieć jako symbol.

Symbole są do siebie podobne i w związku z tym mogą występować jako „cała rzecz”. Te szczegóły zostają w micie połączone w cały obraz, przez co pojawia się inna funkcja mitu, jaką jest synteza. E. Cassirer, wybitny badacz mitu, twierdził, że mit oprócz funkcji syntezy i łączenia kultur będzie także dawał możliwość odnajdywania głębi obrazu. Tylko wtedy, kiedy odnajdziemy w fotografii jej głębokość będziemy mogli zrozumieć zawarty w niej mit. Innymi słowy, głębokość pozwala odbiorcom zdjęć na połączenia mitu z określonym wydarzeniem, które miało miejsce w przeszłości. Z fotografii zamieszczonej poniżej, odczytujemy mit Martwego Chrystusa, ale będzie on dla odbiorcy dopiero wtedy zrozumiały, gdy zdjęcie, na którym widać leżącego, martwego mężczyznę odniesie do wydarzeń Męki Pańskiej. Takie mity, które zawierają w sobie fotografie nie są bowiem mitami samymi w sobie, ale stanowią one nawiązanie do kulturowej samowiedzy. Podążając za tym co napisał E. Cassirer o „komunikacji mitycznej” możemy szczegółowo prześledzić funkcjonowanie symbolu w mitycznej opowieści. Znowu odwołam się tutaj do fotografii, która zawiera w sobie mit Martwego Chrystusa.

Najpierw, mówi E. Cassirer, trzeba treść mitu zakomunikować poprzez przybrane formy obrazu. W każdym kościele, i na wielu obrazach spotykamy się z obrazowym przekazem Męki Pańskiej, na którym między innymi przedstawiona jest śmierć Chrystusa.



Fotografia 2. James Nachtwey, Sudan 2005

Źródło: <http://appl.chinadaily.com.cn/static/photo2004/48th/ci1.htm>

Obraz ten na początku funkcjonuje jako symbol cierpienia, ale z czasem przeradza się on w dogmat. W ten sposób powstaje opozycja między symbolem, czyli obrazem obdarzonym sensem (śmierć Chrystusa to cierpienie a zarazem nadzieją) a dogmatem – obrazem wyzbytym tego sensu. Fotografia daje nam obraz obdarzony sensem, ponieważ obraz ten zbudowany jest z symboli. Sama fotografia również nabiera przez sens cech symbolicznych. Obraz fotograficzny w momencie komunikowania tworzy pewien stan posiadania świadomości treści, gdyby jednak zdjęcie stało się dogmatem to nie uczestniczyłoby ono w budowaniu zawartości indywidualnej jaźni, bo tylko obraz, który zawiera sens może tworzyć wspólnotę. Fotografia włącza współ-

czesnego człowieka w czas mityczny, powoduje, że człowiek zaczyna przeżywać inne historie. Dzisiejszy czas, czyli czas linearny zostaje zniesiony poprzez naśladowanie archetypów. Zdjęcia pozwalają nam powrócić do najbardziej pierwotnych symboli. Z chwilą dostrzeżenia mitu wkraczamy w sferę czasu mitycznego. Symbol staje się w fotografii narzędziem, którego zadaniem jest rozwiązanie zagadki bytu ludzkiego.

Każdy obraz łączy w sobie pojęcie negatywne i pozytywne, nazwane przez Clauda Levi-Straussa binarnymi opozycjami semantycznymi. Koncepcja ta pozwala na wyodrębnienie niewidocznych gołym okiem kadrów z mitu wraz z ich przeciwstawnymi znakami. Binarna opozycja semantyczna porządkuje nam postrzeganie zmysłowe. Taką najprostszą opozycją, która wyraża najprostszą orientację człowieka w przestrzeni i percepcję doznań kontrastowych w mitach jest opozycja typu niebo – ziemia, ukazująca się w micie Martwego Chrystusa. Pojawiają się tutaj też tzw. opozycje binarne wyższego typu np.: opozycję góra – dół możemy odnieść do opozycji niebo – ziemia. Istotną rzeczą jest to, że góra zawsze będzie ulegała sakralizacji. Zjawisko to pokazuje, że w fotografiach zawsze znajdujemy coś co jest *sacrum* i coś co jest *profanum*. Ponad to co jest na wyższym poziomie, czyli w tym konkretnym przypadku niebo i góra będzie zawsze miało wartość dodatnią. Takie połączenie opozycji binarnych w systemy dualistyczne będzie wprowadzało między te semantyczne pary ekwiwalentność, która łączy w jedną grupę górę i niebo, a w drugiej będzie łączyć dół i ziemię. To łączenie zachodzi w takim stosunku, że góra do dołu mogą być w konkretnych, określonych warunkach wyrażone stosunkiem niebo i ziemia. Takie połączenie ze sobą opozycji binarnych sprawia, że mit staje się uniwersalny, że do-

strzegamy bardzo podobne mity, albo wręcz takie same ich treści w różnych kulturach, ale wrazone innym kodem lub na innym poziomie.

Fotografia jest zatem mistyfikacją rzeczywistości. Proces mitologizacji zdjęć zaczyna się już od pierwszego spojrzenia na nie. Mit w dzisiejszej epoce pełni funkcję przypomnienia, organizującą doświadczenie człowieka w pewną logiczną całość. Wykorzystuje do tego różnego rodzaju opozycje, które pokazują człowiekowi co jest dobre a co złe, co jest *sacrum* a co *profanum*. Jedno pojęcie mityczne może mieć nieograniczoną liczbę elementów znaczących. Można znaleźć ogromną ilość zdjęć, które będą symbolem mitu Martwego Chrystusa, które będą przykładami tragicznej śmierci, ale i zwiastunem lepszego jutra. To jest właśnie podstawowa cecha mitu, czyli to, że pojęcie może rozciągać się na olbrzymią przestrzeń elementu znaczącego, np. cały album fotograficzny może być elementem znaczącym tylko jednego pojęcia. To pojęcie tworzy mit. Jeżeli chcemy dobrze rozszyfrować mit to musimy dobrze znać nazwy pojęć. Ale pojęcia te muszą być pojęciami efemerycznymi, czyli takimi, które mieszają się ściśle w granicach konkretnego kontekstu. Historia, która toczy się poza formą mitu, zostaje wchłonięta przez pojęcie. To pojęcie uruchamia „mowę mitu” i przywraca jednocześnie łańcuch bodźców i skutków.

Fotografia jest ogniwem, które łączy fotoreportera z publicznością. Jest ona bardzo ważną formą komunikacji wizualnej. Zdjęcia są nierozzerwalnym elementem gazet, a obecnie również Internetu. Ponad to fotografia od samego początku swojego istnienia pełni bardzo istotną rolę w budowaniu wspólnoty ludzkiej. Odbiorcy fotografii traktują ją jako wiarygodne źródło, z którego czerpią informacje dotyczące wydarzeń mających miejsce na

całym globie ziemskim. Mimo, iż fotografia nie jest łatwym w odbiorze medium to nie traci ona jednak odbiorców, wręcz przeciwnie. Dzisiaj świat fotografii wychodzi naprzeciw odbiorcom, dzięki pojawieniu nowego medium, jakim jest Internet. Rozwój techniki sprawił, że fotografia obecnie jest w stanie dotrzeć do każdego zakątka na świecie. Dostęp do niej stał się łatwiejszy, a komunikat, który ze sobą niesie staje się bardziej skuteczny. Fotografowie, aby zmniejszyć dystans pomiędzy odbiorcą a fotografią zamieszczają w Internecie swoje strony *www*, które nie tylko pełnią funkcje promującą ich samych, ale również umożliwiają kontakt odbiorcy zdjęć z autorami. Fotografowi przede wszystkim chodzi o to, aby jego komunikat dotarł do jak największej liczby osób, bo tylko wtedy może on osiągnąć ostateczny efekt, którym jest zmiana świadomości w społeczeństwie. Bardzo istotne tutaj jest ukazanie mitu w fotografii, ponieważ mit pozwala wyciągać wnioski. Niejako ostrzega nas, pokazuje konsekwencje działania ludzi, raz dobre, innym razem niekoniecznie. W dzisiejszym świecie odbiorca nie może uciec przed fotografią, a szczególnie przed komunikatem, jaki niesie ona ze sobą. W tym tkwi właśnie siła zdjęcia. Fotografia jest dramatem, z której trzeba zrobić sztukę i symbol, bo jeżeli tego nie zrobimy, to mamy małą szansę na to obraz fotograficzny zapadnie w pamięci odbiorców, a tym samym zmieni ich świadomość. □

¹ Przykładem może tu być fotografia z 1945 r. wzniesienia flagi na Iwo Jima. Słynna fotografia J. Rosenthal'a okazała się pozowanym ujęciem, które jednak odniosło ogromny sukces propagandowy.

Autorki ukończyły w roku 2007 studia magisterskie z socjologii w specjalności komunikowanie społeczne i medialne na Wydziale Nauk Społecznych Stosowanych Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie

Stanisław Franczak

Panta rhei

Czas
rozsypał się z kłębka dni
i przestrzeń się kurczy
wraz ze mną
jestem coraz mniejszy
coraz lżejszy
niewidoczny jak kropla
która utonęła w rzece życia

i wszystko płynie

Chwila

Ulatuję jak motyl
z mojego ogrodu
wprost do
niebieskich wrót
przy których
siedzi sowa
i sprawdza
przepustki

*
* *
*

Żonie

Unieważniam chwilę, w której
słowo stało się kamieniem
niech zakwitnie bukiet
kolorowych astrów które lubisz

Nowy świat rodzący się ze starej natury

Dziś o postęp walczą dwa systemy stojące na przeciwko sobie, ale nie po to, aby ze sobą toczyć wzajemne boje, ale razem dążyć do zdobycia jednego wspólnego celu. Armia techników, inżynierów konfrontuje się z armią antropologów składająca się z filozofów, medyków i różnych specjalności humanistów. Najbardziej spektakularnym i pożytecznym efektem konfrontacji obu armii była ogromna redukcja publikacji, które zalewały świat tonący w nicości a przez to wymuszały selekcję publikacji przyczynkarskiej literatury naukowej.

Najbardziej znamienym współczesnym objawem stało się powołanie przez R. H. Thomsona instytucji „The Institute for Scientific Information (ISI)”, która z potopu zalewających świat kiepskich publikacji była w stanie wybrać niewiele pozycji wartościowych i istotnych dla dalszego postępu¹. Według prawa Bradforda można dokonać radykalnej selekcji – redukcji dziesiątki tysięcy periodyków naukowych do jedynie pięciu najważniejszych czasopism². Świadomość tego faktu stała się cenna i nieodzowna dla zrozumienia rewolucji materialno-duchowej, bez której nie mogłaby powstać protobiologia³, nanotechnologia⁴, współczesny emergentyzm⁵ rodzący się jako warkocz wzajemnie splecionych wątków ewolucjonizmu i inwolucjonizmu. Obecnie myślimy, że „Big Bang” odbywał się jednocześnie z „Big Crunch” (w czasie „Wielkiego Skurczu” miało skonsolidować się zjawisko selfii – samoświadomości jako gwaranta wszelkiego przetrwania⁶). Rewelacyjnym odkryciem w czasach współczesnych stało się stwierdzenie, że Natura ze

wszystkimi cudownościami dopiero teraz rodzi się na ludzkich oczach⁷.

Najbardziej dramatycznym momentem w rodzącym się od nowa świecie okazało się odrzucenie sztywnego paradygmatu głoszonego przez A. Einsteina, że światło rozchodzące się tylko po linii prostej ma jedną, stałą odczuwaną odwiecznie prędkość 300000 km/sek⁸. Gdy więc udało się wyzwolić z tego fantazyjnie wymyślonego dogmatu świat zaroił się od spinów⁹ i pól torsyjnych¹⁰. Oczywiście stały się teorie, że naturalny chaos¹¹ musiał posługiwać się efektem motyla i emergencją, jak również, że we wszystkich wymiarach i skalach począwszy od nano [10 A] aż do giga rządzą jednakowe prawa. Stąd nikt nie powinien dziwić się, że strumień cząsteczek – neutrin, posiadających tylko spiny przenika przez sialolity i tam pozostawia – ku chwale W. Sedlaka¹² – ślady w postaci odcisków liści paproci. Neutrino o niewyobrażalnej mocy przenikania mają prawie zerową masę, ale potężną energię gigaelektronowoltów (GeV) zachowując pełną zawartość informacyjno-energe-

tyczną Błony komórkowe nasycone procesami spinowymi atomów, są przede wszystkim matrycami bioelektryczno-informatycznej aktywności, przenikającej beczasowo przestrzeń. W świetle „spektralnej tożsamości” i „wypełniającej się pustki” staje się „usprawiedliwiony”, bo bardziej do pojęcia wydaje się tytuł dzieła najznakomitszego współczesnego neuropsychofizjologa R. Riaseca Llinasa: „Ja z wiru. Od neuronu do selfu” zarówno w swej rzeczywistości konkretnej jak i wirtualnej¹³.

Trudno wyobrazić sobie, aby to zderzenie dwóch potęg: myśli technokratycznej i antropologicznej nie wywarło ogromnego wpływu na dzieje świata i historię ludzkości. Zrodziła się nowa świadomość, która wycisnęła własne, swoiste piętno, szczególnie na rozwoju intelektualnym. Wyrazny przełom nastąpił w naukach ścisłych. Nie ominęło to także psychoneurologii zmieniając zasadniczo jej charakter. Na miejsce lawiny detalicznych przyczynków, które niewiele wniosły postępu w poszerzenie horyzontów, powstała nauka o mózgu i świadomości torująca drogę rozwoju w najdalszej przyszłości. Miejsce klasycznej synaptologii opartej na koherentnych, gęsto upakowanych i zlokalizowanych elementach pojemnościowo-oporowych, sytuację opanowały synapsy rozłożone, nie ograniczone tylko do jednego skondensowanego miejsca, ale rozrzucone w sposób naturalnie chaotyczny. Został opisany system łączności uniwersalnej, w obrębie którego w sposób spontaniczny tworzą się atraktory i repilery (ośrodki odpychania i wzajemnego przyciągania), pola wirowe i procesy spinowe. Współczesna neurologia – wyzwolona z fantastyki fizykalizmu i mechanicyzmu wspiera się tylko na paru, ale pewnych wspornikach.

Rozwój współczesnej techniki wymaga coraz bardziej zaawansowanych materiałów,

które przekraczają dotychczasową barierę materiałową dostarczając projektantom, konstruktorom i inżynierom „mistrzom geniuszu” nowych pomysłów. Zamiast trzech głównych rodzajów typowych materiałów: metali, tworzyw ceramicznych i polimerów rozpoznano ich niezliczoną ilość w muzeach, miejscach kultu świeckiego i religijnego, lotnictwie i astronautyce. Nowe materiały dysponują jednocześnie wieloma właściwościami o wyższych parametrach opornościowych, wytrzymałościowych na udary (szoki termiczne), reakcje chemiczne, lepszą przewodnością lub bezwzględną reaktywnością elektromagnetyczną. Nowo odkrywane materiały dzielą się ze względu na ich genezę na kompaktki i kompozyty. Kompaktki są zwykle zagęszczonymi zbiorami matematycznymi, które wykazując ich perspektywiczne, futurystyczne własności, które są rezerwą technicznych możliwości wszystkich pożądaných i wymaganych cech, w przeciwieństwie do kompozytów. Kompozyty z reguły nie są wytworami spontanicznie naturalnymi, ale kompozycjami człowieka, który może mieszać składniki dowolnie, a także w sposób precyzyjny. I właśnie przy okazji dążenia do precyzyjności i perfekcji komponowania różnych składników wyszła na jaw niespodziewana cecha kompozytów nie tylko preparowanych przez fantazję człowieka, ale również przez samą Naturę. Otóż w kompozytach pojawiły się składniki, które nigdy celowo nie były tam wprowadzane. To świadczyło, że mogły to być zanieczyszczenia, które do kompozytów dostawały się przypadkowo. Ale obserwacja wykazała, że owe niby zbyteczne zanieczyszczenia stawały się istotnym elementem, bez którego niezwykle i pożądané cechy kompozytów nie mogły się ujawnić. Stąd wypłynął wniosek, że natura wykazuje obcość a nawet wrogość wobec wszelkiej przesadnej czysto-

ści chemicznej. Że pierwiastek chemicznie czysty może powstać tylko w laboratoryjnej probówce i w szczególnych warunkach.

Dzieła kultury materialnej, a przede wszystkim ich „klinika” gdzie są „leczone” i odtwarzane, dowodzą, że materiały powstające podczas tradycyjnych technologii wytwarzania łączą się spontanicznie w niezliczoną ilość kompozycji, co wręcz warunkuje ich mozaikowość, bogactwo i piękno. Kompozyty wyprodukowane w warsztatach inżynierskich z reguły powinny być lepsze, bo wyposażone w dodatkowe właściwości korzystniejsze w porównaniu do składników materialnych branych osobno lub tylko zmieszanych ze sobą bez planu. Kompozyt o produkcyjnym, formalistycznym, kreacyjnym pochodzeniu składa się z osnowy i umocnień, według których może być klasyfikowany. Wyróżnia się kompozyty o osnowie metalicznej, ceramicznej i polimerowej. Ceramika nie gromadzi ciepła, ponieważ szybko je oddaje do otoczenia, dlatego staje się odporna na szoki termiczne. Największą wytrzymałość wykazuje nić pajęczą; jej 50 kg wystarczyłoby, aby Księżyc wziąć na postronek i wodzić go jak psa na smyczy. Nastąpiły więc czasy, aby nowe, fantastyczne i bezcenne rzeczy znajdować na śmietniku starej Natury! I to właśnie stanowi prawdziwy cud, nad który nic innego, lepszego, nie potrafimy sobie wyobrazić. W charakterze umocnienia stosuje się dyspersję cząsteczek (Al₂O₃, ZrO₂, SiC, itp.), krótkie lub długie włókna (nitki) węglowe lub grafitowe, szklane, borowe, korundowe, zbudowane np. z węgla krzemu. Mogą to być także włókna metaliczne (molibdenowe, wolframowe, stalowe czy berylowe).

Pospolicie używane włókna węglowe charakteryzują się wybitnie korzystnymi właściwościami mechanicznymi, sprawdzonymi i wykorzystywanymi w aeronautyce i statkach

kosmicznych. Ich moduł sprężystości mieści się w szerokich granicach od 20 do 45 KG/mm², a wytrzymałość od 150 do 400 KG. Tego rodzaju własności wynikają z natury powiązań między atomami węgla; dla przykładu podam, że energia potrójnego wiązania atomów węgla C≡C dochodzi do 138 Kcal/mol. Przy konstrukcji włókien węglowych, grafitowych wykorzystano mocne wiązania kowalencyjne między atomami węgla o strukturze heksagonalnej, ułożone w warstwach wzdłuż jednej osi, co daje tworzywo zdolne do przenoszenia największych obciążeń dzięki owym wiązaniom chemicznym. Najpowszechniej produkcji na świecie używane są włókna węglowe zbudowane z celulozy wiskozy do wej i poliakafonitrylowej. Szczególna właściwość włókien polega na uporządkowanym ułożeniu polimerowych łańcuchów wzdłuż osi włókna. Niezależnie od rodzaju włókien wyjściowych ich obróbka cieplna składa się z trzech następujących etapów: stabilizacji, czyli utleniania w 250°C, karbonizacji, czyli zwęglania w 1000°C i grafityzacji w 2500°C. Reakcje chemiczne zachodzące w trzech etapach są tak złożone, że jeszcze do niedawna nie zostały w pełni poznane i są okrywane techniczną tajemnicą, a także zastrzegane wieloma patentami, jako elementy grzewcze, oporowe i przewodniki wysokotemperaturowe lub elektromagnetyczne. Racją osiągnięć technicznych staje się znikomo niskie w porównaniu z bogactwem sposobów łączenia tworzyw naturalnych, o czym świadczą muzea, budowle i pomniki sakralne czy świeczki. Proponuję wycieczkę do muzeum watykańskiego oraz municypalnego rzymskiego, które ostatnio zwiedzałem i których nie zapomnę do końca życia.

Różne mogłyby być pomysły na początki życia jak świadczy lektura „prebiological evolution” (1989) Kruegera i Kissela. Początki

życia można także oprzeć na zasadzie „jednostajności natury” A. G. Cairns-Smith’a opisaney w „Chemical evolution: modern florigon”¹⁴, bioelektronice W. Sedlaka¹⁵, teorii o ziemskiej wieczności życia Wiernadskiego¹⁶, czy zespołowej obiektywnej redukcji stanów funkcji falowej (*orchestrated object reduction* – Orch-OR) Penrose’a¹⁷. Trudno również odmówić racji zasadzie antropologicznej zasadzie L. J. Hendersona¹⁸, o śladach geocentryzmu i paleologii wśród teorii antropologicznej głoszącej, że bez świadomości ludzkiej żaden postęp poznawczy byłby niemożliwy. Hendersonowi, który w swej słynnej książce podaje wiele argumentów za tzw. antropiczną zasadą w ewolucji chemicznej.

Transformatyzm odbijający się w ludzkim lustrze

Wydaje się, że wszelkie rozważania o wszystkim należy rozpoczynać od człowieka, a ściślej od ludzkiej świadomości, czyli jak to określiłem w mojej książce „Między niebem a Ziemią” (2007)¹⁹ od triady poznawczej, w której obserwacja, czyli ocena intelektualna odgrywa trzeci, zasadniczy element. Bo co ma oznaczać określenie, że „Wszecławiat powstał przed 14 miliardami lat” wobec faktu, że egzystencja pojedynczego członka współczesnej społeczności zawiera się w obrębie około stu lat, czyli czterech pokoleń. Żadnego sensu nie mają zestawienia globalizmu z lokalizmem, i niewspółmiernie brzmi deklaracja, że galaktyka znikła przed miliardem lat, a meteoryt tunguski uderzył w Syberię przed wiekiem. Trudno nie podzielać racji z R.R. Llinasem²⁰, że całą współczesną filozofię przenika delikatny i zawoalowany kantyzm głoszący, że wszystko, co istnieje rozgrywa się pod auspicjami dwóch antagonistycznych haseł: z jednej strony „rozgwieżdżonego nie-

ba” z drugiej „imperatywów kategorycznych”. To wskazuje bezsprzecznie na niezaprzeczną rolę człowieka i świadomości zrodzonej z obserwacji. Oprócz otaczającego świata, oprócz oglądu intelektualnego tego świata (*Anschaung*) musi funkcjonować obserwator. Nie sposób wyróżnić, co pochodzi, od którego uczestnika procesu poznawczego. A więc od pojawienia się człowieka, a nie od pantareizmu zaczynać należy wszelkie rozważania. Rację trzeba przyznać hasłu „antropos metron pantei”²¹.

Antropiczna kosmologia musi uwzględniać uniwersalny nie tyle konformizm, ile transformatyzm, czyli środowisko samoorganizujące się, formalizm spinowo-wirowy (worteksowy), złamanie symetrii, a nawet supersymetrii (SUSY), biogeneza, czyli protobiologię kosmiczno-ziemską (Krilger, Kissell 1989)²² i wreszcie dramatyczną klęskę klasycznego intelektualizmu: upadek prawa przyczynowo-skutkowego. W świetle owych stwierdzeń nie łatwo dyskutować o dogmacie jednorodności natury²³.

W antropicznej kosmologii nie miejsca na czas ani na przestrzeń a także na obiektywizm, które nie pochodzą z naturalnych własności świata, ale z ludzkiej obserwacji, czyli manipulacji dokonywanych przez aparat percepcyjno-intelektualny człowieka. Dlatego spotkanie przechodnia z czasomierzem na rękę lub zegarów na dworcowym peronie nie należy interpretować jako próby powołania do istnienia faktora czasu i parametryki przestrzennej. Globalizmowi antropocentrycznemu jedynie pozornie sprzeciwia się, a w istocie rzeczy substancjonalnie oraz istotowo popiera go, teoria świadomości, powstającej za pośrednictwem spinów (skrętów, wirów), czyli dzięki roli błon neuralnych zbudowanych ze zbiorowisk spinowych i przesyconych paramagnetycznym tlenem²⁴. Zdecydowanie

za antropologiczny globalizm uważający zmienność za podstawową własność natury, przemawia odkrycie neutrina jako elementarnej cząsteczki, substancji zdolnej do przenikania wszystkiego a z powodu dysponowania nikłymi rozmiarami a niewspółmiernie ogromnymi zasobami energii liczonymi w GeV, którym nic nie może się przeciwstawić, poczynając od obiektów o kosmicznych rozmiarach, a skończywszy na sialolitach znajdujących na łysogórskim gołoborzu świętokrzyskim. Krzemowe głązy leżące u podstaw klasztoru „Święty Krzyż” zawierają odciski liści paproci świadczące, że strumienie neutrinowe także tu docierały. Natura „od początku świata”, czyli od zawsze stwarza wrażenie jednorodnego bloku inkrustowanego jednakże różnego rodzaju przypadkowymi zanieczyszczeniami. Tu żadna periodyzacja dziejów nie pasuje .

Dyskusja o zmienności i globalnym transwertyzmie oraz transformatywności natury zainicjowała „robótki” naukowe o czasie i przestrzeni jako o nieodłącznych cechach naturalnych, rozpatrywanych nie z punktu widzenia dialektycznego, ale dualistycznego, czyli w sposób naukowy, funkcjonalnie przypisujący jednej własności z dziedziny funkcji jedną wartość. Otworzyła się puszcza Pandory. W monografii Atmangahera i Rahmana²⁶ znalazło się wiele interesujących przyczynków (Whitehead „Theory of Perception”, s.23-42; Harris F. M. „The theory of experience of, time. Philosophical aspects”, s.7-24; Póppel E. „Brain`s to create novness”, s. 107-120).

Przelano morze atramentu i zużyto tony papieru na temat czasu i przestrzeni²⁷. Ze względu na autorytety autorów wymienię jedynie najznakomitsze pozycje: Gribbin M. J. „Czas i przestrzeń”²⁸ oraz Hawking S. W., Młodinow L. „Krótsza historia cza-

su”²⁹. Natomiast ogromny sens ma uwzględnianie różnicy między zjawiskami o dłuższym lub krótszym czasie trwania. Moje osobiste priorytety przymuszają mnie do tego, aby zając się zmianami pracy mózgu w ciągu dziejów Wszechświata i w historii ludzkości. Pomijam niezbyt sensowne – moim zdaniem – pytanie: co było przed początkiem czasu? Z wcześniej wyrażanych moich poglądów wynika, że czas był wieczny, a także przeszłość zawieszona była jako niezmiennie tło, dopóki „machina” nie puściła się w ruch. Wtedy równocześnie uruchomiły się kamienie mózgowych młynów, które sypnęły samoświadomością, czyli selfem³⁰. Zwraca uwagę fakt, że niesłusznie a dość powszechnie czyni się zarzut E. Kantowi, że absolutyzował czas i przestrzeń, ale pomija się okoliczność, że genialny królewiecki (nie niemiecki) filozof o owych problemach pisał niechętnie i mało, o ile w ogóle cokolwiek, a ponadto też mimochodem³¹. Poszukiwanie zegara centralnego jako regulatora zachowania człowieka ma charakter objawowy, fenomenologiczny, bez wnikania w wewnętrzne przyczynowe mechanizmy regulacji³².

Puszcza Pandory

Pomimo iż od wieków, raczej od początku czasu nie wyobrażamy sobie, jak przedstawiał się Wszechświat-Natura, to właśnie pozbawione sensu pozostaje pytanie, co działo się przed wszelkim początkiem czasu, pomimo iż podejmowane są heroiczne wysiłki poznawcze³³. Właściwie chodzi tu o intelektualne próby poznawcze, których liczba, pomimo upływu pięciu miliardów lat nie tylko nie zmalała, ale systematycznie powiększa się: ile istot zdolnych do poznawania, tyle reżimów poznawczych powstaje nadal, obecnie³⁴. Z całą pewnością powstawały systemy

kognitywne, po których zaginął ślad, bo mogły nigdy nie dotrzeć do świadomości ludzkiej. Gdy do tego kryzysu poznawczego dołoży się wymogi aksjologiczno-moralne, a zwłaszcza obowiązującą obecnie trójcę poznawczą sugerującą naturalny chaos, emergencję, wiry, pozwalający na apokryficzność, a nawet celowe, propagandowe oszustwa.

Wszystko, co dotąd poznaliśmy to są przekłamania, ponieważ nawet osiągnięcia naukowe niosą nadmiarowość, fałsz, który uzupełnia ekscesy, mające dopełnić mankamenty i luki poznawcze. Do chwili obecnej nie potrafimy rozróżnić tego, co jest ogólne od tego, co szczegółowe, zwłaszcza przy przechodzeniu od przyrody nieożywionej do ożywionej. Nie potrafimy odróżnić złożoności od nieograniczoności, ani podać, na czym polega osobliwość bytu człowieka³. Tajemnica pozostają nadal prawa w przyrodzie ożywionej i nieożywionej, uniwersalizm, regulatywność, wielokorelatywność a bliskość i pokrewieństwo; życie, rozwój, ewolucja spleciona z inwolucyjnością; systemowość wielka (globalna) i mała (lokalność); abiogeneza, kosmochemia, biogenetyczność, filogeneza i dziedziczenie; mechaniczność w przyrodzie; cybernetyka i informatyczność w organizmie, zwłaszcza w mózgu. Z tego zestawienia wynika, że lista problemów nieznanych przeważa znacznie to, co poznane, i to, co częściowo jedynie zostało zrozumiane³⁶.

Odkrycie istnienia synaps rozproszonych, czyli dyssypatywnych, umieszczonych w całym organizmie, a nie tylko jednym organie (np. mózgu) musiało być eksploatowane grubo wcześniej, skoro już W. Freeman postawił tezę o natychmiastowości rozpoznawania, która polegała na powszechnym, egzystencjalnym, pragmatycznym, występującym także u zwierząt zjawisku równoczesnym, jednoczasowym rozchodzeniu się fali pobudze-

nia receptora, a nawet po całym narządzie odbiorczym³⁷. Przy okazji zapytano, jak mózg wychodzi „poza” ekstrakcję cech abstrakcyjnych, jak uczucia (np. miłość) łączą „mechanizm” krótkiego spięcia bodźca z pamięcią przeżyć i oczekiwaniem. Tu nie wystarczy zbadać własności neuronów nawet w aspekcie mikroskopowym. Trzeba natomiast zdać sobie sprawę z faktu, że po raz pierwszy spotkaliśmy się z globalizmem zjawiska chaosu naturalnego, czyli zachowania pozornie kompleksowego, przypadkowego, a w gruncie rzeczy wykazującego na ukryty porządek. Bez chaosu mózgowego nie moglibyśmy adekwatnie wygenerować i przeżyć oryginalnej idei jakim jest: a) powstawanie w korze entorinalnej (śródwęchowej) „postaci”, która jest obdarowana znaczeniem, b) zdolność oddzielenia przedmiotu od tła, c) generalizacja dokonywana na podstawie pojedynczych bodźców przekazywanych przez receptory, d) samoorganizacja kontrolowana przez wewnętrzne fale gamma (20-30 Hz).

Według W. Blake'a a gdyby „drzwi” percepcji były otwarte na oścież, to każda rzecz wydawałaby się człowiekowi nieskończoną; musi więc istnieć jakieś przekłamanie pierwotnego odbioru, które działa jako protekcja, oczyszczenie, gdyż w przeciwnym razie ludzie i zwierzęta byłyby pokonane przez nieskończoność.

Dużo zagadek kryje w sobie „trzyfuntowy” Wszechświat zawierający 100 bilionów komórek, którego płaszcz mózgowy, czyli warstwa korowa zajmuje powierzchnię 15 m², a którego mechanizmy-obsługują pamięć operacyjną, która posługuje się redukcją i uśrednianiem, jako podstawą dla funkcji obrazowania dokonywanej przez mózgu.

Obszerny rozdział propozycji, gdzie ze świadomości procesy poznawcze „wyprowadzone” zostały na rozstajne drogi, obejmuje

niezliczoną ilość modeli, które powstały w epoce G. Borelliego, ucznia Galileusza. W świadomości zrodziła się neurologia komputacyjna, która działalność mózgu zamierzała przedstawić za pośrednictwem modeli obliczeniowych. Aktualności nabrały procesy symulacji (emulacji) lub implementacji. Człowiek-maszyna Julien de la Mettrie`go (1748) zapoczątkował długi pochód Golemów, Frankensteinów oraz szeregu robotów (wg terminologii K. Ćapka).

Modele nie są pierwszym krokiem procesu poznawczego, ale raczej efektem końcowym akceptacji początkowej koncepcji patrzenia na wycinek, pewien fragment rzeczywistości. Najpierw trzeba zdecydować się, czy otaczające obrazy rzeczywiste mają charakter przeliczeniowy, cyfrowy, impulsowy, czy raczej ciągły, analogowy i polowy. Nie dotyczą więc istotnie, bezpośrednio substancji Natury, ale sposobu podejścia człowieka-observatora-badacza do tego zagadnienia. Nie byłoby celowym ani sensownym tworzenie neurobiologii komputacyjnej, gdybyśmy nie przyjęli wcześniej, że zrozumienie otoczenia przyjdzie za pośrednictwem modeli przeliczeniowych. Emulacja rzeczywistości przy pomocy ciągu liczb, czyli przeliczalność mózgowa (*neural computing*) pociąga za sobą szereg konsekwencji między innymi wymaga kodowania w częstotliwości zjawisk nieciągłych. A kodowanie to proceder nie identyczny z przedstawianiem rzeczywistości w postaci ciągu impulsów, czyli nie tylko cyfrowa reprezentacja liczby, ale także nosiciel informacji. A więc wymaga wcześniej umowy, konwencji, co ma oznaczać, symbolizować wybrany ciąg liczbowy. Dopiero wtedy kodowanie pozwala na komputacyjne przetwarzanie. Przeciwnieństwem digitalizacji byłby konekcjonizm, czyli łączność, sieciowość, wielokrotnie skuteczniejsza w operacjach ner-

wowych, zwłaszcza w mózgu, ale konekcjonistyczne podejście pociąga za sobą nowe problemy: wymaga decyzji, ile warstw, ile wejść i wyjść trzeba będzie wprowadzić w sztucznej sieci, czyli jak głęboko ma sięgnąć konekcjonizm, który objąłby kołowe relacje lub rewerberacje, dzięki którym udało się sięganie po wydarzenia przeszłe o nieskończonym stopniu odległości³⁹.

Modele, które są częściowo przełomowym, a co najważniejsze już ukierunkowanym procesem poznawczym, opanowały świat. Automat von Neumann`a, czyli komórka komputerowa samoreprodukcji należy do repertuaru możliwych zachowań – emulując naturalny system nerwowy, nie może jednakże być zredukowana do adekwatnego, kompletnego i jednoznacznego opisu. Pęczek falowy okazuje się bardziej efektywny, niż ciągi czasowe i faktyczna architektura histologiczna. Skoro jakości umysłowe, uniwersalia (aqualia) rezydują w warunkach fizycznych to, dlaczego nie mogą instalować się w komputerach. W. Penfield drażniąc korę skroniową wywoływał pamięć utworu, który pacjent mógł odtworzyć; nigdy nie miał złudzeń, że nie chce wykonać tego ruchu, bo nie potrafił oddysocjować aktu woli od demonstrowanej motoryki⁴⁰.

Rozpatrywanie własności hardware`owo-software`owych pozwoliło zbliżyć się do neuralnych konkretów świadomości. Być świadomym to oznacza nie tylko mieć informacje globalne dostępne dla organizmu, ale również zdolność do jej rozpatrywania, dlatego D. Chalmers proponuje szukać mechanizmu „globalnej dostępności”, która jednocześnie byłaby neuralnym korelatem świadomości oraz zasadą przerzucania pomostów (*bridging*) między fenomenotyczną świadomością a neurofizjologią⁴¹. Kandydatem na neuralny mechanizm globalnej dostępności wskazała

magnetoencefalografia odkrywająca oscylacje 40 Hz, główny obiekt badań R. R. Llinasa. Subiektywność, self według tego wybitnego autorytetu naukowego nie powstaje wewnątrz ośrodkowego układu nerwowego, ale jest pochodną aktywności motorycznej⁴². Szukając wcielenia subiektywności nie należy tracić z myśli faktu, że subiektywności nie można zobaczyć tak jak wiatru, ale jedynie rozpoznać ją po skutkach. Subiektywność to centrum, czyli źródło szerokiego wglądu i zewnętrznej łączności. Przykładem tego są jądra śródczaszkowe we wzgórzu, co potwierdzają rozprawy kliniczne.

Na zakończenie przytaczam wspaniały model łusko waty M. Pitkanena⁴³. Wszechświat zbudowany został z łusek, które jak w cebuli, nakładają się wzajemnie. Na organizm człowieka przypadają łuski – warstwy M od 132 do 121, które najwyższą radioaktywność wykazują w ciągu dnia między 13 a 14 godz.

Modele są cennym wkładem w postęp nie tyle przez to, co z przeszłości wniosły dzięki argumentacji naukowej, ale z powodu nadziei, co mogą przynieść w przyszłości. □

prof. dr Jan Trąbka – lekarz neurolog, profesor zwyczajny Collegium Medicum Uniwersytetu Jagiellońskiego

¹ <http://scientific.thomson.com/>

² Bradford S.C. *Sources of Information on specific subjects*. J. Information Science, 10:4, 1985 (October), pp 173-180.

³ Matsuno K., *Molecular Evolution and Protobiology*, Springer 1984

⁴ Drexler K. E., *Nanosystems: Molecular Machinery, Manufacturing, and Computation*, Wiley 1992

⁵ Anderson P. W., *More is Different: Broken Symmetry and the Nature of the Hierarchical Structure of Science*, Science, 177, 1972: 393-396

Morowitz H. J., *The Emergence of Everything: How the World Became Complex*, Oxford University Press 2002

⁶ Davies P., *Cosmic Blueprint*, Simon & Schuster 1988

⁷ Thuan T. X., *Ukryta melodia... I człowiek stworzył wszechświat*, Wydawnictwo Zysk i S-ka 1998

⁸ Anderson M., *Light seems to defy its own speed limit*, New Scientist 195 (2617), 1997: 10

⁹ Hu H., Wu M., *Spin Mediated Consciousness Theory: Possible Roles of Neural Membrane Nuclear Spin Assemblies and Paramagnetic Oxygen*, Medical Hypotheses, 2004; 63: 633-646.

¹⁰ Shipov G.I., Loginov A. V., Lomonosov M.N., Pugach A.F.,

Torsionfields of Earth and Universe. Earth and Universe 6, 1996: 9-17.

Arcos, H. L.; Pereira, J. G., *Torsion Gravity: A Reappraisal*. Int. J. Mod. Phys., D 13 (10), 2004: 2193-2240.

¹¹ Kennel M. B., Pethel S. D., *Complete and flexible replacement of chaotic uncertainty with transmitted information*. Phys Rev E Stat Nonlin Soft Matter Phys., 2005 Oct; 72(4 Pt 2): 046212.

¹² Sedlak W., *Bioelektronika*, Warszawa, IW PAX, 1967-1977.

¹³ Llinas R.R., *of the Vortex: From Neurons to Self* The MIT Press, 2002

¹⁴ Cairns-Smith A.G., *Seven Clues to the Origin of Life*. Cambridge University Press, 1985 Cairns-Smith A. G. *Evolving the Mind. On the Nature of Matter and the Origin of Consciousness*, Cambridge University Press, 1996

Cairns-Smith A. G., *Chemical Evolution. A modern Flogiston*, 1989.

¹⁵ Sedlak W., *Inną drogą*, Inst. Wyd. PAX, Warszawa 1988.

¹⁶ Wiernadski W. I., *Geologiczna wieczność życia*, Wyd. IFiS. PAN, Warszawa 1995 s. 251 Vernadsky V., *Essays on Geochemistry & the Biosphere*, Synergetic Press, 2006 (pierwsze wydanie w j. rosyjskim 1924)

¹⁷ Penrose R., *The Emperor's New Mind: Concerning Computers, Minds, and The Laws of Physics*, Oxford University Press, 1989.

¹⁸ Henderson L. J., *The Order of Nature*. Harvard University Press, 1917

¹⁹ Trąbka J. J. *Między Niebem a Ziemią*, Wydawnictwo Stów. Twórców i Artystów, Kraków 2007.²⁰ Llinas R. R. / *of the Vortex. From Neuron to Self* MIT Press 2001.

²¹ Henderson L. J., *The Order of Nature*. Harvard University Press, 1917

²² Krueger F.R., Kissel J., *Origins of Life*, 1989

²³ Cairns-Smith A. G., *Chemical Evolution. A modern Flogiston*, 1989.

²⁴ Hu H., Wu M., *Spin Mediated Consciousness Theory: Possible Roles of Neural Membrane Nuclear Spin Assemblies and Paramagnetic Oxygen*, Medical Hypotheses 2004; 63: 633-646.

²⁵ Bohm D., Hilley B. J., *Undivided Universe*, London 1993.

²⁶ Atmangaher E., Rahman E. (red), *Time, Temporality, Now Experiencing Time and Concepts of Time in Interdisciplinary Perspective*, Berlin-Heidelberg, Springer Verlag 1997.

²⁷ Nichols I. A., *Implicit and Explicit Representation of Time* [w:] R. A. Block (red) *Cognitive Models of Psychological Time*, (37-38) Hildale, N.J. Erlbaum 1990.

²⁸ Gribbin M. J., *Czas i przestrzeń*, tłum. M. Jaroszyński (red) A. Michalski, Warszawa PWN 1995.

²⁹ Hawkins S. W., Młodinow L., *Krótsza historia czasu*, New York, Bantam Books, 44, 2005.

³⁰ Lubański M., Ślaga S., *Z zagadnień przyrodnozawstawa i filozofii przyrody*, wyd. ATK Warszawa 1984.³¹ Kant L., *Krytyka czystego rozumu*, t. I, tl. Ingarden R., Biblioteka Klasyków Filozofii PWN, Warszawa 1957, 107-111.

³² Husserl E., *Idea czystej fenomenologii i fenomenologicznej filozofii*, PWN Warszawa 1975.

³³ Ellis G., *Before the Beginning*, Bouden (Marion Boyars) 1993.

³⁴ Ellis G., Hawkins S. W., *The Large Scale Structure of Space Time*, Cambridge University Press 1973.

³⁵ Bell, *Speakable and Unsayable in Quantum Mechanics*, Cambridge University Press 1987.³⁶ Stapp H. P., *Mind, Matter and Quantum Mechanics*, Springer Verlag Berlin 1993.

Freeman W. J., *Mass action in the nervous system. Examination of the neurophysiological basis of adaptive behavior through the EEG*, Academic Press, 2004

³⁸ Bishop C.M., *Neural Networks for Pattern Recognition*, Oxford: Oxford University Press 1995

³⁹ Marcus G. F., *The Algebraic Mind: Integrating Connectionism and Cognitive Science (Learning, Development, and Conceptual Change)*, Cambridge, MA: MIT Press 2001.⁴⁰ Penfield W., *The Torch*, Boston – Toronto, 1960

⁴¹ Chalmers D. J., *The Conscious Mind: In Search of a Fundamental Theory*, New York: Oxford University Press 1996.

⁴² Llinas R. R. / *of the Vortex. From Neuron to Self*, MIT Press 2001.

⁴³ Pitkanen M., *Biosystems as conscious hologram*. http://www.emergentmind.org/pitkanen_III.htm

JERZY FRAN CZAK

Obłęd i jego kopia

1.

Pewnego upalnego dnia 1605 roku staceczny szlachcic ziemski, właściciel winnicy, domu i dwóch akrów ziemi, chudy jegomość około pięćdziesiątki, udręczony „brakiem snu a zbytciem czytania” (wszystkie cytaty w przekładzie A. L. i Z. Czemy) postanawia przywrócić światu ideę błędnego rycerstwa. Kompletuje swój rycerski ekwipunek – stara spleśniała zbroja, hełm z misy balwierskiej, szyszak podwiązany wstążkami, długa gałąź zamiast kopii – i dosiada szkapy, zwanej odąd Rosynantem (co oznacza „rocin-antes”, czyli: „ex-szkapa”). Tak rozpoczyna się wyprawa zmyślnego szlachcica Kichady lub Kesady – wyprawa, której celem jest ocalenie moralne świata. Ta szczytna idea wodzi Rycerza Smętnego Oblicza ze wsi Argamasilla do El Toboso i dalej, przez spalone słońcem kastylijskie równiny, aż w masyw Sierra Morena. Pasowany na rycerza – w rytuale będącym swego rodzaju parodią misterium – Don Kichot bierze udział w niezliczonych potyczkach na granicy fikcji i rzeczywistości: broniąc własnego honoru, katuje dwóch rycerzy (mulników), powstrzymuje rycerza (chłopa) przed wymierzeniem kary chłosty, broni księżniczek (obrywa od mulnika), walczy z gigantami (nacierają na wiatrak) i przepędza dwóch czarnoksiężników (benedyktynów).

Jak wiadomo, winnym obłędu pocziwego szlachcica jest nadmiar złej lektury – romansów rycerskich. Przyjęło się twierdzić, że

ambicją Cervantesa było wypalenie plagi tej tandetnej literatury. W rzeczywistości początkiem XVII wieku romans rycerski nie cieszył się już popularnością, przeciwnie, znajdował się w stanie zaniku. Łatwy to, wydawałoby się przedmiot drwin – przeciwnik urojony, niczym wszyscy rycerze i potwory, z którymi toczył potyczki Don Kichot! Niemniej innego zdania są proboszcz, balwierz i gospodyni, którzy postanawiają wspólnie spalić całą bibliotekę Błędnego Rycerza. Ich podejrzliwość nie ma granic, wrzucają więc w ogień nawet księgi pobożne (gdyż „za krzyżem diabeł stoi”), a także te wszystkie, które przypominają rycerskie romanse. „Spaliłbym razem i rodzonego ojca, gdyby mi się zjawił pod postacią błędnego rycerza” – mówi proboszcz i od takiego dictum idą ciarki po plecach. Bo czy rzeczywiście Don Kichot jest bardziej szalony od świata, w którym urojone idee uświęcają ojcobójstwo? A może to właśnie on pozostaje jednym z niewielu zdrowych ludzi, którzy uchronili się przed obłędem consensus omnium i sensus communis?

2.

Nadmiar książek, jak wiadomo, szkodzi. Michał Dymitr Krajewski, autor „Wojciecha Zdarzyńskiego”, przyrównał bibliotekę do apteki; ogarnięty głodem wiedzy przypomina chorego, który chce zjeść wszystkie lekarstwa. Przyswajanie nadmiaru wiedzy to praktyka w istocie samobójcza i tym bardziej niezrozumiała, że możemy czerpać z innej, wspa-

nialszej znacznie Księgi. Mówi o tym w powieści Krajewskiego niejaki Satumo, mędrzec z krainy Sielana: „Człowiek mając tak doskonałą Księgę, jak jest świat ręką Najwyższej Mądrości stworzony, nie potrzebuje wielu wykładów, które by to Dzieło ciemniejszym jeszcze czyniły”. Podobnie rzecz ujmuje pewien kupiec z Rodos, którego spotykamy w „Historii” Ignacego Krasickiego: „Ludzie są moje książki. A jeżeli do książek się udam, takich tylko szukam, które by mnie lepszym uczynić mogły”.

Koncepcja świata widzialnego jako najwspanialszej, stworzonej przez największego Geniusza księgi, to zarazem krytyka nauk i sztuk oderwanych od realnego życia, przyczyniających się do postępującej alienacji jednostki ludzkiej. Określenie „Najwyższa Mądrość” odsyła deizmu. Deistyczny Stwórca, Wielki Zegarmistrz, pozostaje nieznanym i niepoznawalnym, rozproszonym i wszechobecnym. Nie krępuje swoją obecnością Civitas ludzi. W praktyce jednak wsłuchiwanie się w boskie podszepty, podobnie jak czerpanie wiedzy wprost ze świata, z pierwszego i ostatecznego źródła, to możliwość usankcjonowania dowolności, groźba uprawomocnienia zbrodni. Mądrość natury może się łatwo wynaturzyć w głupotę idei.

Na „grzechy przeciw mądrości natury” powoływał się na przykład Ginés de Sepulveda, uzasadniając prawo konkwistadorów do wojowania z Indianami, nim ogłoszone im zostanie słowo boże. Indianie są narodem barbarzyńców, stworzonych do tego, by bezwarunkowo podporządkować się ludziom stojącym od nich wyżej, jakimi są Hiszpanie. Różnią się od roztropnych, szlachetnych i powściągliwych Hiszpanów tak, jak małpy od ludzi. Jego oponent, Bartolome de Las Casas (ich spór toczył się w 1550 roku, kiedy to Karol V wywołał dysputę pytaniem o ro-

zumność i sprawiedliwość podboju Nowego Świata) podważa podniesioną przez Sepulveda arystotelesowską kategorię naturalnego niewolnika i przyznaje wszystkim prawo do spokoju, przyjemności i radości. Mówią różnymi językami, dlatego nie słyszą się wzajem. Król natomiast wie, co robi: wprowadza korekty w retoryce, zamieniając „podbój” na „pacyfikację”, nie zmienia nic natomiast w okrutnych praktykach konkwisty.

3.

„Filozofia, która w osiemnastym wieku, na przekór inkwizytorom i książkom i ludzi, napawała nikczemność śmiertelnym strachem, już za Bonapartego przeszła na jego stronę” – piszą Adorno i Horkheimer (wszystkie cytaty w przekładzie A. Krzemieniowej). W swojej krytyce posuwają się jednak znacznie dalej, wiążąc początki oświecenia z pierwszymi mitami i utożsamiając wszelkie rozumowe poznanie, poszukujące nie tyle czystej wiedzy, co skutecznej metody panowania, operation, z władzą („władza i poznanie to synonimy”). Pojęcia filozoficzne od Platona i Arystotelesa, pretendując do powszechnej ważności, dostarczają jedynie uzasadnienia niesprawiedliwym stosunkom społecznym. Ostatecznie odczarowanie świata obraca się w jego ponowne zaczarowanie, a oświecenie, które niosło ze sobą obietnicę wyzwolenia, staje się medium panowania. Wieńcząca ten proces faszystowska horda to „triumf represyjnego egalitaryzmu, przejście równości prawa w bezprawie popełniane przez równych”.

Działa tutaj, jak piszą frankfurccy filozofowie, terror „rozsądku, chorego z powodu swego zdrowia”. Ci, którzy jeszcze początkiem XX wieku wierzyli w racjonalistyczne utopie, grzeszyli niewybaczalną naiwnością. Wszak jeszcze w latach dwudziestych i trzydziestych Herbert George Wells roztaczał

wizje przyszłości, w której ludzkość, rozumnie władająca swoim potencjałem, osiąga powszechne szczęście. W kilkadziesiąt lat później, z perspektywy drugiej połowy wieku, szydził z tego George Orwell: „Z jednej strony: nauka, porządek, postęp, internacjonalizm, samoloty, konkret, higiena, z drugiej: wojna, nacjonalizm, religia, monarchia, chłopci, profesorowie greki, poeci i konie” (przeł. M. Fabjanowski). Tymczasem hitlerowskie Niemcy były równocześnie naukowe, racjonalne i barbarzyńskie.

Wystarczy przeczytać kilka z „kazań” Heinricha Himmlera, wygłoszonych do generałów SS. Racjonalna, zsekularyzowana wizja świata łączy się w nich bezkolizyjnie z kultem przodków, z obrzędami świąt przesilenia słonecznego i rytualnej walki światła. W nazistowskiej propagandzie odnaleźć można z łatwością zniekształcone wzorce religijne. Oświecenie zatacza tutaj koło, zamykając w środku swoich własnych apostołów, a nic przewodnia jego rozumowania zmienia się w drut kolczasty usłużnej dialektyki.

4.

W świecie z powieści Raya Bradbury’ego „451° Fahrenheita” obowiązującą postawą jest bezproblemowe zadowolenie. W jego osiągnięciu pomagać mają noszone w uszach „wtyczki błogości”, z których sączy się relaksująca muzyka. Istnieje też specjalna jednostka policji odpowiedzialna za palenie książek. Książki są zakazane i niszczone w większości antyutopijnych wizji. Tych, którzy nie godzą się z tym porządkiem (jak Montag u Bradbury’ego czy Harrisona Bergsona u Vonnegutta) czeka straszliwa kara pozbawienia indywidualności.

Czy książki mogą prawdziwe, czy tylko mniej lub bardziej kłamliwe? Czy wszystkie zawierają w sobie groźny bakcyl zwątpienia?

Te pytania zadaje już sobie inkwizytorska trójca proboszcza, balwierza i gospodyni. Rzucają w płomienie również poezje – gdyż każda literatura może być wzorem życia. Ale czy wszystkie książki wylądają na stosie? „Żadnej nie trzeba przepuścić, wszystkie bowiem były szkodliwe” – przekonuje siostrzenica. Wkrótce jednak, przeglądając po kolei wszystkie biblioteczne woluminy, natrafiają na książki „przednie”, Jedyne w swoim rodzaju”, „doskonałe” i „z wielkim mistrzostwem napisane”. Dzieła te zostają przez okrutnych inkwizytorów ocalone; nieistotne, że są kłamliwe, ważne, że stanowią „skarb zadowolenia i kopalnię rozrywek”. Objawia im się dwuznaczna przyjemność występku.

Pytanie, czy palone księgi są cenniejsze, niż zdrowy rozsądek proboszcza i gospodyni, nie trafia w sedno problemu. Ów zdrowy rozsądek bowiem okazuje się również dotknięty szaleństwem. Czy rzeczywiście wierzy giermek, jak nas uczono, stanowi cielesny, przyziemny kontrast dla idealizmu Don Kichota? Czy naprawdę, jak chciał Bachtin, pełni on rolę analogiczną do średniowiecznych parodii, przedrzeźniających wszelkie ceremonie? Nawet jego wygląd („pansa” znaczy „brzuch”, a „zankas” – „cienkie nogi”), wbrew potocznym wyobrażeniom, wydaje się niejednoznaczny: jak niepokojące wydaje się to niedopasowanie części ciała, ów tłusty brzuch na cienkich nogach, czyniący z Pansy postać podobną do doktora Pnina z powieści Nabokova! W gruncie rzeczy Sancho Pansa łączy w sobie fizjologię z idealizmem, ludową mądrość z rycerską bzdurą. Szaleństwo i trzeźwość okazują się względne, stopniowalne i wzajemnie zaraźliwe: Don Kichot nieraz stąpa twardo po ziemi, podczas gdy Pansa żyje mrzonkami (na przykład wierzy, że otrzyma szlachecki tytuł i że zostanie gubernatorem wyspy). Jeszcze innymi – i kto wie, czy nie

groźniejszymi – mrzonkami żyją proboszcz, balwierz i gospodyni. Wierzą, że wraz z usunięciem przyczyny znikną skutki. Wierzą, że mają monopol naprawdę. Wierzą, że cel uświęca środki. W gruncie rzeczy obłęd Don Kichota walczy z szaleństwem ogółu.

Może więc całe dzieło Cervantesa opowiada o walce różnych urojeń? Może jest pochwałą stanu chwiejnej nierównowagi? Wystarczy sobie wyobrazić świat rządzony przez proboszcza, przez Don Kichota i przez Sancho Pansę, aby ujrzyć trzy różne rodzaje piekła.

5.

Jedną z książek, której proboszcz i gospodyni nie wrzucają do ognia, jest „Galatea” Miguela Cervantesa. Autor „Don Kichota” wykonał w tym miejscu piękny, ironiczno-autoerotyczny gest (i doczekał się w kilka stuleci później, na marginesie czytanego przeze mnie egzemplarza, krótkiej uwagi: „to ci filut!”). Czyżby, niczym Pigmalion w Galatei, Cervantes zakochał się w swoim dziele? A może chciał wskazać na to, że jego dzieło stanowi jedność? Że w każdym dziele odbija się przeszłość i nie można jej się tak łatwo pozbyć? Opowieść o Rycerzu Smętnego Oblicza, ta nieodrodna potomkini romansów rycerskich, ta bliska krewniczka powieści pikareskiej, stanowi sieć aluzji i parodii, raz za razem zatracających się w żywiole powagi i patosu. Pobrzmiwiają w niej zarówno ludowe opowieści, jak i homeryckie pogłosy. To gesty pozornego zerwania, które podtrzymują dialog z przeszłością.

Joyce twierdził, że pisząc „Ulissesa”, słyszał homeryckie głosy. Jego dzieło, wydane przez Egoist Press, również wylądowało na stosie, jako książka chora, niemoralna i maniackalna. Gest wrzucania książki do ognia ma w sobie tę samą porażającą siłę od epoki sto-

sów po czasy cenzury obyczajowej, a gospodyni Don Kichota podpalająca jego bibliotekę niebezpiecznie przypomina Teresę, pomoc domową profesora Kiena z „Autodeafe” Cannettiego.

Przykłady można by mnożyć – mnie nasuwa się jeszcze jeden. Józef, bohater „Księgi” Brunona Schulza, dostąpiwszy tajemniczego objawienia, robi z książek i starych szpargałów stos, wrzuca je w snop światła, padający z okna. Ale zamiast je niszczyć, przepisuje je, łączy osobne, wydawałoby się, znaki z różnych stron różnych książek, tworząc nową całość, łowiąc odległe powinowactwa i wmyślając w nie sens. Jeszcze przed wojną Kazimierz Wyka w ten oto sposób podsumowywał swój niewybredny atak na Schulza: „Sanatorium pod klepsydrą, nawet spalone na stosie, niczym nie uderza młodego pokolenia (...) żadna z cech istotnych tej książki nie jest cechą przyszłości, o którą warto kopię kruszyć”. Jak widać, w każdym drzemie Don Kichot, a w każdym Don Kichocie śpi szaleństwo, gotowe do rozniecenia stosu. A Sancho Pansa, w którym tyle pokładano nadziei, okazuje się tylko pomniejszonym odbiciem swego pana, rzutowaną w inną tonację kopią jego obłędu. □

Jerzy Franczak – doktor nauk humanistycznych
Wydziału Polinistyki UJ



Martwe natury – rzecz o Janie Rybowiczu

Jan Rybowicz został zaliczony przez Jana Marxa do grona poetów wyklętych. Większość życia spędził w podtarnowskiej Lisiej Górze. Piotr Kuncewicz w *Leksykonie polskich pisarzy współczesnych* daje trafną, wartą zacytowania w całości, lakoniczną charakterystykę pisarza i jego twórczości:

Jednym z najbardziej dyskutowanych autorów już właściwie dziewiątej dekady był Jan Rybowicz (Kozłże na Opolszczyźnie 1949 – Lisia Góra k. Tarnowa 1990), młodo zmarły poeta i prozaik, mający się początkowo różnych zawodów, trochę student. Rybowicz uprawiał krótkie formy, konsekwentnie drażąc jeden temat – stworzył sobie własną krainę – „wiochę Chodaków” i uczynił ją symbolem świata. Miał dar konkretnej obserwacji i prostego, wyrazistego języka. Jego wizja, w miarę upływu czasu coraz bardziej czarna, budziła także protesty. Rybowicz był też poetą, wydał tomy *Być może to* (1980), *Wiersze* (1986), *O'kay* (1990), liryka bywała brutalna, raczej gorzka, z elementami metafizyki, wiele tu także śmierci:

Tak, przyjacielu. Dojdziesz i ty do tego.
Jedyny ratunek jest w obłądnie.
W śrubie, zajobie, pierdolcu i obłąkaniu.
Tylko tam, w tym, uwierz mi. To pewne.
«Błogosławieni ubodzy duchem
albowiem ich jest Królestwo Niebieskie».
Błogosławieni szurnięci
albowiem już tu, na ziemi,
są w raju.

1988 (*Jedyny ratunek*)

Jako prozaik debiutował tomem *Samokontrola i inne opowiadania* (1980), gdzie szczególnie ważne są pierwsze utwory. Są tu ciepłe, choć i ostre portrety rodzinne. Pojawia się też Chodaków – ni

to wieś, ni to miasteczko czy przedmieście, z galerią nieudaczników, lumpów, a punktem centralnym jest knajpa. Ponadto występują tu robotnicy, chłopci, wreszcie on sam, początkujący pisarz Daniel Dominik. Dalej opowiadania i rozważania autotematyczne mniej udane. Wyrazisty język, dużo ironii. Kolejny tom *Inne opowiadania* (1985) to rzecz w tym samym stylu, ale tu już narasta czerń, coraz więcej postaci marginesu społecznego; wspomina się o Marku Nowakowskim. Już zupełnie wyklarowana atmosfera przynosi *Wiocha Chodaków* (1986) – to chyba najlepszy i najbardziej mroczny utwór Rybowicza: i świat i ludzie są tu paskudni i wstrętni. Oczywiście też, że to nie portret prowincji, bo „wiocha Chodaków to cały świat”. Rybowicz, który prowadził życie dość nieuporządkowane zmarł przedwcześnie. Ostatnie drukowane opowiadania (*Zwiadowcy piekiel*) wskazują, że pisarz szedł w stronę alegorii i przypowieści. Została też po nim legenda niezależnego outsidera, trochę stachurowata, choć on osobiście Stachury nie cenił¹.

Tyle Kuncewicz. Warto podkreślić, że twórczość Rybowicza przeżywa w ostatnich latach renesans za sprawą zespołu Stare Dobre Małżeństwo i jego lidera Krzysztofa Myszkowskiego, który na nowo odkrywa ludziom lisiogórskiego poetę.

Jaki był Jan Rybowicz? W jakim środowisku przyszło mu żyć? Z czym się zmagać? O tym w dalszej części tekstu.

Dzieciństwo

Środowisko, w jakim się urodził i wychowywał, zdeterminowało przyszły los Jana Rybowicza i egzystencję, z którą wytrwale się zmagał. Z relacji siostry poety, wynika, że ich rodzice poznali się podczas podróży pociągiem². Helena pochodziła z Lisiej Góry pod Tarnowem, Józef Rybowicz, z zawodu ślusarz, z Binarowej koło Biecza. W czasie wojny był więźniem obozu pracy w Elblągu. Po wojnie trafił na ziemie odzyskane, do Koźła. W 1947 roku Helena i Józef pobraли się i zamieszkali razem w Koźlu, w kamienicy przy ulicy Kraszewskiego. W 1948 roku urodził się Marian, rok później Jan, w 1951 Grażyna, a w 1953 Leszek. Rybowiczowie przez czternaście lat mieszkali w Koźlu. W 1962 Helena postanowiła przenieść się do odziedziczonego po zmarłej babce domu w Lisiej



Górze. Przeprowadzka nastąpiła latem 1963 roku. Józef Rybowicz był jej niechętny, zlikwidował jednak mieszkanie w Koźlu i w tym samym roku zjechał z chłopcami do tej typowej peerelowskiej wsi.

Dla wychowywanych w mieście Mariana, Jana, Grażyny i Leszka przeprowadzka była wielką życiową zmianą. Pomimo cieszącej oko przyrody oraz kolorytu miejscowej ludności. Trudno było przyzwyczać się im do wolnego tempa życia w Lisiej Górze. Tęsknili za dzieciństwem w Koźlu, które – jak wspomina Grażyna – śniło im się po nocach.

Samouk

Wraz z rodzeństwem Jan uczęszczał do szkoły podstawowej numer 1 w Koźlu. Marian i Leszek na ogół z nauką nie mieli problemów, choć stwarzali problemy wychowawcze. Jan szybko nauczył się czytać i stał się bywalcem bibliotek (szkolnej i miejskiej), gdzie pierwszy raz zaprowadził Grażynę. Potem zaczął chodzić do szkoły zawodowej. W wieku 16-17 lat, przerwał naukę i rozpoczął pracę w magazynach Państwowego Związku Gminnych Spółdzielni. Pracował ze starszymi mężczyznami, wśród których picie wódki oraz palenie papierosów było wręcz obowiązkowe. Jak wspomina siostra, otrzymał tam „prawdziwą” szkołę życia. Po jakimś czasie Jan zapragnął zmiany. Z małą przerwą ukończył liceum wieczorowe. Ta przerwa to marzec 1968 roku. Podczas manifestacji w Tarnowie z okna szkoły Jan krzyczał prawdopodobnie jakieś hasła³. Po wszystkim całą klasę rozwiązano i wyrzucono ze szkoły. Po maturze Rybowicz próbował zdawać do krakowskiej szkoły teatralnej. Starania zakończyły się fiaskiem.

Rok później Rybowicz rozpoczął studia na polonistyce w Uniwersytecie Jagiellońskim. Wspominał potem, że uniwersytet go rozczarował, że był szkółką. Poza tym nie miał stypendium, bo dochody rodziców przekraczały limit ich przyznawania.

Zdenerwowało go to wszystko, a studentów, którzy z nim studiowali uważał za „gówniarzy”. Właściwie nie potrzebował studiów, by czegoś się więcej nauczyć. Był samoukiem, miał własną sporą biblioteczkę.

Po rezygnacji ze studiów Rybowicz trafił do wojska, ten epizod w jego życiu nie trwał długo: po otrzymaniu odznaczenia za bycie wzorowym żołnierzem, dopuścił się numeru kwalifikującego go do wyrzucenia⁴. Koleje losu rozłączyły rodzeństwo Rybowiczów. Marian wyjechał z Lisiej Góry do pracy. Osiedlił się na stałe w Tarnobrzegu i młodo ożenił. Po ukończeniu Liceum Pedagogicznego w Tarnowie. Grażyna zaś wyjechała do Krakowa. Po studiach na UJ wyszła za męża, a po kilku latach wraz z mężem opuścili kraj.

Debiutant

Po powrocie do domu rodzinnego Jan Rybowicz, pracował dorywczo, częściej marzył o pisaniu. Jak wspomina Grażyna któregoś dnia wysłała do „Gazety Krakowskiej” notatkę na temat najdłuższego zdania w literaturze. Szalał z radości, kiedy została opublikowana⁵.

W Lisiej Górze już tylko sam mieszkał przy rodzicach, którzy z czasem wybudowali nowy dom. W tym starym miał swoją siedzibę i „pracownię pisarską”.

Debiutem poetyckim Rybowicza był wiersz *Wyobraźnia* wydrukowany w „Gazecie Południowej” w listopadzie 1976

roku. Potem w miesięczniku „Nowy Wyraz” w grudniu 1978 roku zadebiutował opowiadaniem *Jak zostałem pisarzem*. Doczekał się również debiutu dramaturgicznego. W telewizji 1 maja 1980 roku pokazano jego monodram *Najpiękniejsze opowiadanie świata* w reżyserii Stefana Szlachtycza. W roli głównej wystąpił Leszek Piskorz ze Starego Teatru w Krakowie.

Kaskader literatury

Należałoby teraz zapytać o „pokoleniową” pozycję Jana Rybowicza i jego miejsce w poezji PRL-u, bo w latach osiemdziesiątych drukował najwięcej i jego nazwisko stało się „rozpoznawalne”. Nie należał do żadnej grupy poetyckiej, nie utożsamiał się z żadnym środowiskiem pisarskim, a tym bardziej nurtem czy stylem. Był klasycznym outsiderem, poetą samotnikiem; nie miał „instynktu stadnego”, ani żadnych innych „inklinacji grupowych”. Raczej czuł swoją osobność wobec rozmaitych wspólnot artystycznych i „salonów”. Jako mieszkaniec prowincji może nawet czuł kompleksy, które powodowały w nim nie tyle tęsknotę za wspólnotą, co stroszyły go przeciw niej. Był z rocznika 49, uchodzącego w poezji za rocznik rozdarty. Jego nieco starsi „bracia” tworzyli Nową Falę, a więc poezję publicystyczno-polityczną, preferującą tzw. „mówienie wprost”⁶. Pozostali proponowali indywidualizm, lirykę autentystyczną (np. krakowska grupa „Tylicz”), lub tzw. Nową Prywatność (gdańska grupa „Wspólność”). Nowa Fala zdominowała poezję polską lat siedemdziesiątych; pozostali poeci znaleźli się w stanie „rozproszczenia programowego”. Raczej po tej stronie widzę Rybowicza, choć politycznie

był tak samo zbuntowany jak „nowofalowcy”; nie ukrywał, wręcz manifestował swoją niechęć do PRL-u. Ale był poetą żywiołowym, bardziej „intuicyjnym”, spontanicznym, niezależnym od mód literackich. Pewności siebie nabierał w miarę publikowania swoich utworów. Jednak korespondencja z redaktorami pism i wydawnictw świadczy, że do końca traktowano go jako skromnego „petenta”, „poetę z własnego nadania”, talent samorodny, tym samym osobny.

Był outsiderem, buntownikiem, czasami agresywnym i aroganckim, który sprzeciwiał się „Wszelkim Majestatom”, w tym także „Majestatowi Państwa Ludowego”. Nie miał przy tym tzw. „asekuracji” ani instynktu samozachowawczego. Zadufana wiara we własny talent, właśnie taka, jaką na ogół posiadają tylko grafomani albo geniusze, nie przysporzyła mu zwolenników w środowisku literackim. Rybowicz absolutyzował poezję jako wartość najwyższą i podporządkowywał jej wszelką pragmatykę życiową. Najczęściej spotykało to wagabundów, niebieskich ptaków, w końcu straceńców, którzy wkładali rękę w gorący ogień liryki, nie czując, że ona parzy i w końcu spala. Zwykło się ich nazywać „poetami wyklętymi” lub „przeklętymi”.

Za „poetę wyklętego” miano, jak wiadomo, artystę zbuntowanego, wygrażającego światu pięścią, nie respektującego norm obyczajowych i społecznych; straceńca, który za swoją wolność i wolność swojej sztuki gotów był oddać życie. A zwłaszcza tego, którego w kwiecie lat i twórczości zabierała śmierć.

U nas w okresie powojennym do tego szeregu nieszczęśników wszelkiej maści i „chuliganów” literatury zalicza się: An-

drzeja Babińskiego, Jacka Bierzina, Andrzeja Bursę, Stanisława Czycza, Józefa Gielo, Ryszarda Milczewskiego-Bruno, Halinę Poświatowską, Kazimierza Ratonia, Stanisława Swena Czachorowskiego, Rafała Wojaczka, Edwarda Stachurę, Włodzimierza Szymanowicza, z najmłodszych Mirosława Nahacza. Także Jana Rybowicza. Więc są to poeci nieporównywalni w kategoriach poetyki i stylistyki lirycznej. Dogmat ich odrębności i indywidualności – to ich cecha „gatunkowa”; podobni być nie mogli, to by ich obrażało; naruszało ich potrzebę i poczucie inności.

„Poetów wyklętych” łączył także bunt wobec zastanego świata, prowokatorski stosunek do otoczenia, szaleńczy styl życia, nadekspresja emocjonalna, wygrażanie pięścią kosmosowi, samotnictwo, chodzenie własnymi ścieżkami, także – bardzo często – kult śmierci. Wobec nich przyjęło się określenie: „kaskaderzy literatury”, więc ci, którzy dla literatury ryzykują, płacą za nią cenę najwyższą.

Sprawie tej szczególnie dużo miejsca poświęcił Jan Marx, który w dwóch tomach *Legendarnych i tragicznych* omówił trzynaście rodzimych przypadków *poètes maudits*, a wśród nich Jana Rybowicza⁷.

Podkreślając odmiennność opisywanych twórców Marx rozpoznawał nadrzędne cechy ich „kaskaderstwa”: nadwrażliwość, bezceremonialność, szorstkość, ekstrawagancję, brutalność, dosadność, rozpacz, pesymizm, erotyzm i hedonizm, w końcu autodestrukcję i skłonności samobójcze. Rybowicz mieści się w tym opisie, lecz raczej jako reprezentant „poetów wyklętych”, których wydawała każda epoka. Sam zresztą dorastał twórczo w okresie, kiedy w Polsce rozbudziło się bardzo namiętne zainteresowanie, w zasadzie fa-

scynacja rodzimymi poetami wyklętymi i zdarzyło się kilka znamienych przypadków ich spektakularnej śmierci. Przypomnijmy: w roku 1971 popełnił samobójstwo Rafał Wojaczek, w 1979 tragicznie odeszli Edward Stachura i Ryszard Milczewski-Bruno, w 1981 – Józef Gielo, w 1983 – Kazimierz Ratoń. Zwłaszcza śmierć Stachury poruszyła środowisko literackie i opinię publiczną. Dzięki jej zmitologizowaniu Sted stał się guru młodych roczników poetyckich; pierwszym „kaskaderem”.

Na dwudziestolecie 1971-1991 – otwarte śmiercią Wojaczka i zamknięte śmiercią Rybowicza – przypada szczyt popularności „poetów wyklętych”. I w tym „rozdziale” literatury należy głównie plasować autora *Wiochy Chodaków*, który miał przeciw świadomość swej szaleńczej determinacji i „skrajności”. Jednak żył i tworzył za opłotkami rówieśnej literatury, chyba nawet wbrew niej. Epoka „Beat Generation”⁸ nie zajrzała do Lisiej Góry, ale jej „duch sprzeciwu”, buntu, złości wobec zastanego świata znalazł sobie rzecznika w Rybowiczu. Gdzieś obok Nowa Prywatność toczyła spory z Nową Falą, a Rybowicz nie brał w tym udziału, bo nie wiedział, co jest autentyczne, oprócz tego, co autentyczne było w nim samym. Rok 1991 nie zamknął smutnego pasma odejść; w późniejszych latach tragicznie lub przedwcześnie umierali kolejni twórcy: Cezary Abramowicz, Tomasz Agatowski, Jacek Bierezin, Mieczysław Czychowski, Jan Drzeżdżon, Stanisław Gostkowski, Marek Obarski. Każdy z nich w mniejszym lub większym stopniu był dramatycznym kochankiem Poezji i jej „kaskaderem”. Warto przywołać w tym miejscu wspomnienie Stanisława Potępy:

Jan Rybowicz, to niemal dosłowny życiorys „wyklętego poety”, jak z Bruno-Milczewskiego, Stachury i Wojaczka, pisarza zdobywającego uznanie i szlify literackie wręcz z nożem w ręku. Bałaganiarskie życie, lektury Joyce’a, Faulknera i kufel piwa, flaszka i rozpaczliwa samotność w tłumie, kobiety za szybą i gorycz porażek, i tryumfy niemal przez łzy. Jednak równocześnie hardość aż odpychająca, jakby chodził z siekierą w ręku, a czasami poezja tak czuła, że aż przestraszona sobą⁹.

Rybowicz a PRL

Czasy komunistycznej rzeczywistości PRL-u, w jakich przyszło żyć Rybowiczowi, działały na niego jak płachta na byka. Józef Baran wspominał, że Rybowicz miał problemy z ówczesną władzą. Na początku stanu wojennego został internowany w obozie w Załężu, czuł się tam – jak później relacjonował – jak u Pana Boga za piecem. Napisał kilka dobrych wierszy. W liście z Załęża do Józefa Barana pisał:

Forse na «wypiskę» mam, papierosy mam, leżę bykiem cały dzień i czytam bibułę komunistyczną dostarczaną nam w formie «Trybuny Ludu» i książek z więziennej biblioteczki. Ładuję się jak akumulator, który zacznie pracować na wolności, czyli pisać [...] Trzymaj się i bądź dobrej myśli. Żadna WOJNA nie trwa wiecznie. Nie siedzimy tu nadaremno, na pewno!¹⁰.

Że „komunistów nie kochał”, czytamy w kolejnym liście do ówczesnego dyrektora Państwowego Instytutu Wydawniczego, Andrzeja Wasilewskiego:

W związku ze skierowaniem przez Prokuraturę Rejonową w Tarnowie do Sądu Rejonowego „aktu oskarżenia!” przeciwko mnie o jakoby „znieważenie tzw. PZPR”, informuję, że na procesie, jeśli się odbędzie, zamierzam udowodnić, że PZPR tzw. jest przestępczą, faszystowską i kryminalną orga-

nizacją polityczną działającą w Polsce nielegalnie – polskowatą frakcją komunistycznej partii Rosj.

Nie wiem, czy Pan należy do PZPR⁵², ale jeśli tak, to jest chyba jeszcze czas rzucić legitymację partyjną. Bo wiadomo, że PZPR jako organizacja przestępcza, zmuszała ludzi do wstępowania w ich szeregi, szczególnie tych, którzy zajmowali lub zajmują poważniejsze i kierownicze stanowisko! Proszę pamiętać, niebawem PZPR będzie zakazana przez prawo w Polsce, nawet to ułomne prawo i sfalszowaną Konstytucję, która nadal obowiązuje!

Więc proszę uprzejmie zlecić komuś tam, aby wysłał mi moją forszę. Pozdrawiam. I wiem, że Pan, nawet gdyby należał do PZPR, to duchem jest Pan z ludźmi uczciwymi, bo jest Pan – sądzę człowiekiem i dobrym, i szlachetnymi uczciwym z natury. Chyba się nie mylę?¹¹.

O determinacji i „szaleństwie politycznym” Rybowicza świadczy fakt, że takimi słowami zwracał się do Andrzeja Wasilewskiego, ówczesnego sekretarza KC PZPR¹², a więc jednego z przywódców partii komunistycznej. Tenże Wasilewski, będący dyrektorem Państwowego Instytutu Wydawniczego, doprowadził do wydania w PIW-ie dwóch tomów opowiadań Rybowicza. Okazało się, że talent pisarza przedłożył ponad różnice poglądów politycznych, co w owym czasie nie było zjawiskiem często spotykanym.

W liście do Wasilewskiego z 23 października 1984 roku Rybowicz w sposób dobitny diagnozuje rzeczywistość, w jakiej przyszło mu żyć:

[...] W naszym paranoicznym komunistycznym ustroju przestało już dawno dziwić mnie cokolwiek. Co więcej, dziwnym byłby fakt, gdyby cokolwiek w PRL *anno domini* 1984 działało normalnie. Tym bardziej poligrafia. Więc nie ma sprawy [...] Żyję w idiotycznym kraju i niewiele mogę na to poradzić.

Rozpocznę chyba niebawem pisanie obszernej pracy pt. „Dzieje idiotyzmu w Polsce”. Pański

list zamierzam umieścić jako motto tej pracy. Polityka wydawnicza PRL jest jednym z wielu przejawów tego idiotyzmu, niekoniecznie tylko i wyłącznie z winy samych wydawców, o czym pisałem już dawno, tylko nikt mi nie chciał tego wydrukować. Itd. [...] ¹³.

Wymowne są również symboliczne gesty, jakich używał poeta w celu wyrażenia swojej opinii o „systemie”. Na koperkach listów do Józefa Barana umieszczał różne niewybredne epitety w rodzaju: „PZPR do psychiatry”, co miało swoje konsekwencje. Baran w Służbie Bezpieczeństwa w Krakowie dyskutował z oficerem o walorach prozy swego kolegi. W końcu Rybowicza uznano za niegroźnego dla ustroju PRL wariata i pijaka i dano mu spokój!¹⁴.

Poeta a alkohol

Przez całe dorosłe życie Jan Rybowicz przysparzał rodzinie trosk. Cierpiał na depresję i stąd tyle u niego myśli o śmierci. Leczył się głównie alkoholem, chociaż miał długie przerwy w picciu. Pod wpływem alkoholu robił się często zaczepny i agresywny. Jak wielu ludzi pióra szukał w kieliszku natchnienia, a jeszcze bardziej ucieczki od rzeczywistości, uśmierzenia bólu, zamazania lęków, zmór i wyrzutów sumienia; szukał także niemożliwego do odnalezienia ratunku. Świadczące o tym wątki odnajdujemy w jego opowiadaniach, wierszach, listach. Józef Baran cytuje w swojej książce list od Jana z 25 stycznia 1987 roku: „Życie utrudnia mi alkoholizm, gwałtowny charakter, z którym nie umiem sobie poradzić oraz słaba odporność psychiczna”¹⁵.

W innym z listów pisał: „Ile czasu straciłem pijąc miesiącami i nic nowego nie pisząc, ile forsy? Tylko Bóg jeden wie. A to wszystko z tego powodu, że nie mam kurwa mać żadnego bodźca do życia”¹⁶. Jak potwierdza Józef Baran: „Bodaj dwa razy trafił na odwykówkę do Kobierzyna i owocem tego pobytu stała się znakomita proza, która – kto wie – czy nie natchnęła potem literacko Jerzego Pilcha?”¹⁷.

Baran wielokrotnie sam próbował wyperswadować przyjacielowi picie. Nawet dwa razy zdarzyło się, że po jego odwiedzinach Rybowicz przestawał pić; wtedy był w stanie delirycznym i przyjmował tylko wiśniówkę, jako „jedyne pokarm”¹⁸.

Za główną przyczynę alkoholizmu pisarza przyjąć można rzeczywistość, w jakiej żył. Szarość, jaką przynosiła codzienność w Lisiej Górze, zamknięcie się w kręgu pijaczków z „Lisiogórzanki” – knajpy znajdującej się naprzeciw domu rodzinnego.

Z kolegami po piórze utrzymywał tylko znajomości listowne. Naznaczony jakimś fatalnym piętnem pił z lisiogórskimi menelami, zdając sobie sprawę, że poza wódką nie ma z nimi wiele wspólnego. Pisał do Barana, który fragmenty Rybowiczowskich listów umieścił w swojej książce:

U mnie nic nowego. Czasem wpadam w takie dołki psychiczne, że mi się wydaje, iż takiego dołka pewnego razu nie wyjdę [...] Tu wciąż ta sama wiocha, tak zresztą jak cała nasza Polska i Rosja, która tak trafnie opisał Gogol [...]¹⁹.

**„Anioł śmierci tu zstąpił,
jest pomiędzy nami”**

Pamiętała o nim śmierć, która przyszła szybko, gdy miał zaledwie czterdzieści je-

den lat. Jak pisano po jego śmierci, „zmarł tragicznie, a alkohol nie był tu bez znaczenia”²⁰. Mieszkańcy Lisiej Góry, utrzymywali, że w noc poprzedzającą śmierć Rybowicz, dobrze już pod wpływem alkoholu, chcąc dostąpić pociechy duchowej, udał się do plebana, by porozmawiać z nim o Bogu. Ten zaś nie miał ochoty na ewangelizację pijanego poety, zagroził, że użyje wobec niego wiatrówki. Przepędzony przez księdza zasiadł Rybowicz w tę pamiętną noc do swojej ostatniej libacji. Nad ranem 21 października 1990 roku – już nieżywego – odkryła Jana matka²¹. Ojciec podejrzewał, że ta śmierć nie była przypadkowa. Sądził, że ktoś pomógł synowi umrzeć, podając mu zatrutą wódkę. Prawdziwa przyczyna zgonu nie została oficjalnie podana. Najprawdopodobniej śmierć spowodowało spożycie zbyt dużej ilości alkoholu. W Lisiej Górze Jan Rybowicz był osnuty „legendą” nieroba, pijaka i awanturnika.

Śmierć poety była ciosem dla rodziny. Józef i Helena Rybowiczowie bardzo przeżyli jego odejście²². Grażyna o śmierci brata dowiedziała się w miesiąc po jego zgonie z listu matki. Zajęło jej około roku, by w to uwierzyć i jakoś się z tym pogodzić. Jej zdaniem, nie była to śmierć w żaden sposób zamierzona, był to tragiczny wypadek.

Jan był naturą spontaniczną, nawet szaloną, porywczą, kierował się wyrazistymi emocjami stymulowanymi także przez alkohol. Zaznał w życiu wiele niepowodzeń, był karcony, odtrącany, wyrzucany (ze szkoły); szukał dla siebie miejsca w życiu i nie mógł go znaleźć. A kiedy zrozumiał, że jego pasją i przeznaczeniem jest pisanie, natrafił na kolejny mur. Częściej odmawiano mu druku niż drukowa-

no. Wypisywał więc do redakcji i wydawnictw dziesiątki listów, często awanturnych. Miano go tam za wariata i kloszarda; tylko niektórzy, jak Baran, Gąsiorowski czy Wasilewski rozumieli, że za tą spektakularną i szorstką „fasadą” kryje się prawdziwy talent. Oni też wiedzieli, że awanturnictwo i – powiedzmy wprost – chamstwo Rybowicza, to maska zakrywająca jego rozpacz, a nawet miękkość charakteru. Gdyby poeta był „twardy”, nie wycierałby progów w komunistycznych redakcjach. Ale jak mógł być „twardy”, skoro nie było alternatywy? Jak mógł konsekwentnie odrzucić tamten świat, skoro tylko w nim mógł żyć i publikować. „Bycie pisarzem” to był cel nadrzędny. Wszystko inne było wykrzykiwaniem dramatu, rozdarcia, frustracji, matni między sobą i Polską.

Jako samouk i człowiek prowincji był Rybowicz blisko tego typu twórczego, jaki określamy mianem „naturańczyka”. To był kolejny powód jego głębokiej frustracji, wyzwalającej agresję wobec świata wielkomięjskich redakcji i redaktorów. Wszystkie te okoliczności i cechy charakterologiczne spowodowały, że poetę z Lisiej Góry łatwo jest kwalifikować jako pisarza „wyklętego”. W czasie rozmowy z Józefem Baranem pisarz stwierdzał:

Są rzeczy piękne i ideał, do którego się dąży. Dlatego w tym kierunku chciałbym iść. Zrobić coś dobrego. Był taki kawał w „Przekroju” przedrukowany z którejś z amerykańskich gazet. Jest taki salon (bo w Ameryce nie pokazuje się slumsów, tylko salony), kanapka i nad kanapką taki po byku portret. Bandyta sycylijski na tym portrecie, a przy kanapce stoi nobliwa pani w średnim wieku, *pin-ce-nez* pod okiem, i mówi do młodego człowieka, może bratanka: „Patrz, twój wujek wyróżnił się jednym. Zostawił świat o wiele gorszy niż go zastał”. Rozumiesz? Taki bandzior na portrecie... «Zostawił świat po sobie gorszym niż go zastał».

Cha, cha! nie mogę zapomnieć tego kawału. [...] No, że ja nie chciałbym zostawić świata gorszego niż go zastałem. Trzeba coś dla kogoś zostawić. Dobrego²³.

Rybowicz pozostawił dla nas swój dorobek pisarski, w którym znajduje się klucz do tej jakże intrygującej i tragicznej osobowości. Warto odnaleźć ten klucz. □

Autorka jest studentka bibliotekoznawstwa w Uniwersytecie Pedagogicznym w Krakowie

¹ P. Kuncewicz, *Leksykon polskich pisarzy współczesnych*, Warszawa 1995, s. 196.

² Z prywatnego listu siostry Jana Rybowicza, Grażyny Różyckiej, do autorki.

³ J. Baran, *Autor! Autor!*, Warszawa 1986, s. 181-182.

⁴ Z prywatnego listu siostry Jana Rybowicza, Grażyny Różyckiej, do autorki., op. cit.

⁵ Ibidem.

⁶ T. Nyczek, *Określona epoka. Nowa Fala 1968-1993. Wiersze i komentarze*, Kraków 1995.

⁷ J. Marx., *Legendarni i tragiczni. Eseje o polskich poetach przeklętych*, Warszawa 2000, cz. I, Warszawa 2002 cz. II.

⁸ P. Moskal, *Wsluchaj się w podmuch zmian*, http://nmmag.net/nn/index.php?redir=mod_arts.php&id=82 [dostęp: 01.06.2008]

⁹ S. Potępa, *Wiersze zebrane Jana Rybowicza*, „TEMI” nr 50, 1995, s. 13

¹⁰ J. Baran, *Tragarze wyobraźni*, Rzeszów 2006, s. 87.

¹¹ Fragment Listu Jana Rybowicza do Andrzeja Wasilewskiego z 17 listopada 1981 roku.

¹² Komitet Centralny Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej.

¹³ Fragment Listu Jana Rybowicza do Andrzeja Wasilewskiego z 23 października 1984 roku.

¹⁴ J. Baran, *Tragarze wyobraźni*, op. cit., s. 88.

¹⁵ Ibidem, s. 84.

¹⁶ Fragment Listu Jana Rybowicza do Ireny Puciło, z 29 czerwca 1988 r.

¹⁷ J. Baran, *Tragarze wyobraźni*, op. cit., s. 92.

¹⁸ Ibidem

¹⁹ Ibidem, s. 91.

²⁰ Smol (pseud.), *Pamiętajmy o Rybowiczu*, <http://www.tarnow.net.pl/index.php?pokaz=wiadomosc&id=3060> [dostęp: 02. 02. 2008]

²¹ J. Marx, *Legendarni i tragiczni*, Warszawa 2002, s. 770- 771.

²² Z prywatnego listu siostry Jana Rybowicza, Grażyny Różyckiej, do autorki. op. cit.

²³ J. Baran, *Autor! Autor!*, op. cit., s. 197.

Poeci i ich moduły uczuć

Jedną z interesujących koncepcji psychiki ludzkiej, którą głosi epistemologia i psychologia ewolucyjna jest znaturalizowana koncepcja umysłu człowieka, ukazująca go jako wytwór dziejowego procesu ewolucji, który służył u początków powstania gatunku ludzkiego jako narzędzie dające mu wysokie szanse przetrwania i pozwalające skutecznie adaptować się do naturalnego środowiska jego życia, a potem do coraz większych wspólnot ludzkich, przekształcających się w społeczności. Na gruncie teoretycznym ogólnie idzie tu o „hipotezę sawanny” oraz o tzw. „Teorię Umysłu”, które opisali m.in.: Satoshi Kanazawa, Davide Buss, Daniel C. Dennett, Jerry Fodor i wielu innych naturalistycznie zorientowanych badaczy. Mówiąc najprościej, ludzie pozytywnie reagują na krajobraz trawiasty z kwiatami i kwitnącymi drzewkami, śpiewającymi na nich ptakami, a nie cierpią dżungli, drapieżników i zdradliwych gadów oraz insektów. Natomiast powstała w umyśle człowieka „Teoria Umysłu” powstała w kontaktach socjalizujących z innymi ludźmi pozwala mu w życiu społecznym z nim czytać z ich zachowania prawdziwe intencje: czy faktycznie mówią prawdę, czy też łąją jak na zawołanie.

W świetle tych koncepcji źródłami sztuki, w tym i poezji, są powstałe i wyselekcjonowane ewolucyjnie moduły umysłu człowieka służące mu do zalotów (tokowania) w celu przywabiania partnera seksualnego, albo przyjaciela, zaś sama kultura postrzegana jest tu przez metaforę „pawiego ogona” natury, który nie zawsze swym nosicielom ułatwia skuteczne adaptowanie się do swego środowiska, choć może być skutecznym narzędziem dającym przewagę w rozprzestrzenianiu się ich genów, a nawet – jak powiedziałby Richard Dawkins – memów. Tak rozumiany umysł człowieka stanowi zespół genetycznie dziedziczonych modułów, które automatycznie wywołują reakcje człowieka na

świat i stanowią tzw. „skrzynkę narzędziową” napędzaną emocjami, automatycznie uruchamianą – na „oka mgnienia”, kiedy pojawiają się odpowiednie bodźce płynące ze środowiska życia człowieka. W przypadku artysty, kiedy jego wrażliwość jest bardziej wyostrożona odciskają się wyraziście na formach i treściach jego dzieł oraz utworów artystycznych. Widać to wyraźnie w poezji, że moduły przyrodnicze i społeczne są obecne jako źródła inspiracji poetyckiego dyskursu, a dobra poezja zawsze dąży do zrównoważenia ich obecności w utworach. Sztuka natomiast staje się bardziej ekstremalna wtedy, kiedy jedna z grup modułów dominuje nad drugą, ale również wtedy – jeśli stoi za nią praw-

dziwy geniusz – mamy najczęściej do czynienia z rewolucyjnymi innowacjami w danej dziedzinie twórczości.

W przedstawionych poniżej książeczkach poetyckich staramy się wytropić obecność tych modułów w twórczości poetów i pokazać na ile ożywiają zawartość ich utworów i na ile twórcy mają świadomość, że mimowolnie ich zamysły artystyczne w swej głębokiej warstwie są powodowane dziejowym i ewolucyjnym dziedzictwem naszej natury ludzkiej, która bardzo długo ewoluowała na sawannie, a następnie stosunkowo krócej w większych społecznościach ludzkich.

*

Autorka ta chwali ową naturalność życia codziennego, nasyconego uczuciami, niespodziewanymi wydarzeniami, które nieustannie przyciągają jej uwagę nastrojając jej wrażliwość estetyczną. Jako kobieta uwielbia bliskie i intymne interakcje międzyludzkie, oparte na dotyku pocałunku, pieściwości i szepcie. Mowa jest tu o wyborze wierszy **Barbary Dziekańskiej** pt. *Zapiski na dłoni*. Zbudowany przez nią mikrokosmos oparty na ciepłych związkach międzyludzkich transcenduje niekiedy na makrokosmos, w przestrzenie Drogi Mlecznej, by jednak skupiać się na tym, co znajduje się obok niej „tu” i teraz”. W wierszu pt. „Liryk” tak oto opisuje swoje związki ze światem: „ciepło rąk/prężność ust/zwięzłość słów//to TY//ciała chłód/chłonność ust/lotność słów//to JA//w ciszy szept/szeptu krzyk//niemy krzyk//to MY”. Choć wielbi życie małych miasteczek, to jednak przeraża ją anonimowość tłumu i chaosu wielkomiejskiego, gdzie życie wymaga ciągle nowego makijażu i maski. Eksploatuje

więc owo codzienne doświadczenie człowieka, ale również i sięga do zasobów pamięci, która staje się dla niej garderobą dla kolejnej transformacji własnej osoby i osobistego mikrokosmosu. Osia jej wierszy jest niewątpliwie miłość w jej różnorodnych formach i odcieniach emocjonalnych, a w wierszu bez tytułu tak opisuje kolejny nawrót tego uczucia: „wróciła miłość/dzikuska/niepomna bólu//wylała na sukienkę zapach zwierzęcia”. Bezinteresowną miłością darzy również świat przyrody rozpalający dobry nastrój, kiedy powraca z niej między ludzi, by tępić zdradliwe zarzewia ich depresji i regresu psychicznego. Piękne życie kojarzy bowiem z nieustanną wędrówką po świecie i tańcem z napotkanymi ludźmi. Ważnymi znakami orientacyjnymi tych wierszy jest niewątpliwie miłość do muzyki i wiara religijna, nadające jej utworom ową metafizyczną otoczkę, w której chowa się kiedy dotyka ją śmierci, np., ojca, matki, bliskich. One również pozwalają jej celebrować życie i wnikać w jego fundamentalne elementy, których związki dobrze oddaje metafora „młyńskiego koła”. Poezja Dziekańskiej nieustannie ewoluuje, od lirycznego do erotycznego obcowania ze światem i ludźmi i zawsze w podglebiu jej utworów miłość stanowi siłę sprawczą zamysłu artystki, a to zaś wprowadza ją w ekstazę snu pomiędzy jawą i snem, choć śmierć najbliższych budzi rozpacz, ale i z drugiej strony wyważoną zgodę na logikę życia, które jest dla niej wartością bezwzględną. Rozumie bowiem, że na piękność życia składa się jego przypadkowość i ulotność i wtedy dodaje jej siłę pokora, która pozwala pogodzić się z tymi ekstremami życia, czyli bólem rodzenia i umierania. W wierszu pt. „Na ulicy Sentymentalnej” pisze więc: „(...) Na ulicy sentymentalnej/nikt

nie umiera/tylko odchodzi/zostawiając wiotką z napisem/ – do zobaczenia”.

Twórczość poetycka **Ireny Kaczmarczyk** najczęściej przedstawia perspektywę podglądania świata z jego zakamarków i tzw. „tyłów” – jak to kiedyś pisał Józef Brana. W wyborze jej wierszy pt. *Wzejdą wiosną. Wiersze z lat 2001-2007* autorka opublikowała utwory wybrane z czterech wcześniej wydanych tomików i uporządkowała je w pewną opowieść zapisaną na marginesie osobistych doświadczeń życiowych, odzwierciedlających przygodność życia ludzi i wydarzeń związanych z obcowaniem z nimi głównie na tle świata przyrody. Wydaje się, że pojmuje ona wytwory duchowej kultury ludzi jak przysłowiowe ziarna rozsiewane i bogacące naturalny świat ich życia. Szczególnie inspirowa ją podziw dla naturalnych żywiołów, związki z bliskimi sobie ludźmi, ale i wiara religijna, jednocząca jej przeżycia i towarzyszące im emocje w pewną wręcz metafizyczna całość, wpisującą poetkę w świat doczesny i wieczny. Ludzie i przyroda stanowią dla niej jakby dwie strony tego samego, a to, co dzieje się w sferze duszy ludzkiej ma dopiero pełne odniesienie wtedy, kiedy twórczo wkomponowuje się w głos i krajobraz natury. Dobrze tę jej postawę ilustruje wiersz pt. „Zakopane czeka na śnieg” dedykowany wierszom Andrzeja Warzechy, w którym czytamy: „Ktoś zgubił „Dziennik wigilijny”/święteczne wieści/ w trawie mokną // halny rozsiewa / wiersze Warzechy//stadem krokusów/wiosną wzejdą”. Dzieje się tak nieprzypadkowo, bo życie człowieka postrzega jako medium jednoczące w sobie to, co rzeczywiste i doczesne z tym, co duchowe i zarazem wieczne. W jednym z wierszy bez tytułu dowiadujemy się, że „Między ziemią a niebem/

horyzont//między łąką a uśmiechem człowieka// między człowiekiem a człowiekiem/ściana”. Jak łatwo zauważyć, Kaczmarczyk niepokoi coraz bardziej rozprzestrzeniające się między ludźmi osamotnienie, pomimo ich coraz częstszych kontaktów. I właśnie dlatego w kontaktach z przyrodą odnajduje owo przewyciężenie izolacji potęgującej się między ludźmi. W innym wierszu bez tytułu pisze: „moja wierna/ łąka/uchyla gościny//kładzie dywan/pod stopy//częstuje listkiem/szczawiu//płoszy lęk/przed zmierzchnieniem”. Dla poetki na dobrą sprawę świat społeczny mógłby nie istnieć, ale życie i marzenie o wieczności bez doświadczenia przyrody są przecież niemożliwe, a w utworze pt. „Pamięci Henryka Cyganika” prostopadlinowo wyznaje: „spadł listek/złotego klonu//i stała się ciżba//w górach/w wierszach”.

Wybitny prozaik średniego pokolenia pisarzy, często kojarzony z Nową Falą **Roman Wysogład** postarał się o ciekawostkę wydawniczą, jaką jest niewątpliwie jego tomik poezji pt. *Na granicy do niczego*, w którym stara się robić za tzw. „tajniak w poezji”. Wcześniej kojarzony z twórczością prozatorską, bo jest autorem kilku znanych powieści, udostępnił publiczności swoje wiersze, które od lat skrzętnie skrywał w szufladzie, rzadko je drukując. Ich motywem przewodnim są niewątpliwie dwie kwestie typowo społeczno-egzystencjalne, a mianowicie koegzystencja twórcy ze społeczeństwem w jego socjalistycznym wydaniu oraz kobieta jako nieodłączna towarzyszką życia mężczyzny. Robotnik bowiem jako awangarda tamtego modelu społeczeństwa postrzegany jest przez poetę jako „ prostytutka wymyślająca kolejne pozycje w spółkowaniu z zakładem produkcyjnym”, zaś kobieta jawi się tu jako

przedłużenie tego zprostywowanego życia na prywatne relacje i stosunki emocjonalne z mężczyzną. W wierszu pt. „Plakatywy dzień”, mającym charakter rozliczeniowy z pokładami własnej świadomości, poeta tak oto rekapitułuje osobiste doświadczenia z tamtym czasem: „w dniu, w którym zastrzeliłem swego ojca/parkan mojej świadomości zalepiono plakatami//ojciec wierzył w Stalina czekał na dzień triumfu/kolejnej autonomicznej republiki// (...) dzień po pogrzebie odznaczenie przyznane ojcu/wręczono mnie//ojciec zza pokrywy snów zabronił mi go przyjąć/ – ja się na tym nie znam//moje plakaty reklamują filmy kryminalne/i kosmetyki „Miraculum””. Na obydwie te sprawy, tzn. na relację ze społeczeństwem i jego kobietą części, Wysogład jest wręcz panicznie uczulony i traktuje je – mówiąc oględnie – ironicznie. To, co jest interesujące, a nawet szokujące w tych wierszach, to pewnego rodzaju bezwzględna buntowniczość i głośno wykrzykiwany sprzeciw, który ujawnia się w jego utworach emocjonalną obojętnością, a nawet nienawiścią w stosunku do ludzi jako masy, ale i kobiety poddającej się w swych interakcjach ze światem dominującym w danym okresie historycznym stereotypom społecznego bycia i postrzegania, w wyniku których jej życie wypełnia nuda oraz ucieczka w próżność, co w rezultacie pociąga za sobą apatyczny sens życia zbiorowego, najczęściej sprowadzającego się do topienia jego beznadziei w oparach alkoholu. Ludzie jako masa, ale i sam poeta najczęściej doświadczają nie odstępującej ich na krok samotności, a w wierszu bez tytułu poeta tak oto konstatuje tego typu doświadczenia egzystencjalne okresy PRL-u, ale i w wielu wypadkach czasów nam współczesnych: „sa-

motność jest bielą/opisaniem ust/zamknięciem drzwi/pościeniem łóżka//samotność to obraz/ledwie rozpoczęty/zepchnięty w pogranicze beztroski”.

W Częstochowie pod koniec ubiegłego roku ukazał się wybór wierszy **Ryszarda „Sidora” Sidorkiewicza** pt. *Poezje Wybrane*, stanowiący adekwatny przekrój przez jego poezję. Debiutował w roku 1978, a do tej pory ukazało się osiem tomów jego poezji. Mieszka aktualnie w Olsztynku pod Częstochową, a prócz poezji zajmuje się również krytyką literacką i przekładem poezji. Jak trafnie zauważa we wstępie do tego wyboru Arkadiusz Frania, wskazując na powinowactwa jego poezji ze stylem i tropami Mariana Ośniałowskiego, Rafała Wojaczka, Sergiusza Jesienna, a nawet Adama Mickiewicza, pisząc, że „Ryszard „Sikor” Sidorkiewicz nie ma więc przynależności generacyjnej, ale jest wielkim i pięknym, a może i nawet sierotą po „przeklętych””.

I niewątpliwie poezja tego autora jest znakomitą liryczną, momentami heroiczną, a zarazem łotrzykowską, a więc często bardzo gwałtowną analizą ludzkiej codziennej egzystencji, której podmiotem lirycznym staje się przeciętny „zjadacz chleba”, a najczęściej można wskazać tu na samego poetę i jego bezpośrednie doświadczenie życiowe. Wszystkie wiersze Sidorkiewicza bez względu na to czy przybierają formę piosenki, czy modlitwy, są bardzo szczere, autentyczne i do głębi przesiąknięte postawą buntowniczą. Poeta nie buntuje się w sposób koniunkturalny, np. dla jakichś celów politycznych, ideologicznych, albo, że tak wypada. Jego bunt ma charakter wręcz uniwersalny i typowo aksjologiczny, bo wyraża zdecydowany protest przeciwko miernej kondycji bytu człowieka

w świecie, który skazany jest właściwie na ucieczki, np. w alkohol, bezsensowną miłość, absurdalną pracę, a w rezultacie traci zdolność do twórczej autentyczności. Pozostaje mu żyć lękami związanymi z codziennym obcowaniem z drugim człowiekiem, postrzeganiem kolejnych faz życia, jako etapów coraz szybszego umierania i zmierzania do Nicości. Jeśli się tę świadomość odkrywa, to bez dyskursu poetyckiego osławiającego ten strach egzystencjalny, życie jednostki staje się pasmem niekończącej się udręki. I takie jest też głębokie źródło momentami wstrząsającej wizji miejsca człowieka w świecie, która inspiruje kolejne wiersze autora tomu „Piosenki z miasta Sidorów”. Jednak nie jest ta poezja przejawem lęków egzystencjalnych, ale raczej świadomym, odważnym, ale i butnym buntem w imię obrony kondycji ludzkiej w świecie u samej jej podstawy: jest więc twórczą, bo tak czy owak, tworzy przyczółki nadziei. Dla Sidorkiewicza bowiem życie samo opiera się o logikę kochania aż po grób, by tym samym wywinąć się nieuchronnej śmierci i właśnie „skochoć się na śmierć”.

Drogi poetyckie „Sidora” – to egzystencjalne meandry pomiędzy ludźmi bliskimi, np. matką, ojcem, siostrą, przyjaciółmi z bezpośredniego otoczenia, ale i przyjaciółmi po piórze: Anną Kajtochową, Adamem Ziemianinem, Haliną Poświatowską, Andrzejem Babińskim, Tadeuszem Śliwiakiem, Henrykiem Cyganikiem, czy duchowym partnerem – ks. Dionizym Jackowskim. Poeta w ulubionej dla siebie formie poetyckiej narracji, jaką jest piosenka z liryzmem zadziornym znakomicie demontuje dominującą nad ludźmi zasadę „życia z przyzwyczajeniem”. W wierszu pt. „Bardzo krótka piosenka” pisze: „noc zaczyna się/nad

ranem//kiedy wszystkie sny/przespane//obudzony/w szarym świecie//czarny kot/przebiega życie”. Proponuje więc budowanie świata codziennego wręcz na opak; wbrew obowiązującym kanonom i normom codzienności, bo – jak pisze – „(...) co ludzkie nie jest nam bardziej obce//niż człowiek”. Idzie mu nie o jakieś nieustanne osławianie człowieczeństwa człowieka, a właściwie o każdą jednostkę ludzką w swej niepowtarzalności bytowej. Często pojawiająca się w wierszach tego poety metafora „wycia”, „skowytu” egzystencjalnego, gra rolę pewnego antidotum, które oczyszcza prostolinijnie i szczerze choćby na chwilę kondycję człowieka uwikłanego w codzienność. Również „umiejętność znikania” jako pewna forma życia skazanego na umieranie jest również czytelna, bo jest odtrutką dla podświadomych lęków egzystencjalnych. I tu, podobnie jak u każdego twórcy, Sidorkiewicz musi postawić pytanie o własną tożsamość osobową i artystyczną, którą buduje oglądając siebie w zwierciadle innych ludzi, z którymi prowadzi nieustanny dialog w swych utworach. Bo poeta – podkreśla z uporem – to samotnik wędrujący, podszyty lękiem, trzymany przez los na pętli smyczy ciągle tworzonego wiersza. Jako twórca dialektyczny, Sidorkiewicz znakomicie wgląda w odwrotną stronę świata, jego drugą stronę zwierciadła, którą skrywa nasza kultura, często spychana w zapomnienie, zaciera na w pamięci. I dlatego jedną z największych domen tego poety staje się pamięć, z której wydobywa te wręcz metafizyczne ustalenia, które nadają sens światu ludzi, a pośrednio każdej jednostce w nim obecnej. Penetracja pamięci jest bowiem dla poety z Olsztynka koniecznością, by mógł wracać do siebie; do swej istoty gatunko-

wej. Tam – analogicznie jak i w twórczości Wojaczka – odnajduje „Sidor” owo „światelko” – jako pewne doświadczenie znikomości, które jednak staje się owym przyczółkiem nadziei, bo rozpala i podtrzymuje samo życie na sposób ludzki. Światelko to połączone z pamięcią daje w jego poezji ciekawe efekty wizjonerskie, bo niepamięć ubiera się tu w kostium ciemności, zaś świat jako złożenie „światła i ciemności” ukazuje się w formie szarości, gdzie gra światłocieni, a więc pamięci i niepamięci, pozwala ludziom aktywnie wybierać siebie i sens własnego istnienia, buntując się przeciw niej. W tak zobrazowanej perspektywie istnienia również człowiek może bezboleśnie, idąc za światelkiem, przechodzić na jego drugą stronę, czyli do krainy cieni, a więc z pamięci do niepamięci i *vice versa*.

Z perspektywy tego wyboru widać jasno, że te prawie 30 lat pracy twórczej i konsekwentnej drogi na niwie poetyckiej spowodowało, iż „Sidor” Sidorkiewicz wyrósł w częstochowskim środowisku literackim na postać wiodącą – artystę, który już wiele znaczy dla naszej literatury rodzimej, bo jego dokonania są niewątpliwie godne zauważenia i docenienia, a dla współczesnej, rodzimej kultury literackiej, niewątpliwie znaczące.

Zamysł artystyczny kolejnego tomiku **Aleksandra Jasickiego** wyraża jego tytuł, który brzmi: *Teczka zielonego (22 dowody na współpracę)*. Widać wyraźnie, że poeta nawiązuje do głośnych, a może jedynie modnych obecnie trendów w rodzimym życiu literackim, gdzie jeden nowy TW ściga inne, ale już dobrze podstarzałego kolejnego TW. Ten cyniczny, ale i wiele znaczący chwyt w tytule przyciąga uwagę do jego zawartości, na którą składają się

wiersze wydobyte z pamięci krakowskiego poety i zawierające wątki typowo rozliczeniowe z miejscem i społecznym kontekstem własnej twórczości w rodzimym krajobrazie poetyckim. Nie jest tajemnicą, że autor zmaga się z ciężką chorobą, a kolejny dzień jego życia jest dla niego darem, który chce jak najbardziej twórczo wyeksplloatować. Przedmiotem jego refleksji w tym tomiku są dla niego dwie kwestie, które zawsze najwyżej cenił, a składają się na nie dwa miejsca, z którymi jest mocno związany, tj. ta dzielnica Krakowa, w której się wychował, znajdująca się nad Wisłą w okolicach Wawelu oraz Bieszczad, do którego od dawna żywi ogromny sentyment, poświęcając mu już kilka wcześniejszych tomików. Prezentowana książeczka składa się więc z dwóch części: „Teczka na Miasto” i „Teczka na Bieszczad”. W obydwóch znalazły się właśnie utwory wyrażające głębokie związki emocjonalne i mentalne z tymi jego „ojcowiznami”, z którymi i dzisiaj, choć najczęściej w przestrzeniach własnej pamięci „ściśle współpracuje” tworząc osobliwe wizje poetycko-rozliczeniowe z nimi, mając na uwadze głównie własne dokonania artystyczne.

W pierwszej części ukazuje obraz cywilizacji Miasta, której siłą sprawczą są walczący ze sobą ludzie, walce których na zapleczu i w podglebi metropolii towarzyszy harmonijny wyścig człowieka ze szczyrami i pluskwami, nie rzadko go wygrywające. Nad tym dwuwarstwowym bytem społecznym ludzi, i gryzonię i insektów nieustannie w dzień panuje „słońca pomarańcza”, zaś w nocy „Luna”. Wyścigi te z natury mają charakter konsumpcyjny, jednocząc te dwa światy, a mianowicie „kosza obfitości” i „kosza na śmieci”, co symbolizuje bułka zawinięta w papier, bo

haterka jednego z jego utworów. Papier, w który zawija ją poeta, nie niesie już na sobie wiersza, ale służy do klonowania kolejnych po sobie śniadań. Inną stroną tego miejskiego wyścigu ludzi są emocje powstające na linii kobieta-mężczyzna, a ich źródłem staje się „paliwo pieniądza”, które najczęściej ukazuje się w zmysłowym doświadczeniu „wilgotności” ludzkiego świata. W takim świecie poeta z góry skazany jest na marginalizację, bo jedynym, co ludzi tu podnieca jest szeleszczący „papier banknotów”. Pozostają mu konsekwentnie wierni: słońce – od strony dnia i Luna – od strony nocy, zaś jego los niczym nie różni się od „krakowskiego konia”, ciągnącego po mieście dorożkę. W wierszu pt. „Koń miejski Krakowski” czytamy: „(...) ciągnę Twój wóz./ciągnę za sobą skrzypiące koło Rynku./ciągnę ciebie jak za język, moje Miasto,/na spytki cię biorę – chcesz tego//czy nie./Po bruku koła Miasta wlokę/przygarść wierszy/na wozu plandekę// (...) Po bruku bryczkę Miasta wlokę/jesień bije/deszczu kopytem”. Na tym „wozie poety” jadą zabytkowe budowle wokół Krakowskiego Rynku wraz z „Głowa Mitoraja”, a towarzyszy im muzyka wydobywająca się z dwóch kolejnych utworów zadedykowanych znanym bardom krakowskim: Jerzemu Bożykowi i Czesławowi Drozdowiczowi. Jedynie zmęczone ołowianymi chmurami niebo nad Miastem poety ma zrozumienie dla tego korowodu ludzi i dziejów zawartych w utworach pomieszczonych w pierwszej teczce poety.

Część druga, czyli „teczka na Bieszczad” – to kolejne w dorobku artystycznym pochylenie się poety nad przyrodą i kulturą ludzi zamieszkujących tę krainę. Próbuje więc Jasicki przełamać lodowate

uczucia wielu ludzi żywione do niej, podsuwając im klucze do obcowania z tym „dzikim światem” i jego specyficzną logiką toczącego się tam życia. Ciekawie kreśli na łonie Bieszczadu portret śmierci generała Karola Świerczewskiego, pokazując w kolejnych utworach tajemnice z niedawnej przeszłości, obecnie skrywane przez las Bieszczadu, a które dla niewytrawnego obserwatora nie są łatwe do uchwycenia. W geometrii lasu odzwierciedlonej w wersach wierszy widać, gdzie kiedyś były tu cerkwie, cmentarze i gdzie rozciągały się zabudowania wiejskie, o których wspominają mimochodem ślady zdziczałych sadów. To wszystko pochłonął już las. Widać tu jeszcze we mgle i dymie nielicznych osad Bojków te pozostałości kultury, którą wyraża metafora „Indian Bieszczadu”. Jasicki opisuje również osobiste, intrygujące przeżycia w związku z wieczorami autorskimi, np. w Cisnej, na których przedstawiał miejscowym własne utwory. Przy wspólnym ze słuchaczami stole jakby przemieniały się w „karmę duchową” ożywiającą dusze tych ludzi, ale i utwierdzały poetę w przekonaniu o trafności osobistych inspiracji twórczych, bo Bieszczad wydawał się wtedy dla nich wszystkich własnym domem, choć odmiennie przeżywanym. W fragmencie „Tryptyku o czytaniu wierszy w Cisnej” dowiadujemy się, że: „(...) musi być odważny/by na siebie przyjąć ten strach poety -/wczepi się w niego poeta pazurami/odporny na ból taki stół musi być// A więc/stół hardy ma być, z lasu/poeta od ludzi pochodzi. Stół do ludzi na starość w służbę poszedł/Poecie do lasu bliżej/niz do ludzi”.

Fascynacje poety regionalną kulturą ludzi Bieszczadu, pozwalają zatem Jasickiemu ukazywać ją jako mozaikę modli-

twy i pracy, kultu krajobrazu, ale i typowej chytrości, a nawet cwaniactwa, adaptujących autochtonów do tych trudnych warunków bytowania. Widzi on bowiem wyraźnie tę egzotykę ich „dzikiego życia”, a ona przekłada się na kolejne wersy jego wierszy. Losy ich bohaterów przypominają poniekąd losy zdobywców i pionierów „dzikiego Zachodu”, którzy budują swoje legendy „półbogów”, traktując jednocześnie naturalne środowisko własnego życia jako owo bóstwo wcielone, a samemu poecie jest po drodze z nimi w tym współodczuwaniu wzniosłych wartości tam tkwiących.

Ten dwuczęściowy tomik wierszy, spinany rozdieranym sercem poety między obydwo ma światami, wyraźnie ukazuje dylematy egzystencjalne współczesnego człowieka, kochającego swoje mentalne i emocjonalne „ojcowizny”, ale również uczy, że dla pełnego człowieczeństwa owo doświadczenie może stać się kluczem do zrozumienia samego siebie oraz wyjaśnienia sobie podstaw własnej tożsamości artystycznej, nad którą dyskretnie czuwa jego osobisty „Instytut Pamięci Nawróconej”.

Jerzy Stanisław Fronczek opublikował jeszcze w roku 2007 zbiorek poezji pt. *Kantyczki polskie*. Ta skromnie wydana książeczka jest kolejnym portretem przeżyć i przemyśleń autora związanych z bardzo osobistym doświadczeniem przyrody, ojcowizny, ale i naszego narodu i jego historii. Każdy wiersz jakby animuje drzewa, kwiaty, kamienie, nadając im wiele aspektów wynikających z mistyfikacyjno-biblijnego ujmowania świata, który został odzwierciedlony w wierze ludzi i pokrywa się również z rytmem pór roku, a nawet ma swoje historyczne odzwierciedlenie. Na dobrą sprawę ów świat został tu ukazany

jako rzeka, zaś ludzie jako ryby trzepoczące się w sieci stworzonego przez siebie świata kultury. Jego centralnym punktem jest dom rodzinny, który jak ognisko skupia ich wokół siebie w ich wymiarze bycia biologicznego oraz duchowego. Poeta stara się pokazać ową przedustawną harmonię tych dwóch przeciwstawnych światów, w których pełne piękno ukazuje ich wzajemna i daleko posunięta symbioza. Tam również on jako twórca i jego wiersze zyskują pełnię własnych tożsamości, które do końca nie można wyrazić, ale jedynie wczuć się w nie, podążają rytmem i rymami wiersza ewokującego kolejne obraz w wyobraźni. W wierszu pt. „Kantyczka o jabłonce” czujemy, widzimy ten świat, kiedy czytamy: (...)Jabłonka w polu stoi smutna,/pali się w górach krwawa jutrznia./Chrystus zgarbiony pod kapliczką/niesie na plecach naszą przyszłość.//(...)/I mróz co ścina nasze twarze,/kudłatą sierścią porośł marzec./Z nim rośnie kąkol i pszenica,/ostatni akord psiego życia”. Jasno więc widać, że Fronczek boleje za tamtym światem znanym mu z dzieciństwa, który na naszych oczach odchodzi bezpowrotnie. Ma w związku z tym głębokie poczucie winy względem przyrody, bo nie jest w stanie wykonać w stosunku do niej żadnego obowiązku typowo ludzkiego, a jedynie pozostaje mu jako poecie możliwość uchwycenia go w wierszu i ocalenia od zapomnienia. W „Kantyczce o chomacie” tako oto stawia tę sprawę: „Wół zapisany jest w pacierzu,/na jego karku dom nasz stoi./A blisko domu wieją wiatry/i koń zmęczony śpi na roli.(...)/ryba jest wolna tylko w rzece,/nikt jej nie zdoła przebić kijem./Chomaćto wisi w pustej sieni,/chłodzi się w studni zapach wódki./Na stół na krzyż i na pohybel/nóż jest Kaina zakrwa-

wiony,/ a wół i osioł, ryba święta/będą zabite z naszej dłoni”. Można się pokusić po lekturze tego tomiku o sformułowanie takiej oto tezy, że poeta z całą otwartością ukazuje nasz „faryzejski stosunek” do matki natury, naszej wielkiej ojczyzny, każdemu danej jako jego ojcowizna, który na dodatek szuka sobie usprawiedliwienia w ludzkiej kulturze i technologii, zapominając o swojej przyrodniczej genezie z tego „naturalnego królestwa”. Przyrodę samą natomiast widzi poeta jako część kosmicznego uniwersum, do którego prowadzą go od niej kolejne wiersze, za którymi skrywają się ogromne wyrzuty sumienia wynikające z nieporadności, ale i z przerażenia wynikającego z obserwacji, z jaką pychą oraz nonszalancją nasz gatunek rozbija swe bytowe podłoża, krok po kroku skazując siebie na „pieskie życie”. W „Kantyczce o rzeźni” zadedykowanej Tadeuszowi Śliwiakowi, który napisał kiedyś słynny poemat „Rzeźnia”, Fronczek daje jasno do zrozumienia, że ta „rzeźnia natury” musi prowadzić do wojny człowieka z człowiekiem, a w konsekwencji do upadku narodu, kultury, historii i etosu, bo wszystkie one tracą sens, gdy człowiek nie może powrócić do własnej naturalnej i mentalnej ojcowizny, by pozostać z nią w szczęśliwej symbiozie emocjonalnej.

Dla tego poety świat jest niewątpliwie „dziełem bożym”, a życie człowieka w jego wnętrzu właściwie sprowadza się do wędrówki i śledzenia Jego obecności w nieskończonych emanacjach stworzenia. Mowa tu będzie o poezji **Wojciecha Kudyby** zamieszczonej w tomiku **Gorce Pana**, w którym ujawniają się najbardziej charakterystyczne przymioty jego poezji. Polem penetracji i artystycznych uniesień

poety stał się tym razem Beskid Sądecki, Tatry i okolice oraz Gorce, które to miejsca często przemierza z plecakiem na plechotę i syce w ten sposób własną duszę, śledząc w przyrodzie, architekturze i mowie ludzi tu mieszkających owej „obecności Pana”. Udaje się mu w ten sposób wchodzić w metafizykę podgiebia piękna i harmonii tych okolic, spajających dusze ludzi z „duchem natury”. W jego kolejnych wierszach dynamika przemian przyrody, jej naturalny ruch powodowany przez wiatr i wody szemrzących potoków, wplatają się w wolę działania i emocje ludzkie, inspirowane ich inteligencją, wybory wartości, a całość oddaje „logikę serca” duchowości tego regionu Polski. Poeta trafnie postrzega, że rytmy życia mieszczą się tutaj między dwoma ekstremami, jak to ukazuje w wierszu pt. „Kowaniec”: „To, co nas przemienia – jasny potok, woda/W zielonych rynnach, w deszczach/Rubinowych rowach/(...)Nie daje spokoju/Ciągle się wierci, szumi/Na skraju ogrodu/Na wielkiej miedzy, w wysokich pokrzywach/Coś, co jest ciszą/Coś, co się odzywa”. Człowiek jest bowiem dla poety „maluczkim bytem”, wplątanym instynktem, emocjami, inteligencją w sieci wszechświata, w którym buduje drogę własnego życia, na której poszukuje jego pełnego sensu. Przy okazji odkrywa, że ten jego świat w bezpośrednim doświadczeniu jawi się jako świątynia, która może go poprowadzić do Kościoła, gdzie spotyka bratnią duchowość sobie podobnych wędrówców na ścieżkach życia. Wszędzie widać bowiem ślady boskiej doskonałości przyrody i znikomości człowieka i dlatego kraina ta jest dla ludzi swoistym miejscem „ciepłego schronienia”, które jawi się jako owo „domostwo bycia ludzi”. W wierszu pt. „Widok ze sta-

łówek do doliny ucichłej” poeta kreśli taki oto obraz: „Boże, jak tam cicho/Z drugiej strony góry/W nocy, w śnieżnej dolinie/Która nie ma miejsca/(...)Jak tam spokojnie/Wolno idą chmury/Ktoś je popycha kijem/Jak baranki/Pod lodem rzeka/Modli się za nami/Po niebie płyną złote ryby/Jak święci/Parami”. Świat Kułyby jawi się więc jako w całości przepełniony „logosem modlitwy” i sam z siebie w sposób nieskończony „wielbi Pana”, ale i łagodzi strach i lęki egzystencjalne człowieka. Staje się bowiem miejsce dla rozkwitu szczerzej przyjaźni i miłości wśród ludzi, dając im ową wszechmocną osłonę dobroci i piękna w ich istnieniu. Kudyba idzie jeszcze dalej, bo identyfikując się z żywiołami natury, stara się nimi modlić i wyznawać poprze nie wiarę, by przez nie i wraz z nimi wielbić bezinteresowną i wszechmocną „obecność Pana”. W tak wykreowanej wizji świata znoszone zostają odległości między Ziemią i Niebem, a bycie w swej pełnej duchowości może stać się budującą ekstazą, prowadzącą do wieczności, w której nie ma mowy o „końcu tego świata”.

Ramy owej poetyki sądeckiego poety są nie tylko struktury mitu żywego w tym regionie, ale i wizje biblijne, szczególnie nowotestamentowe, bo Dunajec staje się przysłowiowym Jordanem, którego przekroczenie prowadzi na szczyty Gorców, z których można w ciszy językiem natury porozmawiać z „samym Stwórcą”. W wierszu pt. „Dunajec” dowiadujemy się, że: „Tamtej nocy Dunajec był Jordanem/Szumiała jesień – w lasach pomieszane/Drzewa stały podobne do aniołów/Za nimi Ktoś, kto Bramą był Ogrodu/ Czekał w splecionych liściach, szeptał/Świecił niepewną iskrę huby, dreptał/(...)Niósł przez zieloną wodę, przez ogniska/Ostrożnie kładł na

srebrnych kopach siana/Poił pachnącym winem, opowiadał/Krzętał się – więc jedliśmy ryby z Panem/Na drugim końcu świat, nad Jordanem”. Łatwo więc zauważyć, że te wizje poetyckie autora „Gorców Pana” zapraszają do pewnej wspólnoty metafizyczno-religijnej, umożliwiającej postrzeganie tego skrawka Polski w kategoriach „biblijnego raj”, dającego wędrowcowi po tej krainie poczucie choćby namiastki wieczności.

Z własnego wyboru, na uboczu salonów literackich, tworzy poezję **Barbara Brandys**. Wydała już czwarty tomik wierszy, który zatytułowała *Odchodzenie do siebie*. W całym jej życiorysie literackim poezja służy jej do gry o najwyższą stawkę, jaką jest jej życie, które od lat wisi na przysłowiowym „włosku”. Pomagają jej w tym baczne i analityczne obserwacje świata przyrodniczego i ludzi, najczęściej tych najbliższych. Szczególną sympatią darzy krople deszczu, wiatr, słońce, ale i ciepłe słowa, dla których odnajduje wersy zamieniane w wiersze. Autorka zaprzyjaźni się z nimi na dobre i złe, bo sądzi, że przyjaźń ta przedłuży jej żywot, a może i przejdzie wraz z nimi do wieczności. Również i ptaki, te dzikie, ale i te mechaniczne, stanowią ważny element jej pejzażu poetyckiego. W wierszu bez tytułu pisze „Na niebie/dwa ptaki/ – ten pierwszy to helikopter/ – leci z chorym do szpitala/ten drugi jest czarny/ – też wyfrunął wysoko// czeka na dusze/które muszą odejść”. Kiedy zwraca się ku własnej pamięci, wtedy prócz rozmowy z nieżyjącymi już rodzicami, rozważa losy bohaterów naszej historii, np. porucznika Zygmunta Frygi czy ks. Stanisława Brzóska. Poszukuje często obecności bożej w żywiołach natury i historiach życia ludzi. Centrum jej świata po-

etyckiego mieści się w Dolinie Będkowskiej pod Krakowem, na dnie której kielkują wiele jej artystycznych zamysłów. W kolejnym wierszu bez tytułu pisze: „Dolina Będkowska/to cichy zakątek/całe lato mieszka w nim zieleń/wszędzie tylko zieleń i zieleń/ i jeszcze do tego/to kobaltowe Niebo/a wiatr ogarnia gałązki/przybliża drogę najwyższego//Bóg jest tutaj/rozgrzesza mnie/daje mi miłość – bym/mogła ją rozdać innym”. Podejmuje się również ciekawych studiów części ciała, pospolitych przedmiotów, np. nosa, rąk, nóg, ale i kosa wiklinowego, pralki, po babie lato i krzewiącej się wiosną oziminę. Trudno się więc dziwić Brandys, że tak wnikliwie umie odczytać głębokie myśli parujące z zagonu oranego pługiem przez ojca. Z wiersza pt. „Ręce” dowiadujemy się i tej prawdy, że: „Ręce nie umieją ukrywać starości/ – nawet wtedy/gdy do końca są posłuszne”.

W Poznaniu **Helena Gordziej** znów opublikowała nowy tomik poezji, w którym w poetyckim dyskursie stara się dociec źródeł tworzenia dzieł sztuki, a w tym i samej poezji. Tytuł tego zbioru jej wierszy ma charakter prawie chirurgicznej rozprawy, a mianowicie *Anatomia tworzenia*. Zostają w nim zdyskontowane własne doświadczenia artystyczne autorki oraz przyjaciół po piórze, ale i wnikliwie podgląda inspiracje twórcze wybitnych malarzy, rzeźbiarzy, kompozytorów oraz wykonawców muzyki, takich jak np. August Rodin czy Fryderyk Chopin. Sugeruje, że pasja twórcza i inspiracje leżące u jej podstawy są związane z pojawieniem się u artystów „głodu twórczego” połączonego z poszukiwaniem nowych wizji świata doświadczanego przez artystę. Głód ten opisuje metaforą ognia tłącego się w duszy artysty podsycanego „paliwem emocji”, który to

budzi głębokie tęsknoty za innym, a może „lepszym” światem. Innym źródłem tego twórczego pożaru w duszy artysty są: gniew na Stwórcę i jego doskonałe dzieło stworzenia, na inne genjusze twórcze oraz same twórcze siły natury, z którymi musi artysta konkurować. Potęgują one w nim egoizm oraz samolubstwo twórcze, by nie rzadko powodować to, że „sztuka kochania dzieła” nie idzie u twórców w parze ze „sztuką kochania drugiego człowieka”, choć dla obydwóch tych instynktownych aktów emocji impulsem do tworzenia jest poczucie głodu twórczego i jego sublimacja w poszukiwaniu perfekcyjnych stron świata i bytowania w nim człowieka. W utworze tytułowym „Anatomia tworzenia” tak eksponuje owo doświadczenie twórcze: „(...) Chirurgia tworzenia powoduje byt/amputuje albo wyolbrzymia/zwyrodniałe kształty/przywabia apokaliptyczne wizje/w kolorze popiołów//Osad niespełnień podobny rdzy/przeżera wiecznie głodne wnętrza twórcy”. Zaś w utworze „Poeci” tak oto oddaje istotę ich zabiegów artystycznych oraz coraz bardziej powszechny sposób ich postrzegania przez społeczeństwo: „Podobni ptactwu/przegani z gałęzi/na gałąź życia/ukryci za spróchniałą wierzba/albo wiklinowym płótem marzeń/bacznie obserwują świat/Nie oczekują nagród/interesuje ich pole Pana/usłane cieniami pamięci/Poeci rzadko bywają świętymi/bunt w nich/niezgoda na świat/prowokuje do walki/(...)Wielokrotnie burzyli mur/obłudy/kłamstwa i pychy/Budowali domy z cegieł metafor/Bezskutecznie/Współcześni nie szukają piękna/(...)/a poeci to ich zdaniem/świry”. Podobnie jak we wcześniejszych swych książkach, Gordziej z pasją podziwiała życie, piękno i rozumność natury, przypomina szacunek

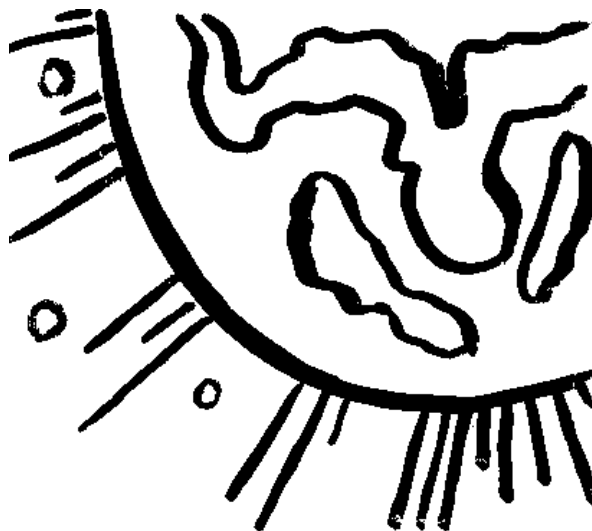
dla chleba i drugiego człowieka, systematycznie tropi cywilizację konsumpcji i piętnuje ją, ale i ze zrozumieniem opisuje swoją drogę życia nieuchronnie prowadzącą ku śmierci. We wszystkich tych utworach jej milczącym bohaterem staje się również „ego artystyczne” obserwowane z osobistej perspektywy, mające dualny charakter, czyli z jednej strony żywi ono biologiczny egoizm nieustannie popadający w konflikt ze społeczną wrażliwością i altruizmem napierającymi z jego drugiej strony. By jednak życie człowieka było różne od życia „przysłowiowego psa”, poetka sądzi, że konieczne jest przekraczanie wszelkich instynktownych zachowań ludzi i transcendowanie ku nowym wymiarom świata, które te ograniczenia przekraczają i nie pozwalają samotności zawładnąć do końca nad nimi, zarówno w życiu między ludzki, ale i w poszukiwaniu życia w kosmosie.

Cóż – chyba stosunkowo łatwo w kontekście powyższych prezentacji przekonać się, którzy z autorów preferują moduły przyrodnicze lub społeczne podczas kształtowania się ich zamysłów artystycznych,

choć niewątpliwie żaden z nich nie jest w stanie się do końca od obydwóch wyzwolić, a raczej z lepszym lub gorszym skutkiem dąży do ich zrównoważenia. Najlepiej to rozstrzygnąć, kiedy weźmie się dany tomik do ręki i zanurzy w nim swoje emocje oraz porówna je z emocjami autora. □

Ignacy S. Fiut – krytyk, poeta, prof. filozofii w AGH, autor wielu prac z zakresu filozofii i myśli społecznej

B. Brandys, *Odchodzimy do siebie*, Oficyna Konfraterni Poetów, Kraków 2007, ss. 56, B. Dziekańska, *Zapiski na dłoni. Wybór wierszy (1982-2008)*, Stowarzyszenie Kulturalne „Filmowy Chorzów”, Chorzów 2008, ss. 170, J. S. Fronczek, *Kantyczki polskie*, „Eksplorator”, Kraków 2007, ss. 60, H. Gordziej, *Anatomia tworzenia*, ZLP – Seria Wydawnicza LIBRA, Poznań 2009, ss. 54, A. Jasicki, *Teczka zielonego (22 dowody współpracy)*, Wydawnictwo @leksander, Kraków 2008, ss. 56, I. Kaczmarczyk, *Wzejdą wiosną. Wiersze z lat 2001-2007*, Dom Wydawnictw Naukowych, Kraków 2008, ss. 64, W. Kudyba, *Gorce Pana*, Towarzystwo Przyjaciół Sopotu, Biblioteka „Toposu”, T. 36, Sopot 2007, ss. 40, R. „Sidor” Sidorkiewicz, *Poezje wybrane*, Wydawnictwo e-media, Częstochowa 2008, ss. 140, R. Wysogład, *Na granicy do niczego (wiersze z lat 1969-2007)*, Wydawca Firma NEON, Olkusz 2008, ss. 60.



Manifest nowoczesnego ateizmu i pochrześcijańskiej laicyzacji

„Prawdziwej wartości człowieka nie określa posiadanie, domniemane czy prawdziwe, Prawdy, lecz raczej szczery trud, by do tej prawdy dotrzeć.”

(Gotthold Lessing)

Na przestrzeni ostatnich lat na polskim rynku wydawniczym pojawiło się kilka głównie anglosaskich pozycji książkowych podejmujących krytyczne rozważania nad istotą religii. Wskazać zwłaszcza należy na prace Richarda Dawkinsa – *Bóg urojony* czy Christophera Hitchensa – *bóg nie jest wielki*. Do kręgu tej literatury zaliczyć także należy i omawianą poniżej rozprawę. Jednakże jej Autor prezentuje nieco różny, od wzmiankowanych powyżej badaczy, punkt widzenia omawianej kwestii.

Najogólniej można przyjąć względnie odrzucić zaproponowane w tytule określenie charakteru prezentowanej pracy tym razem już francuskiego myśliciela – założyciela Université Populaire de Caen, a także autora ponad trzydziestu książek. Warto wszakże przy tym zwrócić uwagę na fakt, iż dana pozycja swoją treścią zainspirowała bardzo burzliwą dyskusję we Francji. Można zatem mieć również nadzieję, iż podobnie żywe zainteresowanie wzbudzi w kręgach polskich czytelników. We wstępie do polskiego wydania Mateusz Kwaterko pisze: „Onfray twierdzi, że żyjemy między dwoma światami: religijnym, który już umarł, a poreligijnym, który dopiero zaczyna się kształtować. Być może *Traktat ateologiczny* jak również dzieła anglosaskich ateistów –

Richarda Dawkinsa, Daniela Dennetta czy Sama Harrisa – stanowią coś więcej niż reakcją na rosnącą falę fundamentalizmu religijnego – chrześcijańskiego, żydowskiego czy muzułmańskiego. Być może integralizm jest tylko ostatnim spazmem religii, a popularność dzieł wspomnianych myślicieli stanowi zapowiedź poreligijnego jutra: zwycięstwa racjonalizmu, sceptycyzmu i pogodnego hedonizmu. Jeśli ta zapowiedź się spełni, Michel Onfray okaże się jednym z pierwszych kartografów tego nowego ateologicznego świata” (s. 13). Czy tak jednak stanie się? Odpowiedź na dane pytanie przynieść może jedynie bardziej bądź mniej odległa przyszłość!

Omawiana praca składa się ze: *Wstępu* M. Kwaterki pt. *Michel Onfray – kartograf „civitas ludzi”* (s. 5-13), *Przedmowy* (s. 17-22); *Wprowadzenia* (s. 23-30); jak również czterech tematycznych części: *Ateologia* (s. 31-78), *Monoteizmy* (s. 79-122), *Chrześcijaństwo* (s. 123-158) i *Teokracja* (s. 159-218) oraz problemowo przedstawionej *Bibliografii* (s. 219-243)

Przedmowa zawiera stosunkowo zwięzłą refleksję nad istotą i sensem wiary w wyobrażenia bóstw prezentowanych na stronicach *Ksiąg świętych* oraz w wywodach teologów różnych religii, które wszak łączy wspólna idea „ukrzyżowania życia i celebracji nico-

ści”. Swoje refleksje kończy Autor stwierdzeniem: W tworzeniu zaświatów nie byłoby nic groźnego, gdyby nie pociągało to za sobą najwyższej ceny: zapomnienia o rzeczywistości, lekceważenia jedyne realnego świata. Wiara prowadzi do poróżnienia człowieka z immanencją a więc z nim samym, ateizm godzi go z ziemią, synonimem życia (s. 22). Mamy tu więc w pewnym sensie jakby zakodowany punkt wyjścia do zagadnień naszkicowanych z kolei we *Wprowadzeniu*. Stanowi ono bowiem skrótowy szkic oświeceniowego odwołania się do rozumu i refleksji filozoficznej w przedmiocie kantowskich trzech filarów każdej religii: wiary w Boga, nieśmiertelności duszy ludzkiej oraz wolnej woli człowieka.

W części pierwszej czyli *Ateologii* podejmuje Autor omówienie trzech kręgów zagadnień, sformułowanych jako: *Odyseja wolnej myśli*, *Ateizm jako rozbrat z nihilizmem* oraz *W stronę ateologii*. Naszkicowana w ich treści została droga rozwoju krytycznego myślenia ludzkiego przebiegająca od nitzscheańskiej wizji „śmierci Boga” aż do ponowoczesnego ateizmu doby współczesnej. Zasadniczy sens i istota owego myślenia zawarta została w ateologii nakreślającej sobie do zrealizowania trzy podstawowe zadania: dekonstrukcję trzech monoteizmów (judaizmu, chrześcijaństwa i islamu), dekonstrukcję chrześcijaństwa oraz dekonstrukcję teokracji. „Ich spełnienie – jak głosi Onfray – może się przyczynić do narodzin moralności pochrześcijańskiej (czyli szerzej: poreligijnej), w której ciało przestanie być traktowane jak kara, ziemia jak padół łez, życie jak dopust Boży, przyjemność jak grzech, kobiety jak przekleństwo, rozum jak pycha, rozkosz jak klątwa” (s. 78). Z kolei względnie szczegółową prezentację wskazanych założeń rekonstrukcji naszkicował Autor w poszczególnych kolejnych częściach swojej pracy. Natomiast

swoistą syntezę zaprezentowanych w nich rozważań następująco zrekapitulował w końcowych słowach: „W chwili gdy wartości Oświecenia ustępują pod naporem myślenia magicznego, trzeba się opowiedzieć za laickością pochrześcijańską to znaczy ateistyczną zaangażowaną i nie godzącą się na wybór między zachodnim judeochrześcijaństwem a islamem (...) W obronie przed cudacznymi teologiami najbardziej pomocni będą ci myśliciele, których lekceważy oficjalna historia filozofii: szydercy, materialści, radykałowie, cynicy, hedoniści, ateści, sensualiści, pietycy rozkoszy. Mogą nas oni bowiem nauczyć, że istnieje tylko jeden świat. Wywyższając fikcyjne zaświaty, ponizamy świat autentyczny, a więc ten, w którym moglibyśmy żyć szczęśliwie. Oto grzech prawdziwie śmiertelny...” (s. 218). Jest to grzech ślepej wiary popełniany z przekonania o przynależności do wspólnoty ludzkiej będącej depozytariuszami „jedyną prawdziwą Prawdą”. □

Michela Onfray: *Traktat ateologiczny. Fizyka metafizyki* (PIW, seria Biblioteka Myśli Współczesnej, Warszawa 2008, ss. 242+2nlb).

Dr Leonard Pełka – etnograf, religioznawca, działacz TKŚ.



DITHA BRICKWELL

Europa w dobie kryzysu

Szukacie duszy Europy, powinniście wiedzieć, po co to wam jest potrzebne? Powiadacie, że solidarność ludzi powinna tę duszę stworzyć, że powinna być dla niej ważniejsza, aniżeli tereny na których żyją. Zgoda, ale w takim wypadku dokąd poprowadzi ich wierność tej duszy? Twierdzi się, że europejskie wpływy oraz jej siła powinny się przerodzić w rzemieślniczy instrument pokoju, w coś, co powinno spacyfikować ludzki niepokój. Zgadzam się z tym. Rzemiosło przysłużyło się Europie i pozwoliło na to żeby nią kierować. W czasie mojego krótkiego życia to rzemiosło wygładziło wiele konfliktów, a tych było dosyć, mianowicie nie tylko między geograficznie określonymi krainami, ale także między mniejszościami narodowymi, między różnymi religiami – w kraju Basków, w południowej Irlandii i w Belgii, gdzie konflikty wciąż żarzą się na małym płomieniu. Prawdę mówiąc nie wiemy co nam przyniesie rozszerzenie Europy na dwadzieścia siedem narodowości i jakie zarzewie problemów tu się jeszcze może okazać. Mówiąc o tym nie wspominam przecież o tak gigantycznie mocnych faktorach niepokoju jak te, które dokonują się po za granicami Unii Europejskiej na niekończących się stepach, pustyniach i morzach. A przecież jeszcze trzeba by powiedzieć parę słów – przydałaby się tutaj dłuższe momenty milczenia, aby w spokoju i w kontemplacji pomyśleć o wszelakich konsekwencjach jakie niebezpieczeństwa grożą ze strony wojen ekonomicznych i ze strony konsumentów których życzeń i oczekiwań nie sposób już dzisiaj formułować.

Nie można stracić z oczu jednego, zjednoczona Europa jest choćby dlatego obiektywną koniecznością, aby bronić jej przed zewnętrznymi niebezpieczeństwami i różnymi agresjami. Europa przyjęła cesarstwo Rzymskie jako mityczną bazę dla swoich kodeksów prawnych. Okazuje się, że jest to kontynent z greckimi korzeniami i żydowskimi wpływami. Cezar, Augustus, Rzymianie, ich siła polegała na organizacji informacji i dokładnie wyznaczonych linii politycznych wpływów opierających się na technice skonstruowanej i zcentralizowanej w Rzymie. Wzorowa administracja stanowiła ważny warunek struktur politycznych ze szczególnym uwzględnieniem umiejętności traktowania sąsiadów po za granicami Imperium

Rzymskiego. Na podstawie zasady „uter possedes” czyli co jest najlepsze po obu stronach, próbujemy scalić w jedność – pomieszały się zasady prawodawstwa ze spontanicznymi młodzieńczymi talentami przeciwników z tamtej strony granicy. Jakoś przecież trzeba było żyć, jakoś się organizować, a więc znaleźć jakieś „modus viventi”. Pod płaszczykiem mitów stosowano praktyczne zarządzanie. To stosował książę Ferdynand von Habsburg, a także hrabia Coudenhove, a także ich uczniowie Adenauer, Gaspari, Schuman, którzy zasadę wspólnoty jak na przykład Benelux stawiali wyżej, aniżeli partykularne interesy. Tak powstały załączki późniejszej wspólnej Europy – zaczęło się od związków gospodarczych, a kończy się na politycznych porozumieniach.

Ideą tych ludzi była jedność różnic ale Gaspari i jego grupa znali swoje walory. Wiedzieli, że zawsze ktoś się znajdzie, kto będzie działał przeciw porozumieniu. Łatwo przecież odgrzebać stare konflikty, dostosować je do nowych status quo, a później powiedzieć, że nowy porządek polegający na porozumieniu to humbug. Co zrobili więc, żeby przeciwstawić się normą porządkowym? Ustalili nowe administracyjne i porządkujące mechanizmy, które miały się odbywać jak wojny. Tu mieli się Francuzi i Niemcy zgodzić na wspólne korzenie i stworzyć blok przeciwko powstającym na południu i północy nowym ugrupowaniom. Zamiast produkcji nowych armat dla generałów powolutku ustalali nowe gremia, nowe ruchy pieniędzy, nowe powstające w pocie czoła porozumienia, aby jednak Europa funkcjonowała. W tej tendencji o porozumienia za wszelką cenę o wspólne wektory pieniężne, linie granic i wysokość budżetów stracono z oczu duszę europejskiego znaczenia. Naturalnie, że siłą i to siłą nie znającą wyjątków da się utrzymać pewną równowagę w Europie, ale czy pozwolą one na to aby przeciwstawić się nie zmierzanie ciężkim problemom jakie nadciągają nad Wisłę, Odrę, Dunaj, Ren, Sekwanę i Tamizę.

Jeżeli Europa chce przeżyć i stać się czymś co w nowoczesnym świecie będzie odgrywało dużą rolę musi odciąć się od katastrof przyszłego okresu i skoncentrować się na tym żeby stworzyć faktor, który pod każdym względem wojskowym, ekonomicznym i społecznym będzie działał jak opoka. Oczywiście psychoanalicy żądają, aby niepewność w tworzeniu tej nowej Europy stała się czymś jakby pozytywną charakterystyką tego kontynentu. Co właściwie dzieje się, że proces umacniania się Unii Europejskiej przebiega z coraz to nowymi przeszkodami? Fenomenem z jakim musi się ten kontynent spotkać, to kwestie o których pisał Popper opisując

cechy wolnego społeczeństwa. Kontynent ten przemienia się z hybrydy administracyjnej w taki twór, który każdemu swemu obywatelowi stwarza perspektywę szczęścia, które naciąga i które może być przez kierownictwo tego kontynentu przyspieszone. Problem w tym, że wszystko jest płynne i że cele, które wczoraj wydawały się Nirwaną, dziś są już nieaktualne, ustępując miejsca innym, nowym programom. Kto wczoraj jeszcze myślał o tym, że centralnym problemem kontynentu stanie się kryzys bankowo produkcyjny i że nagle pieniądz stanie się kwestią z którą musi się konfrontować każdy Europejczyk. To jest jednak największy plus Unii Europejskiej, że nic nie jest skostniałe i że wszystko jest płynne tak jak życie, a jednak w tym fenomenie zawarte są niebezpieczeństwa. Europejczyk konfrontowany z permanentnymi zmianami przechodzi proces zwątpienia w samego siebie i w swoją przyszłość. Dimitre, znany architekt i trzeba się z tym liczyć o czym właśnie mówi, że genetyczna budowa człowieka warunkuje jego oczekiwania. Potrzebuje on ojczyzny, jasnych granic w obrębie których może się poruszać, przestrzeń którą może uznać za swoją. Permanentne przemieszczanie się z miejsca na miejsce nie stanowi celu nowoczesnego człowieka. Czy tak zwane organizacje stabilizujące życie człowieka poprzez wręczenie mu karty kredytowej, V stanowiącej z jednej strony dowód zaufania, a z drugiej integrującej go w stabilizację kontynentu nie jest czynnikiem umacniania Europy? Zakup nieruchomości, środków lokomocji, dzieł sztuki, wszystko to wymaga długo planowości i stabilności. Tego właśnie obywatel europejski oczekuje od Europy i wierząc, że będzie się mógł o nią oprzeć, popiera ją i wybacza te chwilowe rozczarowania, które rosnący kolos musi sam przezwyciężyć, aby mocno stanąć na nogach. □

Ameryka w dobie kryzysu, w oglądzie szarego Polonusa

Znam się na ekonomii niby przysłowiowy pies na gwiazdach, a w samej rzeczy, chyba jeszcze mniej! Kiedy ze trzy lata temu prasa przebąkiwała o nadchodzącym kryzysie, mruczałem do siebie ze świszczącą złością – „ano, tak tak, przecież to, co się wydaje na ‘iracką krucjatę’ wkrótce już opróżni kieszeń Wuja Sama!”

Rację miałem jeno częściową. Ot, taki ze mnie „statysta”. Okazało się bowiem, że to ten cały cyrk z pożyczkami na nieruchomości – połączony ze sztucznie wywołaną koniunkturą na kupowanie domów – przytopił raj gospodarczy Stanów Zjednoczonych. Przynajmniej – nam prostaczkom – tak tłumaczy się przyczyny kryzysu. Nawet „mój prezydent”, Barack Obama, nie próbuje tego prostować, nie bije w pawiana z Teksasu za jego niemoralną, krwawą i idiotyczną, bo zawrotnie drogą eskapadę, tylko walczy w Kongresie o wielomiliardowe zastrzyki dla banków i koncernów samochodowych, jakby chciał udowodnić, że z pieniężnymi zasobami USA nie jest jeszcze całkiem źle i rząd federalny stać na wyciąganie ręki do kombinatorów, oszustów i złodziei. W tym, na łez otarcie, rzuci się jaki ochłap *middle*-klasie podatników, ale główni winowajcy, bandyci od wojny, i ci drudzy, od pożyczek bez pokrycia, unikną siniaków na sempiternie! Amerykański kult mamony, to nie tylko powszechny pościg za dolarem, to również – dla mnie niepojęty – szacunek dla zasobnych łajdaków. Taki np. megaoszust, Bernie Madoff, co to zdefraudował 50 miliardów cudzej forsy (!),

dzięki „widzimisię” sędziego oczekuje na rozprawę w swoim luksusowym *penthouse* na Manhattanie!

Na szczęście Ameryka w dobie kryzysu nie popada jeszcze w całkowitą panikę. Wprawdzie w moim grajdołku kasynowym, wyrzucono już na twarz kilkanaście tysięcy ludzi, ale Amerykanie przywykli są do bezwzględnych ruchów na szachownicy kapitalizmu i nie zrewoltują się przeciw jego porządkom, a same domy gry jeszcze nie zamkną swych podwoi. Ludzi pragnących bulgotu adrenaliny przybywa do Atlantic City nieco mniej, lecz ciągle podwozi się dość licznych straceńców, a ci dalej się hazardują! Przeciętny Amerykanin „nosi w tornistrze buławę... milionera” i wierzy, że to właśnie jemu szczęście zagładnie w oczy, i że to on zostanie następnym krezusem, czy w kasynie, czy w biznesie, niechby kosztem najbliższych przyjaciół i kolegów. Ot, taki superindywidualizm szcurzej jednostki w szcurzym wyścigu.

W „Przełądzie Polskim”, nowojorskiego „Nowego Dziennika”, wpadam na artykuł Marii Szonert „Quo vadis America?”* Już pierwsze zdanie skupia na sobie moją uwagę

i nie potrafię powstrzymać się, by go nie zacytować:

U progu drugiego milenium Stany Zjednoczone tryumfalnie spoglądały na szczątki sowieckiego imperium, miały za sobą zwycięską wojnę w Zatoce Perskiej i odgrywały rolę niepodważalnego supermocarstwa.

No, pięknie – mówię sobie – to wszystko jest jakąś prawdą. Wprawdzie zaczęło się od Reaganowskich ćwiczeń z potęgą militarną karaibskiej Grenady, ale bluff Ronia o „wojnach gwiazdnych” – w pokerze z Gorbaczowem – to był podobno strzał w dziesiątkę! I co dalej?

Pisze pani Szonert:

W historii świata od czasów imperium rzymskiego nie powstało mocarstwo o tak miażdżącej przewadze militarnej, ideologicznej i ekonomicznej, jakim w końcu XX wieku w stosunku do pozostałych krajów były Stany Zjednoczone. Dlaczego więc w ciągu niespełna dekady to potężne mocarstwo stało w obliczu klęski ekonomicznej i ideologicznej oraz dotkliwych niepowodzeń militarnych?

Z dalszego tekstu artykułu dowiaduję się, że autorka omawia książkę Davida Ignatiusa, prowadzącego wywiad-rzekę ze Zbigniewem Brzezińskim i Brentem Scowcroftem zatytułowaną „America and the World; Conversations on the Future of American Foreign Policy (Basic Books, 2008)”**. Choć Brzeziński jest demokratą, a Scowcroft republikaninem ich sądy są zaskakująco zbieżne!

Pozycja supermocarstwa zrodziła przekonanie o wyższości rozwiązań amerykańskich i wykreowała postawę arogancji w stosunku do reszty świata. W efekcie administracja Busha juniora dostała ogromną władzę do ręki, ale według Scowcrofta nie była przygotowana na to, aby właściwie tę władzę wykorzystać na rzecz społeczności międzynarodowej (...)

i dalej:

Atak terrorystyczny z 11 września 2001 r. był dramatycznym punktem zwrotnym w dziejach USA. Według Brzezińskiego w efekcie tego ata-

ku atmosfera narodowej histerii, w jakiej znalazła się Ameryka, umożliwiła wdrożenie decyzji politycznych, które doprowadziły do demoralizacji i obecnej zapaści. (...) Reakcja na atak miała charakter arogancki. Inwazja na Irak była początkiem szerszej strategii przebudowy całego Bliskiego Wschodu. Brzeziński uważa jednak, iż ta wizja przebudowy świata arabskiego była historycznie niemożliwa do osiągnięcia (...) Ameryka zastosowała tzw. kulturowy imperializm. Tymczasem polityka imperialistyczna nie ma szans powodzenia we współczesnym świecie. (...) Podobnie jest z Izraelem, który ma zwyczaj używać nieproporcjonalnej siły, zauważa Scowcroft...

Mimo że wszystkie te stwierdzenia uważam za mało odkrywcze, dobrze się stało, iż zostały wyrżnięte wedle zasady „kawa na ławę”. Szkoda tylko, że mówiąc o „demoralizacji i obecnej zapaści” rozmówcy Ignatiusa nie próbują rozpatrzeć przypuszczalnego związku między fatalną decyzją polityczną Busha, a ekonomiczną klęską Stanów. Zaryzykuję – bo przecież nie czytałem *America and the World* – że w rezultacie maluje się to wszystko jak jakieś złe fatum, albo inaczej, zbieg fatalnych okoliczności i zakrawa mi na abrakadabrę, mało, sugeruje odgórną, transcendentną karę „za złe prowadzenie się”. Fantastyczna woda na młyn dla chrześcijańskich fundamentalistów, nie wspominając o islamskich!

Biedny Obama! Głosując na niego ścisłałem kciuki i tak bardzo chciałem, by swą kampanię uwieńczył sukcesem. Ślepawy dotąd, dostrzegam teraz, że ten inteligentny, energiczny człowiek staje przed Everestem trudności! Jeśli popełni jakieś błędy, jeśli coś mu się nie uda spadnie na niego ludzkie odium, gniew i rozczarowanie. A niechby to bohater awantury wietnamskiej i jego śliczna kretynka trykali razem łebkami w mur! Ale cóż, jest jak jest, a zobaczymy czy będzie inaczej i czy będzie lepiej.

Zresztą to wszystko, co widać okiem zwykłego śmiertelnika, nie jest aż tak prze-

rażające. Benzyna trzyma się w granicach 1,50-1,70 dolara za galon (3,78 litra); ceny nieruchomości zleciały o ok. 20% – lecz i tak nikt nie ryzykuje kupna (choć podsyłają nam listy z setkami domów utraconych na rzecz banków), bo z kredytami gorzej niż kiepsko!; w supermarketach ceny ostro skoczyły w górę – ha, ludzie bez jedzonka nie wydoła; no ale w takich department stores, czyli w magazynach z odzieżą, butami czy kosmetykami istne eldorado. Przeny sięgają 50-75%! (Ach, żeby polscy biznesmeni nauczyli się tak sprytnie handlować, ale oni wolą nie sprzedać, niż mieliby zjechać z ceną. Przy tej okazji powiadam im, że z takim podejściem poszliby w Stanach z torbami!).

I to właściwie byłoby już wszystko, gdybym nie dostawał „spod drzewka” kapitalnego czasopisma amerykańskich humanistów-racjonalistów „Free Inquiry” (co, na żywcia, możnaby przetłumaczyć jako „wolne pytanie”, ale przez zabawną wieloznaczność „wolnego” prądiwy sens miałoby raczej „Swobodne Kwestionowanie”). Otóż w znakomitym tym dwumiesięczniku – do którego pisują takie tuzy, jak Dawkins czy Hitchens – znalazłem polemikę amerykańskiego statystyka, Gregory S. Paula, ze znanym „przesądem”... większości ateuszy, iż „wiara i religia wydają się być integralną częścią ludzkiej natury i spotyka się je we wszystkich kulturach”***. Sprzeciwiając się tej tezie, Paul rozwija w odpowiedzi teorię socjologów-ekonomistów powiadając, że, poza rzekomą „anomalią Stanów Zjednoczonych”, wszystkie kraje rozwinięte maszerują w stronę absolutnej sekularyzacji, a jedynymi bastionami wiary pozostają państwa gospodarczo niewydajne. By jednak rozpracować „anomalię amerykańską” (przecież to najbogobojniejsze, a niby najbogatsze społeczeństwo świata!) zwraca uwagę –

co pod piórem Amerykanina zda się być czystym bluźnierstwem – że

„(...) 'chrześcijańska Ameryka', tak na prawdę, plasuje się jako najbardziej dysfunkcyjny naród rozwiniętego świata. W niektórych indeksach Stany Zjednoczone zyskują tak niskie punkty, że ich status jako narodu świata rozwiniętego musi być oceniony jako tymczasowy. (...) W większości krajów 'pierwszego świata' trudno jest utracić status klasy średniej – żaden zachodni Europejczyk czy Australijczyk nie bankrutuje przez niewypłacalność rachunków medycznych. (...) Możemy stwierdzić z pewnym przekonaniem, iż Stany Zjednoczone są anomalią religijną ponieważ ich system socjoekonomiczny jest odpowiednio nienormalny i patologiczny, kontrastujący z normami 'pierwszego świata'. Obywatele cieszą się tu znacznie mniejszym poziomem rządowej pomocy i ochrony. Większość członków klasy średniej staje w obliczu prawdziwego ryzyka ruiny osobistej i finansowej, jeśli traci niegwarantowaną pracę lub prywatny plan ubezpieczeń zdrowotnych. Indywidualne bankrupcje liczy się w milionach każdego roku, większość z nich dotyczy nieubezpieczonych wydatków medycznych.”

Stąd wywodzi się

„niezwykle wysoki poziom zabójstw, uwięzień, śmiertelności młodych i starszych, sztucznych poronień (często sygnalizujących niestosowanie antykoncepcji), chorób przenoszonych drogą płciową, cięż wśród nastolatków, wreszcie rozwodów...”

Czeka nas więc w tej całej biedzie wzmożenie wiary i religijności, bo, jak konkluduje Paul: „Wysoki stopień religijności narodu jest w większości symptomem dysfunkcyjnych okoliczności społeczno-gospodarczych”. I oczywiście, odwrotnie. Mało to pocieszające w tym cholernym kryzysie. Uf! □

*) Przegląd Polski, tygodniowy dodatek kulturalny Nowego Dziennika, 6 lutego 2009, s.10.

**) Tł.: „Ameryka i świat; rozmowy wokół przyszłości amerykańskiej polityki zagranicznej”

***) Free Inquiry, grudzień 2008/styczeń 2009, ss. 24-36.

Limity ludzkiej rozpoznawalności, czyli parę impresji na tematy mniej lub bardziej „tabu”

Historia człowieka pełna jest najrozmaitszych przepowiedni - wiele z nich przewiduje koniec świata. Pojęcie apokalipsy, wyrażając m.in. koniec świata, towarzyszy myśli ludzkiej od *zarania* dziejów – łatwo fascynuje nas jakiś Nostredamus albo jakiś inny „prorok”. Często owi prorocy powołują się na boskie „zwidy”, jeszcze częściej na tajemnicze obliczenia, z których „niezbicie” wynika, że kula ziemską rozpadnie się w krotce na atomy. Wspomniany Michael de Nostredamus sformułował dziewięćset przepowiedni - wszystkie katastroficzne. Wynikało z nich że z końcem 1999 roku nastąpi kres ziemi. Znaleźli się wtedy nawet tacy, którzy w to uwierzyli i przygotowali się usilnie na nadciągające unicestwienie. Parę tygodni przed tą zapowiedzianą apokalipsą, mianowicie 11 sierpnia 1999, Saturn w gwiazdozbiornie Byka, znalazł się na prostej linii z Marsem, planetą w gwiazdozbiornie Skorpiona, a Uran w gwiazdozbiornie Wodnika znalazł się naprzeciw słońcu i księżycowi, przy czym obie powstałe w ten sposób osie przecięły się pod kątem 90 stopni, tworząc Wielki Krzyż Planet. Ten układ ciał niebieskich miał rzekomo spowodować koniec świata.

Nie da się wykluczyć, że autorzy tych przepowiedni to zwykli kuglarze, trywialni awanturnicy. Sprzyja im fakt, że od kiedy człowiek zaczął myśleć i wytworzył w sobie zdolność przewidywania przyszłości, niepokoi go akt stworzenia świata. Jak to się stało, że na kuli ziemskiej pojawił się człowiek? Czy to był akt Boga? Jeżeli tak się wydarzyło, to ów Bóg (nie określamy Go tu jako Boga katolików muzułmanów, sekty Zaratusztry, Żydów czy jeszcze innych wyznań...) obrazi się pewnego dnia na stworzonych przez siebie ludzi i wtedy „zetrze” ich z ziemi jak robactwo, a może przy tej okazji zniszczy i samą ziemię. Taka spekulacja sprzyja aktowi definiowania najrozmaitszych prorocstw. Trzeba z drugiej strony przyznać, że studiowanie osiągnięć

współczesnej astronomii z całą pewnością oszałamia. Miliardy systemów gwiazdnych, nieograniczona ilość Dróg Mlecznych, zderzenie jednej gwiazdy przed drugą, galopujący wszechświat, który pulsując się rozszerza (dokąd właściwie?), jakieś „czarne dziury”, które wszystko wokół siebie połykają, kompletny chaos, brak sensu w ich powstawaniu i unicestwianiu. Trzeba przed astronomami chylić czoła, choćby dlatego, że konfrontowani z tymi ustaleniami, nie tracą zmysłów.

Systemy religijne stoją w obliczu tych odkryć nauki na przerażającym rozdrożu: albo rzesze ich zwolenników rozrosną się, skonfrontowane z własną nicością, do nieoczekiwanych rozmiarów, albo powoli utracą wszystkich swych wyznawców, jeśli ci zdadzą

sobie sprawę z szaleństwa, które dzieje się wokół naszej ziemskiej skorupki. Mądrzejsi z tych „wątpiących” stawiają sobie nawet pytania bałwochwalcze: ile jest rajów w tak zwanym niebie? Jeden dla chrześcijan, jeden dla muzułmanów, jeden dla Żydów, jeden dla Buddystów, jeden dla Taoistów, jeden dla wyznawców Zaratustry? Jak te raje zostały oznaczone, aby ich przyszły lokator trafił na właściwe miejsce? Co się stanie, jeśli Żyd trafi do muzułmańskiego nieba? I jeszcze jedno: jeśli istnieją rozmaici bogowie, to gdzie oni rezydują i czy się gdzieś tam, na wysokości, nie zwalczają? Czy nie zależy im na laurce oznaczającej, że „tylko on jest najważniejszy?”

Człowiek został przez naturę wyposażony w przedziwny mechanizm: wciąż mu się wydaje, że jeśli nastąpi nowy potop to on, właśnie on, jednak się uratuje. Jeśli dojdzie do katastrofy atomowej, te pewnie wszyscy sąsiedzi zginą, ale on przeżyje. To jest wynik instynktu samozachowawczego, bez którego nie dałoby się przeżyć, bo umysł przewidujący przyszłość, gdyby nie ów przedziwny optymizm, zajmowałby się tylko przygotowaniami do nagłej śmierci.

Dziś każde dziecko z drugiej klasy szkoły powszechnej wie już, że za dwa i pół miliarda lat słońce pożre ziemię. Zgoda, to jest dość odległa data, ale *memento mori* zostało wypowiedziane. W pewnym momencie wszystko się skończy. Finisz wcale nie sprzyjający umacnianiu swej pozycji w kosmosie i wcale nie mobilizujący do budowania piramid, jak to czynili Faraoni. Może w obliczu tego aksjomatu różni kuglarze próbują ubić swój interes? To by była jedna z możliwości zatrudniania się przez nich takimi wierutnymi bzdurami, jakimi jest prorokowanie przyszłości.

O ograniczoności poznawcze człowieka – nie ma co ukrywać, nie jesteśmy bogami,

więc nie eksponujemy wiedzę nieograniczoną – świadczy między innymi fakt, że 90 procent materii w otaczającym nas kosmosie nie potrafimy zidentyfikować. Nie wiemy nic o jej charakterze. Kto zapoznaje się ze zdjęciami satelitów okrążających ziemię, albo przekazywanych nam poprzez teleskop Hubble – cóż to jednak za geniusz, ów człowiek, że tego dokonał – osiadłych na Marsie lub na księżycu, albo okrążających Saturn – musi zareagować przerażeniem, bo przekazują nam one zjawiska, które przerastają naszą wyobraźnię. Płomienie, ognie, gazy o niewyobrażalnej temperaturze, jakieś nagromadzenie ciał niebieskich, których liczba przekracza znane nam wartości „n” do setnej potęgi – rzekomo jakieś twory kosmiczne, na których występuje dziesięć lub nawet więcej wymiarów, podczas gdy my ledwo dajemy sobie z trzema radę.

Mnóstwo jakiś dziwnych komet, czyli ciał kosmicznych, krążących wokół słońca po elipsach lub hiperbolicznych orbitach. Dlaczego Syriusz świeci najjaśniej na północnym skłonie nieba, a w gwiazdozbiornie Bliźniat akuratnie Polluks? Jak wytłumaczyć, że w gwiazdozbiornie Oriona supergigant – gwiazda Betelgeuze – emanuje czerwonym światłem? Jak zrozumieć, że w Układzie Słonecznym największą planetą jest Jowisz, (którego księżyc Europa odkrył jeszcze genialny Galileusz) chociaż logicznie wyliczyć by trzeba było jej inny wymiar? Kepler stworzył co prawda trzy prawa rządzące planetami, ale teoria względności podsuwa wnioski, które nad tymi prawami każą się zastanowić. Przecież Lowell obliczył istnienie Plutona jeszcze zanim go odkryto.

Wiadomo, że już przedstawiciele kultur spoglądali w niebo, oczekując tajemniczych przybyszy z jego czeluści – już wtedy człowiek nie mógł uwierzyć w fakt, że

tylko on pojawia się we Wszechświecie. Jeszcze i dziś ufologia cieszy się popularnością, chociaż wiadomo, że największa szybkość jaką znamy, to szybkość światła, a ta wyraża się cyfrą około 360 000 kilometrów na sekundę. Ale odległości ciał niebieskich liczy się latami świetlnymi, a więc tę szybkość trzeba wpierw pomnożyć przez 3600 sekund, aby obliczyć dystans jaki światło przebywa w trakcie jednej godziny. Teraz ten wynik trzeba pomnożyć przez 24 godzin, które liczy jedna doba, a otrzymany w ten sposób wynik pomnożyć z kolei przez 365 dni. A przecież astronomowie sięgają już dziś do ciał niebieskich odległych o 50 tysięcy lat świetlnych. Gdy ulepszą swe instrumenty spenetrują Wszechświat o jakąś tam dodatkową ilość tysięcy lat świetlnych. A potem znowu będą lepsze instrumenty i pojawi się możliwość spenetrowania jeszcze większych dystansów. A potem znowu nowe, wspaniałe instrumenty i spojrzenie głębiej w Kosmos. I dalej, i dalej...

W tej sytuacji, kiedy przemieszczenie się ludzkości z Ziemi, która „skazana jest przecież na śmierć” na jakiś inny glob nie jest możliwe, przypominamy skazańca, który za chwilę zostanie zgilotynowany. Ten „skazaniec” wykorzystuje czas, który mu do „ostatecznej zagłady” pozostaje, w najprawdziwszym paroksyzmie megalomanii. To samo dotyczy przybyszów z Kosmosu, kimkolwiek by oni byli i jakkolwiek byliby zbudowani (czytaj: stworzeni!). Więc jak reagujemy na czekający na nas „Wyrok śmierci”? Przede wszystkim udajemy, że o tym wyroku nic nie wiemy. „Jakoś to będzie” – wmawiamy w siebie i dobrze czynimy, że taką tezę w siebie wmawiamy, bo w przeciwnym razie musielibyśmy popełnić już dziś, z braku nadziei na jakieś jutro, zbiorowe samobójstwo. Po drugie niejako spychamy troskę co się z nami stanie, naszemu Bogowie On, nasz Bóg, chyba

nas wybawi z opresji – wierzymy wytrwale – zwłaszcza jeśli będziemy żyli tak, by go nie prowokować i nie obrażać. Religia katolicka wybrnęła z tego dylematu wręcz genialnie: głosi ona przecież, że tu, na ziemi, jesteśmy tylko po to, aby zasłużyć sobie na Królestwo Niebieskie: „Tam, w niebie”, gdzie nic niczego już nie zniszczy i nie pożre, tam będziemy zawsze, całą wieczność (co to jest ta „wieczność”?) śpiewać „hosanna” i w ten sposób spełni się nasz los.

Ewolucja, której zawdzięczamy zmysł wyobrażenia sobie przeszłości i przyszłości, dała nam szansę doszukiwania się obiektywnych praw rozwoju (albo „nierozwoju”) globu, zwanego Ziemią – tej zdolności nie posiada poza nami żadne inne specjum na świecie – ale ta szansa to równocześnie przekleństwo, bo znany nam jest już przecież epilog, wiadome że – coś ją w końcu, razem z nami, ludźmi, pożre. Przykład na dialektyczną filozofię: z jednej strony przysłowie – mądrość narodów uczy przecież: *niechaj żywi nie tracą nadziei*, z drugiej strony filozoficzna rezygnacja: *„nadzieja jest matką głupich*”.

I bądź tu mądry, szary człowieku...

Przypisywanie rozumowi ludzkiemu nieograniczonych możliwości poznawczych jest nienaukowe co najmniej z dwóch względów:

Po pierwsze: co chcemy wyrazić przez określenie „nieograniczone”? Jak zdefiniować to pojęcie, skoro jego antytezę, oznacza „ograniczoność”? Nie sposób jej zdefiniować. To dotyczy zarówno mikrokosmosu jak i makrokosmosu. Do dziś nie jest wiadome, jak jest zbudowana komórka ciała ludzkiego – zakładamy, że tę budowę zdefiniowaliśmy, ale tak na prawdę biolodzy i lekarze oczekują każdego dnia wiadomości, że właśnie odkryto nową, jeszcze mniejszą cząstkę nieznaną do tej chwili komórki ludzkiej. Czy gen ludzki

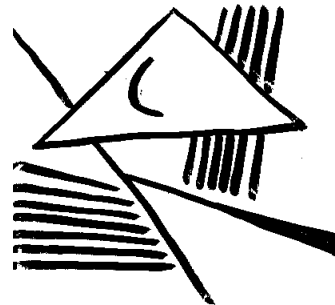
jest z całą pewnością wielkością ostateczną? Żaden poważny naukowiec nie zaryzykuje takiego stwierdzenia. I *vice-versa*: dziś wiemy, że jesteśmy w stanie spenetrować twory gwiazdne oddalone od nas nawet o milion lat świetlnych. Jutro okaże się, że mamy nowe poznawcze instrumenty i dotrzemy dzięki nim w przestrzeń międzyplanetarną odległą od nas o 10 milionów lat świetlnych, a może nawet o 20 milionów lub nawet więcej, co spowoduje, że będziemy musieli wyznaczyć fakt potwierdzający naszą niezdolność poznawczą: „rzekomo poznaliśmy dotąd zaledwie 1% materii międzygwiazdnej lub nawet jeszcze mniej, ale akcent musimy położyć na określeniu „rzekomo!”

I po drugie: coraz bardziej wierzymy w hipotezę, że „życie” – cokolwiek rozumiemy pod tym określeniem – istnieje w kosmosie. Profesor Mark Sephton oraz doktor Zita Martin z Imperial College w Londynie, poprowadzili przecież niedawno wraz ze swoim zespołem, badania meteorytu, który spadł w Australii w 1969 roku. Rezultat tych badań został opublikowany w najbardziej prestiżowym piśmie naukowym: „Earth and Planetary Science Letters”. Brzmi on fascynująco i dla naszego mózgu niewiarygodnie: oto w tym meteorycie znaleziono materiał genetyczny (!) pochodzenia pozaziemskiego. Nawet jeśli ten rezultat okaże się pomyłką, prędzej czy później znajdzie się w kosmosie potwierdzenie tego, że istnieje tam życie, chociaż nie wiadomo w jakiej formie. Gdybyśmy założyli, że Ziemia jest tu jedynym wyjątkiem, musielibyśmy stwierdzić, że kreacjonizm jest teorią nieomylną, ale przeprowadzania tu dowodu na tę okoliczność stanowiłoby tylko stratę czasu. Czy w tej sytuacji można mówić o jakichś proporcjach, które rządzą nami i światem poza nami? Byłaby to niewybredna, niczym nieuzasadniona zgadywanka. Przypię-

sywanie przypadkowym analogiom cyfrowym cech uniwersalnych praw jest niczym nieuzasadnione. Jeśli takie analogie tu czy tam występują, są one tylko wynikiem przypadku. W samej Drożdzie Mlecznej, od której centrum jest nasza Ziemia oddalona o 25 000 lat świetlnych, szacuje się przecież ilość gwiazd na 100 do 300 miliardów a jej masę na bilion razy większą niż nasze Słońce. W jej dwu ramionach (dawniej doliczono się czterech: Skutum-Centaurus, Strzelca, Perseusza oraz Normę) a więc w Skutum-Centaurus oraz Perseuszu, obserwuje się permanentne powstawanie nowych gwiazd i galaksji. Robert Benjamin z Uniwersytetu w Wisconsin, doliczył się nawet poza Drożda Mleczną i najbliższą jej Andromedą około 50-ciu miliardów innych galaksji. Te cyfry nie docierają do naszego umysłu – kto może sobie wyobrazić jakie wielkości one wyrażają? Nawet największe na świecie komputery nie dają sobie z ogarnięciem tych przestrzeni i pojęć kosmicznych, rady.

Bawienie się analogiami, doszukiwanie się uniwersalnych systemów jest w tych warunkach zaledwie zabawą. Tylko jedno możemy z całą pewnością stwierdzić: istnieje wokół nas jakiś zwariowany, oszalały chaos. Każde inne stwierdzenie, opieranie się na analogiach, cyfrach i obliczeniach, byłoby tylko odmianą kabały, metafizyczne przypisywanie tym pojęciom magicznej mocy. □

Prof. dr Adam Zieliński – znany dwujęzyczny pisarz i publicysta z Wiednia.



Egipskie przygotowania do ślubu i wesele

Niedawno mój egipski szwagier, żenił się wreszcie po kilkuletnim okresie narzeczeństwa, co dało mi możliwość bezpośredniego przyjrzenia się jak to właściwie obecnie w Górnym Egipcie wygląda. Bo chociaż stare produkty tutejszej kinematografii rzucają niejako światło na zwyczaje i przebieg ceremonii, to jednak straciły już na aktualności i bardzo dobrze, bo w przybytku z innego świata mogą wywołać szok i obrzydzenie. To już jednak temat raczej dla antropologów kultury.

Przygotowania do ślubu zajmują tu obu stronom niemal całe życie. Mężczyzna musi zapewnić dom. To może być willa lub skromne mieszkanie, ale bez tego nie ma szans na znalezienie żony. Sprawy materialne są w Egipcie bardzo ważne i stawiane zdecydowanie ponad romantycznymi porywami serc. Co ciekawe, nie tyle przez rodzinę – jak mogłoby się nam wydawać, lecz przez samych zainteresowanych. Tym bardziej, że większość tutejszych ludzi, żyje więcej niż skromnie, musząc utrzymywać się bardzo niskich zarobków czy rent. Z uposażeniem rzędu dwustu dolarów, trudno budować sobie przyszłość. Kobiety z szanujących się domów nie pracują i nikomu nie przyszłoby do głowy oczekiwać tego od nich. Współczesne dziewczęta kończą edukację na poziomie szkoły średniej i najlepiej aby zaraz wyszły za mąż. Mąż jest jedynym żywicielem szybko rozrastającej się rodziny a niejednokrotnie musi jeszcze wspomagać finansowo rodziców, czy nieletnie rodzeństwo. Na domu i obowiązku utrzymania rodziny jego wydatki się nie kończą.

Przed ślubem musi mieszkanie wykończyć tak, by było gotowe do zamieszkania, wstawić wszystkie meble – łącznie z tymi do pokoju przyszłych dzieci, urządzić łazienkę. Dla narzeczonej musi zakupić prezent ślubny, czyli złoto w jak największej ilości. Tradycyjnie i zgodnie z prawami islamu, nie istnieje tu pojęcie wspólnoty majątkowej. Wszystko, co żona wniesie i otrzyma od męża, czy też rodziny – jest tylko i wyłącznie jej. Przed ślubem spisany jest kontrakt małżeński, gdzie kobieta zawiera wszystkie swoje wymagania i życzenia co do wspólnego pożycia, jest tu również dokładnie spisany jej majątek, który wnosi do wspólnego domu. Dodatkowo ustalana jest wysokość mahr, ślubnego podarunku od męża, którego połowę powinna otrzymać w dniu ślubu a kolejną, w razie rozwodu. Nad tym, by kontrakt gwarantował jak największe korzyści kobiecie, czuwa jeden z jej najbliższych krewnych. On w jej imieniu negocjuje warunki i pilnuje ich dotrzymania. Dlatego łatwiej jest małżeństwu zawieranyemu pomiędzy najbliższym kuzynostwem- tu nie trzeba tak

bardzo pilnować swoich interesów, o oszustwie nie ma mowy. Coraz częściej złota biżuteria jest wystarczającym prezentem, w przeciętnych rodzinach nie ma szans na dodatkową wypłatę gotówki. Pan młody musi jeszcze przecież opłacić wesele.

Po zakup ślubnego złota wybiera się cała rodzina, kobiety wypełniają szczerze cały sklep, wybierają i targują robiąc niemałe zamieszanie. Przypadkowy klient nie ma po co tam nawet zaglądać, w tym sklepie dziś nic nie kupi.

Oficjalnie mąż ustroi żonę tym złotem podczas wesela a ona od tej pory będzie je dumnie nosić nawet w domu, jako symbol jego przywiązania i swojego szacownego statusu mężatki. Jeszcze tylko zdrowe i liczne potomstwo a będzie mogła liczyć na dozgonny szacunek i uznanie otoczenia. Bardzo możliwe, że jej własne imię pójdzie w niepamięć a zacznie być nazywana od imienia swego pierworodnego. Zakładając, że będzie to np. Achmed- od tej pory stanie się OmmAchmed, Matka Achmeda. Dla tutejszych kobiet to najśłodsze marzenie.

Myliliby się jednak, kto przypuszcza, że tylko potencjalny pan młody musi tu udowodnić swój status materialny i gotowość do małżeństwa. Rodzina dziewczyny przygotowuje się na ten dzień niemal od momentu jej narodzin. Do niej bowiem należy całkowite wyposażenie mieszkania we wszelkie przedmioty użytkowe. Od łyżeczki po meble kuchenne, pościelenie, dywany, obrusy. Wszelkie garnki, szklanki, zastawy stołowe. W ilościach przekraczających możliwości zużycia przez kilka rodzin a cóż dopiero jedną. Wszystkiego musi być dużo- żeby nikt potem nie powiedział, że nie wyprawili córki należycie. Do tego dochodzą wszelkie sprzęty gospodarstwa domowego, z rzeczonym telewizorem na czele. To gigantyczny wydatek i niemal

żadna rodzina nie byłaby w stanie go ponieść jednokrotnie. Tak więc kolekcjonują latami a od momentu zaręczyn, zdecydowanie przyspieszają tempo i zwiększają kaliber zakupów. Wciąż mają sporo czasu, od zaręczyn do wesela często mija kilka lat. W efekcie młodzi startują we wspólne życie z nowiutkimi i jednocześnie przestarzałymi sprzętami. Przecież w dobie niebywałego rozwoju technologii i elektroniki, kilkuletnia lodówka, kuchenka czy pralka, to już urządzenia można by rzecz wiekowe. Wszystko zależy od tego, jak szybko strony mają możliwość zgromadzić zwyczajowo wymagane dobra.

Czasem sytuacja się zmienia, zaręczyny zostają zerwane i młodzi pobierają się w innej konfiguracji. Nikomu to specjalnie nie przeszkadza, zważywszy, że finalnie przeważnie i tak wszystko pozostaje w rodzinie a narzeczeństwo nie wynikało z płomiennych uczuć ale raczej skrupulatnych przemyśleń i rodzinnych, czy też sąsiedzkich umów. W dodatku charakter tutejszych związków narzeczeńskich absolutnie wyklucza jakiegokolwiek chwile miłego sam na sam, co gwarantuje, że wybranka, choćby z kilkukrotnego odzysku, jest wciąż czysta i niewinna jak łąza – a to jest podstawą przetrwania małżeństwa. Dziewictwo kobiety jest niezbędnym elementem przedmałżeńskiego targu, wszyscy o tym wiedzą i żadna rodzina nie dopuści do straszliwej hańby, jaka niechybnie by na nią spadła w razie stwierdzenia odstępstwa od tej odwiecznej zasady. Dziewczyna „po przejściach” nigdy nie miałaby szansy na zamążpójście i na zawsze pozostała ciężarem dla swej rodziny.

Ze wszystkich tych zasad wynika sporo korzyści, rodzina jest tu siłą, w przeciwieństwie do Europy wciąż rodzi się wiele dzieci i nieczęsto słyszy się o rozwodach,

walkach o majątek. Stwarzają one jednak młodym nie mały problem. Aby dojść do statusu majątkowego, który pozwoli myśleć o ożenku, tutejszy mężczyzna potrzebuje przeważnie wielu lat. Najczęściej żeni się dopiero po trzydziestce. To zupełnie jak ostatnio w Europie- pomyślimy. Niby tak. Jednak ogromna różnica polega na tym, że gdy Europejczycy się bawią, podróżują, wchodzą w różne związki i krótkotrwałe przygody, Egipcjanin pracuje po szesnaście godzin na dobę i odlicza ile jeszcze lat musi tak spędzić, by w końcu dać sygnał rodzinie: - szukajcie mi żony, wkrótce będę gotów. Nie ma co liczyć w tym czasie na przygodne romanse i chwilowe miłostki. Każda tutejsza dziewczyna wie, że jest tyle warta, ile jej wianek.

Mężczyźni pracujący w miejscowościach turystycznych, jeśli nie wynieśli z domu i religii żelaznych zasad, szybko się orientują, że mogą tu upiec dwie pieczenie na jednym ogniu. Jest wiele zamożnych turystek, które gustują w młodych, smagłych chłopcach, ich czułych słówkach i płomiennych oczach. Te młode łatwo wpadają w pułapkę własnych wyobrażeń- sądzą, że mają do czynienia po prostu ze zwykłym rówieśnikiem, takim samym jak Marcin z sąsiedztwa, czy ten fajny Michał z dyskoteki. Nawet nie podejrzewają jak bardzo się mylą. Jak bardzo ten mężczyzna się różni, od wszystkich dotąd im znanych. Nie wiedzą, że w tej kulturze nie ma czegoś takiego jak „kolegowanie się” kobiety z mężczyzną, „chodzenia ze sobą”, ani nawet bycia kochankami. Tu się trzeba ożenić. A jak nie można? To można podebrać turystkę.

Te dojrzałe zapewne wiedzą o co chodzi. Chyba nawet nie bardzo im przeszkadza, że głównie o pieniądze. Jeśli mają ich dość a w zamian otrzymają to, czego oczę-

kiwały- to świetnie. W końcu są dorosłe a europejskie pochodzenie, pozwala im korzystać z życia jak tylko chcą. Uważam, że póki w to wchodzi z pełną świadomością, wszystko jest w porządku. Obie strony zadowolone i chłopak być może parę miesięcy bliżej wymarzonego wesela.

Są jednak jeszcze miliony mężczyzn nie mających kontaktu z Europejkami. Oni mają naprawdę ciężko. Kolejne kuzynki wychodzą za mąż a im pozostaje harować i odkładać każdy grosz, pocieszając się, że wiele lat młodszą żonę, łatwiej będzie ukształtować po swojemu. Ale lata mijają, natura wzywa- tajemnicą poliszynela jest, że homoseksualizm zastępczy jest tu wcale nierzadkim zjawiskiem. Uważa się nawet, że tak naprawdę tylko strona bierna jest homoseksualistą, dla aktywnej wykazując wiele zrozumienia- przecież musi sobie jakoś radzić!

Gdy wreszcie mężczyzna widzi, że jeszcze dwa, trzy lata i będzie w stanie spełnić wszystkie wymogi i założyć upragnioną rodzinę, rozsyła wici i oczekuje wieści. Przeważnie już wkrótce rodzina przedstawia mu kilka kandydatek. Jeśli nie jest to ktoś z najbliższego otoczenia i należy się dziewczynie baczniej przyjrzeć, matka czy siostra rusza na wstępny rekonesans. Gdy wypadnie pomyślnie, kolej na jego odwiedziny w domu dziewczyny. Rozmawia z jej rodziną o swoich zamiarach i dowiadyuje się czego on może się spodziewać. Dziewczyna najczęściej w tym nie uczestniczy, pojawia się tylko na chwilę, wystrojona wnosi własnoręcznie przygotowaną przekąskę i obowiązkową w tej kulturze herbatę. Jeśli na co dzień nosi niqab- zasłoniętą na twarz, przy tej okazji może pokazać się bez niej- potencjalny mąż nie będzie przecież kupował kota w worku. Jeśli dojdą do porozumienia, wkrótce odbywają

się huczne zaręczyny, zaprasza się wielu gości a narzeczona może pokazać się bez hijabu- stroju ukrywającego kształty i zasłaniającego włosy. Drugą i ostatnią taką okazję w życiu, będzie miała w dniu ślubu.

Stroje tutejszych kobiet są bardzo różnorodne i uzależnione w dużej mierze od tradycji rodzinnych, oraz lokalnych zwyczajów. O ile na ulicach turystycznej Hurghady, czy potężnego Kairu można obejrzyć prawdziwą rewię mody islamskiej, nie są rzadkością dziewczęta wprawdzie przepisowo zakryte ale za to opięte do granic możliwości, w dopasowanych dżinsach i szalach zawiązanych do tyłu na sposób hiszpański, to już w Qenie trudno o dziewczynę w spodniach, raczej noszą piękne, zamaszyste dołem i dopasowane górą, bardzo długie spódnice. Do tego fikuśne, krótkie żakieciki, duże ozdoby i misternie upięty szal, szczelnie otulający głowę wraz z nieprzystojnym podbródkiem. Oczywiście nie ma mowy o odkrytych dekoltach czy ramionach. Wszędzie sprzedaje się nawet specjalne, elastyczne rękawki na przedramiona, by w każdej sytuacji, nawet podczas prac domowych mieć osłonięte zakazane części ciała.

Kobiety dojrzałe, mające już dzieci, raczej wybierają tradycyjną abbaję – długą, luźną suknię, skrzętnie ukrywającą nawet zarys sylwetki, przeważnie czarną lub w innych, ciemnych kolorach. Pod nią noszą jeszcze coś w rodzaju długiej koszuli a niektóre nawet spodnie- tak aby przy żadnym ruchu nie błysnąć nawet kostką. Abbaje bywają proste, codzienne ale również bardzo dekorowane, mieniące się wielobarwnymi kamieniami i haftami. Te zakłada się na wesela i coczwartkowe wyjścia z rodziną do miasta. Przystoją tylko młodszym kobietom, te starsze zdecydowanie unikają obfitych dekoracji.

Jeszcze inną grupę stanowią kobiety noszące, niezależnie od wieku, niqab. Ten strój opływa je całkowicie, tak, że czasem trudno zorientować się gdzie przód a gdzie tył, zwłaszcza, że w skrajnych przypadkach nie mają nawet otworu na oczy. Do tego jeszcze czarne rękawiczki. Te stroje przeważnie są czarne, ewentualnie brązowe. Bywają świetnej jakości, pięknie wykonane, z subtelną dekoracją. Większość jednak to tandeta.

Jedno łączy wszystkie opisane stroje- zawsze są do bólu sztuczne, podobnie jak cała damska bielizna. Nigdy nie przestanę współczuć serdecznie uwięzionym w tych warstwach poliestru, często w pięćdziesięciostopniowym upale, kobietom, choć wiem, że to ich wybór.

Jednocześnie tradycyjny strój męski- galabija- szyty jest zawsze z bawełny, przewiewny i najczęściej w jasnych barwach. Ciekawe dlaczego? Nikt dotąd nie umiał mi tego wytłumaczyć. Poza tym galabija, choć wciąż często noszona, zwłaszcza przez starszych mężczyzn, nie jest jednak obowiązkowa. Ulice są pełne Egipcjan noszących się swobodnie, po europejsku. Dość dziwnie wyglądają przy swoich zakrytych od stóp do głów żonach.

Zdumiewające jest, że wszystkie te kobiety, jako małe dziewczynki ubierane są całkiem normalnie, jak ich rówieśniczki w Wiedniu czy Myślenicach. Nie zakrywają głów, mają pełną swobodę stroju. Zdarza się zobaczyć w pełnym słońcu południa, na zakurzonej ulicy, dziewczynkę w piżamie i kapciach, niemożliwie zasną, dzierżącą w garści kilka funtów na podstawowe zakupy. A potem nagle zaczynają dojrzewać i natychmiast trzeba zmienić stroje, schować włosy i bardzo dbać, by nie stracić dobrej opinii.

*
* *

W życiu znakomitej większości Egipcjan, nadchodzi wreszcie moment wesela. Rodzina jest tu w tak wielkiej cenie, że nikt dobrowolnie nie decyduje się na pozostanie singlem. Jeśli tak się dzieje, to tylko w skrajnie niesprzyjających okolicznościach – powodem może być ubóstwo, nieuleczalna choroba, na zawsze zszargana reputacja. Niedostatki urody nie są tu żadną przeszkodą, atrakcyjność fizyczna jest daleko w tyle na liście priorytetów. U kobiety o wiele ważniejsze jest pochodzenie, opinia, zaradność, zgodność, uległość, skromność, pobożność, pracowitość, gospodarność, szacunek dla rodziny, miłość do dzieci.

Ważne jest by przed ślubem i weselem przygotować mieszkanie. Stąd też wszyscy wyposażają je we wszelkie możliwe dobra a potem najczęściej z nich nie korzystają, bo i tak wypada im spędzać czas ze starymi rodzicami. Odbywa się tu jedno z największych marnotrawstwa jakie widziałam: lata ciężkiej pracy, uporczywego oszczędzania po to, by urządzić kilkupokojowe mieszkanie, wstawić mnóstwo zbędnych mebli i bibelotów, które nigdy się nie przydadzą, nigdy się z nich nie skorzysta a zobaczą je tylko goście weselni i rodzina licznie odwiedzająca młodych, w drugim miesiącu po ślubie. Poza tym nie robi się tu przyjęć, nie obchodzi świąt, nie zaprasza znajomych na kolację. Nikt nie będzie ucztował w tej niemal pałacowej jadalni, gwar rozmów i dźwięczny śmiech nie odbijają się od suto zdobionych poduch zalegających sofy i fotele w salonie zamkniętym na klucz. Przyjaciele nie rozpierzchną się po ponad stumetrowym mieszkaniu, podziwiając te wszystkie mi-

sternie rzeźbione i złożone meble a’la Ludwik XV, latami gromadzone szkło i tanie dekoracje, również kapiące złotem. Ten dom będzie tylko sypialnią, bo nie można tu żyć osobnym życiem, gotować w swojej nowiutkiej kuchni, cieszyć się własną przestrzenią. Trzeba na dół, integrować się z rodziną, siedzieć na niewygodnych kanapach wokół telewizora, wspólnie gotować w starych garnkach i jeść siedząc pokurczonym na podłodze, przy niskim, brudnym stoliku. Wspólnie zajmować się dziećmi. Wspólnie nic nie robić. Ot, codzienne życie egipskich synowych.

Najpierw jest jednak wesele, które jak wszystko tutaj jest na pokaz. Nie byłam na weselu szwagra, bo wielokrotnie przesuwany termin wypadł w końcu w czasie mojego pobytu w Polsce. Zaraz po powrocie zasiadłam więc ochoczo do oglądania filmu z trzydniowej imprezy. Po obejrzeniu całości wywołałam śmiech rodziny pytaniem:

– A gdzie ślub? Nie nagraliście ślubu?!

Dowiedziałam się, że sam moment ślubu nie jest ważny. To kontrakt, podpisanie umowy, czysta formalność. Faktycznie dla osoby wyrosłej w katolickim kraju, gdzie ślub kościelny jest często odbierany jako jedyny istotny, wiadomość, że w islamie nie ma pojęcia ślubu religijnego, jest dość zaskakująca. Tymczasem choć islam dopuszcza kilka rodzajów ślubu i można również zawrzeć związek w meczecie, w obecności imama – wciąż nie jest to ślub o wymiarze religijnym. To cywilno-prawna umowa i tyle. Imam również nie jest osobą duchowną lecz jak najbardziej świecką. To nie odpowiednik księdza a raczej uczonego, studiującego Koran i jego interpretacje, pomagającego wiernym w rozwiązywaniu ich problemów doczesnych i rozterek mo-

ralnych. Aktu ślubu mogą i często dokonują za młodych np. ich ojcowie – to oznaka szacunku dla głów rodu. Mogą to też być inni starsi, mężczy członkowie rodzin. Można po prostu osobiście. Ten moment jest nieistotny, szkoda miejsca na taśmie. Ważne jest wesele.

Powinno być długie, dobrze zorganizowane i wszystkim zapaść w pamięć. Czasem wynajmuje się specjalne sale czy kluby ale zdecydowanie najlepiej urządzić wesele przed własnym domem. To pan młody i jego bracia wszystko organizują i odpowiadają za sprawny i planowy przebieg imprezy. Oczywiście nie można nie uwzględnić życzeń pani młodej, chyba nikt nie chciałby mieć rozgniewanej i obrażonej oblubienicy, zwłaszcza po tak długim oczekiwaniu. Imprezę otwiera przyjazd kolumny samochodów wypełnionych po brzegi dobytkiem narzeczonej. W domu już czekają zaproszone kobiety, pod domem mężczyźni. Wypakowują z kolejnych przyczep meble, sprzęty, dywany, obrazy, wszelką drobnicę i zanoszą do domu tak, aby nic nie umknęło oczom licznie zgromadzonych gapiów. Muszą dokładnie zobaczyć jaki typ lodówki i jaki model telewizora zakupiła rodzina dziewczyny, czy szkło jest wystarczająco zdobione i ile łyżeczek jest w szufladzie zielonych mebli kuchennych. Jeszcze tylko pokonać dwa piętra i pałeczkę przejmują kobiety. Krzątają się, ustawiają meble, rozwijają dywany, dużo dywanów. Najważniejsza jest zawsze wielka, przeszklona witryna – duma pani domu. To w niej staną szeregi złożonych szklanek i kieliszków, serwisy do kawy i porcelanowe figurki. Wszystko to na gumowych serwetkach, przystrojone girlandami sztucznych kwiatów w intensywnych kolorach. Zawartość nigdy nie będzie używana, to

tylko scenografia. Rodzina będzie jadać na metalowych, emaliowanych talerzach, pić herbatę z prostych szklanek. Tu przecież raczej nie pija się kawy, tylko herbatę, mocną i koniecznie z połową cukierniczki, trzeba sobie osładzać życie, o tak – Egipcjanie kochają lepkie słodkości.

Po południu przed domem pojawiają się muzycy z Luksoru i właściciele tańczących koni. Muzycy opaleni haszyszem, szybko wpadają w trans. Bez tego nie wytrzymałyby kilku godzin szaleńczego trąbienia składającego się na monotony, wciąż wzmagający i przyspieszający rytm. Ponoć konie go uwielbiają. Być może, bo rzeczywiście tańczą cudnie, przekładają smukłe nogi z niebywałym kunsztem i gracją, gubią kolejne srebrne bransoletki, które zdobią ich zgrabne pęciny. Jeźdźcy co chwilę przeganiają je ostrym cwałem i wtykają muzykom kolejne funty w garści, żeby zagrali jego rumakowi jak najlepiej. Takie wesele to dla nich dochodowy interes, jeśli koń dobrze wypadnie, zaproszą go na kolejne. A wesel w okolicy nie brak, odbywają się codziennie więc grosz się sypie.

Kobiety tłoczą się w oknach by obejrzeć pokaz. Pan młody i jego bracia wciąż roznoszą w tym czasie papierosy wśród zgromadzonych mężczyzn – tak będzie przez całe wesele- papierosy dla wszystkich, dużo papierosów. Arabowie palą zawzięcie, nie zważają na zdjęcia umierających mężczyzn, podłączonych do aparatury medycznej, jakie zamieszcza się tu na opakowaniach papierosów. Tytoń jest tani, każdego stać na Marlboro. Palą wszędzie: w autobusach, restauracjach, sklepach, przy dzieciach. Dzieci też często palą – ale nigdy przy ojcach. Palą oczywiście tylko mężczyźni, kobieta z papierosem jest nie do pomyślenia.

Drugiego dnia w domu pani młodej odbywa się „henna party”. To impreza mająca zapewnić powodzenie młodej parze oraz ich gościom. Henna jest w Egipcie uznawana za środek o niesamowitych właściwościach, stosowany zarówno profilaktycznie jak i leczniczo. Wierzy się, że zabija wszelkie mikroby i bakterie, chroni przed wszelkimi zakażeniami. Maluje się nią włosy, dłonie i stopy, wciera w paznokcie.

Wystrojona po europejsku Jasmine, z odkrytą głową, rozjaśnionymi na tę okazję włosami i mocnym makijażem, dumnie prezentuje dłonie i przedramiona całe pokryte kunsztownymi zdobieniami namalowanymi henną. „I love Mohammad” można przeczytać fantazyjny napis. No tak, pewnie, że go kocha. To w końcu najbliższy kuzyn, jest dla niej jak starszy brat. W domu pełno ich wspólnych zdjęć. Dzieli ich dziesięć lat, więc on jest już młodym mężczyzną a ona małą dziewczynką na jego kolanach. A teraz będzie jego żoną... Na zakończenie imprezy wszyscy fotografują się nad zielonkawo brązową bryłą henny w kształcie tortu a potem każdy zabiera garść do domu. Na szczęście. Nazajutrz wszyscy mają zafarbowane dłonie.

Ostatniego dnia przed domem pana młodego wyrasta potężny namiot z ogromnych, kolorowych płócien. Można je tu wszędzie zobaczyć, wydziela się nimi nieistniejące ściany knajpek, osłania od słońca i wiatru. Są piękne, w czystych, intensywnych barwach, w tradycyjne, orientalne wzory. Namiot osłania wspólną scenę z dwoma fotelami, dalej kolejne płótna dzielą przestrzeń na pół. Po obu stronach zasiadają goście – mężczyźni i kobiety bawią się tu osobno. Jest rześciszcie oświetlony tysiącami małych, kolorowych lampek, na długich sznurach, pieczołowicie rozwieszonych przez ich właściciela. Muzykę zapewni DJ, najświeższe przeboje arabskie będą słyszal-

ne w całej okolicy i poderwą gości do tańca. To trio: właściciele płócien, lampek i DJ są bardzo rozchwytywanymi fachowcami. Bez tych usług nie obejdzie się żadne otwarcie nowego sklepu czy zakładu. Wielobarwne płótna, migające światełka i donośna muzyka są niezawodnym sposobem na zwanie klientów.

Tego dnia kobiety długo szykują się w salonach urody, by pod wieczór ukazać się w pełnej krasie: mieniących ozdobami abajach, lśniących chustach, bardzo mocnych makijażach na nienaturalnie wybiełonych twarzach. Króluje oczywiście pani młoda w wyjątkowo bogato zdobionej, białej sukni. Jasmine wybrała dość elegancki model, większość tutejszych sukien ślubnych skrajnie odbiega od europejskich wyobrażeń o stylu i dobrym guście. Suknia skrzy się migoczącym blaskiem tysięcy diamentów, gorset, jak na mużulmankę przystało, został uzupełniony lśniącą i obcisłą bluzką z długimi rękawami. Głowę zakrywa równie ozdobna, przylegająca czapeczka – wariant często wybierany przez tutejsze panie młode, przywodzący na myśl szalone lata dwudzieste ubiegłego wieku. Para wraz z rodzinami jedzie do fotografa a potem jeszcze zatrzymuje się na zdjęcia w plenerze. W Kairze mosty i promenady przy Nilu są nocami oblegane przez fotografujące się wesela. W Qenie nie ma wielu plenerowych atrakcji. Gdzieś po drodze młodzi biorą ślub ale to przecież nieistotne. Wszyscy jadą na wesele. Panie na prawo, panowie na lewo, bohaterowie imprezy na scenę. Czas na muzykę, życzenia, prezenty. Nie podaje się żadnego jedzenia, tylko napoje i papierosy. Nie ma mowy o alkoholu. Są tańce i nastroj radości. Alhamdulillah – powstała nowa rodzina. □

Dagmara Firlej jest absolwentką Wydziału Architektury Politechniki Krakowskiej, wyszła za mąż za Egipcjanina i przebywa w Egipcie

JERZY HYRJAK

Migawki z życia politycznego

Nastał kolejny rok, rok z nadziejami na realizację oczekiwań Polaków: na przebudowę, zmianę naszego sposobu myślenia, spełniania obietnic zmierzających do poprawy ogólnego stanu naszego państwa wewnątrz kraju i na zewnątrz.

To już kolejna zmiana ekipy rządowej i niesionej przez nią do wyborów hasła: przyspieszenia rozwoju gospodarki, zapewnienia Polakom uczciwych reguł w zakresie zatrudnienia i ochrony porządku publicznego, przygotowania nas do wejścia w finansową strefę euro czy... zmian w zakresie poprawy wizerunku naszej ojczyzny na zewnątrz. Chcielibyśmy pożegnać się na stałe z zażenowaniem, zaściankowością, zacietrzewieniem pozbawionym empatii do innych nacji. Chcemy być Europejczykami pełną gębą, chlubiącymi się krajem pochodzenia.

Wielu z nas, młodych Polaków pracuje dziś za granicą i buduje dobrobyt innych krajów. Są to niejednokrotnie ludzie wykształceni, którzy nie mogli odnaleźć się w naszej rzeczywistości, gdzie oferowane im warunki pracy i wynagrodzenia nie odpowiadały ich potrzebom i pragnieniom. To oni pod rządami obecnego premiera mieli wracać do ojczyzny i zakładać własne interesy. To między innymi i dla nich miały powstawać nowe warunki przychylne gospodarczo, stwarzające nadzieję na powroty. To im właśnie oferował taką wizję premier Tusk gdy w kampanii wyborczej starał się dla siebie o głosy wybor-

cze. Dzisiaj już nie mówi się o nowej Irlandii, bo to hasło straciło na wartości, a sama Irlandia przeżywa kryzys gospodarczy i to hasło źle brzmiałoby u nas w kraju!

Mam wrażenie, że nie tylko tam, ale i u nas symptomy kryzysu pojawiają się. Na pewno stanie się to już niedługo. Banki ograniczają kredyty, giełda przedstawia się nędźnie, a w gazetach, aż roi się od porad na czas kryzysu. Podpowiada się mieszkańcom, obywatelom w jaki sposób oszczędzać na opłatach za gaz, światło, jak wykorzystywać domowy budżet, nie dać się skusić promocjom w wielkich marketach, jak oszczędzać i ile pensji minimum powinien mieć obywatel w banku na przetrwanie – w wypadku utraty przez niego pracy!

Ci sami doradcy, którzy wcześniej zapędzili niejednego z nas na ścieżkę strat „w Funduszach Inwestycyjnych...” dzisiaj podpowiadają, straszą nas zwolnieniami z pracy (wstępnie ocenia się, że w tym roku może stracić ją ok. 300 tys. pracowników – dane ze stycznia br.). Podpowiadają teraz: nie lokuj w osławionych „Funduszach ...”, ale głoszą potrzebę lokowania oszczędności w lokatach i obligacjach.

Rząd już poszukuje oszczędności w budżecie, żeby kraj mógł przetrwać najgorsze, lecz póki co, posłowie nie martwią się o obywateli. Przez nas wybrani przedstawiciele narodu, zmieniają niejednokrotnie partie dla zachowania stanowisk i intratnych wpływów finansowych. Ot, nasza rzeczywistość! PO, podobnie jak i PiS zgłaszają potrzebę ograniczenia ilości posłów w sejmie, likwidację Senatu i inne propozycje: jest to m.in. ograniczenie, lub zaprzestanie finansowania na pewien okres partii politycznych. Jak mówi były min. finansów rządu SLD pan Marek Borowski, będzie to gwóźdź do trumny dla małych partii, gdyż duże dadzą sobie doskonale radę. Małe znikną z mapy politycznej nie mogąc spłacić zaciągniętych wcześniej kredytów i pokryć bieżących potrzeb partii, a przecież zgodnie z istniejącą ustawą mogły liczyć na te środki.

Dzisiaj Prawo i Sprawiedliwość, ta partia która poróżniła między sobą Polaków, partia kłótliwych, zapiekłych przeciwników tej władzy (i wszelkiej innej jaka by nie była), oferuje swoje „nowe oblicze” lecz z tymi samymi twarzami, których z przyjemnością większość społeczeństwa nie musiała oglądać w TVN przez ostatnie kilka miesięcy dzięki bojkotowi tej stacji przez PiS!

Co ma do powiedzenia ich przywódca w nowym garniturze? Nic nowego! Ataki na byłych kolegów „solidarnościowców”. Bo rzecz nie jest w tym co i jak robić, tylko w tym, by na wszelkie sposoby dostać się do władzy i czerpać profity dla siebie i swojego brata i ich przybocznej świty! Te same uśmiechy, ta sama retoryka, ten sam „bulterier” przy nodze i oddani wodzowi żołnierze.

Jeden z nich potrafił się postawić, a pamiętamy, też miał psa, którego przyprowadzał do swojego ministerialnego miejsca pracy. Postawili mu zarzuty, zmienił ławę poselską na ostatnią w rządzie i od czasu do czasu przy-

pomina nam, że nadal kocha swój PiS i jest mu szczerze oddany!

Nowy wizerunek wymaga potężnych sum finansowych na potrzeby marketingu. Atakuje się ludzi z otwartą głową zasiadających w rządzie Tuska, posłów PO nieprzychylnych im, trafnie godzących w ich wyolbrzymione ambicje polityczne. Mądry, błyskotliwy, pracowolik – filozof – poseł Palikot musiał wytonować, bo choć zadawał drażniące pytania i stawiał jasno problemy dotyczące ludzi i polityki musiał niejedną raz przeproszać tych m.in., którzy nie znają słownikowego stwierdzenia – prostytutka polityczna. No cóż, była okazja odstrzelić niebezpiecznego przeciwnika!

Honorowo odszedł też szanowany w odróżnieniu od poprzednika – spokojny, zrównoważony, z ogromną wiedzą prawniczą minister Zbigniew Cwiakalski.

Za podobne, jeżeli nie większe niedopatrzenia nawet nie myślał odejść ze stanowiska były min. Ziobro. W związku z tym podzielię się z czytelnikiem pewną satyrą napisaną na potrzeby tego felietonu.

„W kontaktowym”* ludzie mówią
Że premierem się nie chlubią.
Że hoduje błędy gierki
I marnuje nam czas wszelki.

Cóż powiedzieć? wstyd i basta.
On wciąż wyżej chce wyrastać.
Znamy to – rzecz oczywista,
Nowych błędów będzie trzysta.

Och Polacy, mój Narodzie
Wspólnie idźmy dziś ku zgodzie.
Przykazanie sformułujmy:
Patałachów zablokujmy!

**Szkło kontaktowe*

Są jak dawniej „My i Oni”. My to przyjaciele, oni – dawniej koledzy dziś przeciwnicy! Nie chodzi o to co robił dla kraju, Polski. Chodzi o usunięcie w cień trudnego przeciwnika.

Parcie, w podjazdowej wojnie, wszelkimi drogami do ograniczenia jego wpływów, a w następstwie przejściu władzy i stanowisk!

Patrioci? Oni... wiedzą co to patriotyzm!

Pan Prezydent stawiał takie pytanie w ubiegłym roku stwierdzając chyba bez większego namysłu: „To wspaniale, że tylu Polaków chce umierać za Ojczyznę”. A ja pytam, czy nie ważniejsze jest dla niej żyć i budować ją dla przyszłych pokoleń? Czy nie warto prowadzić w kraju i za granicą polityki zgody narodowej, międzynarodowej? Czy nadal mamy żyć historią, dociekaniem kto?, co?, kiedy?, wstawiać na stanowiska Maciariwiczów... zapiekłych w nienawiści burzących i podburzających naród – snobów słuchających własnego ego?

Ważnym jest, abyśmy pamiętali że Polska jest ojczyzną wszystkich Polaków i nie ma podziału na tych, którzy są „hołotą” i na tę resztą lepszą, która „nie wychowywała się na podwórkach” (stwierdzenie Jarosława Kaczyńskiego). Ważne, że jeżeli oburzeni jesteśmy absurdalnymi porównaniami – „kartofle”, nie obrażali innych sformułowaniami „spieprzaj dziadu”. Ważne, żebyśmy nie głosili pochwały ludobójstwa gen. Pinocheta w Argentynie (co czynił poprzez swą podróż i odwiedzinę jego, obecny pan min. Kamiński, w delegacji sprzed lat), a jednocześnie wnosili sprzeciw przeciwko mordowaniu Gruzinów.

Wszystko winniśmy mierzyć jedną miarką, taką która w każdym, choćby prosto myślącym człowieku-obywatelu nie wywoła uczucia sprzeciwu, zdziwienia, czy wstydu!

Nie wspomnę o międzynarodowej historii lotów samolotami do Brukseli naszych świątłych, pierwszoplanowych polityków, czy o 25-leciu związanym z ze znanym na całym świecie przywódcą „Solidarności” – tej sprzed lat (a nie obecnej) – Lechu Wałęsie. Odczuwam uczucie wstydu na to wspomnienie

i widzę „małość” naszego wielkiego, a małego wzrostem prezydenta. Nikt nie zaprzeczy, że jedynie niski wzrostem Napoleon potrafił być wielki.

Budzi we mnie ironiczny śmiech myśl o istnieniu poprawnych stosunków między kancelariami – prezydencką i premiera. Rodzi ciągły niesmak postawa tych polityków.

W naszym kraju nie robi się nic dla wspólnego dobra, tylko przeciw komuś. Nadal brak jest kompromisu. Do tego jeszcze, do niedawna silna poparciem partia rządząca – SLD, zamiast zwiierać swoje szeregi rozbija własną jedność w pogoni za realizacją osobistych ambicji ludzi, którzy nie umieją i nie będą nigdy dobrymi przywódcami.

W stosunkach między partiami stale dominuje ta sama forma postępowania i rozumienia świata:

Z założenia wszystko to, co robi przeciwna partia jest naganne, złe, często nieuczciwe. Monopol na prawdę zawsze mamy my – przeciwnicy!

I tak toczy się to polityczne piekielko. Polskie piekielko! Tylko czekać jakiego „nowego” prezydenta zaoferują nam te sprawdzone, wspaniałe partie! Będą to mądrze działający, aktywni, znaczący coś w świecie „Kwaśniewscy”, czy też „INNI” – przerysowani w własnych ambicjach politycy z niskim poparciem społecznym, a wysoką samooceną?

Czasami myślę, a swoją wiedzę o społeczeństwie polskim mam sprawdzoną przez długie lata życia, że w tak poniżanym, niesłusznie niedocenianym dawnym PRL-u, państwie uznawanym przez wszystkie kraje świata, choć na pewno nie suwerennym – w wielu sprawach społecznych rządy potrafiły zapewnić ludziom lepsze warunki życia jak dziś... w rozwarstwionym na bogatych i biednych społeczeństwie.

Szkoda, że tej prawdy nie przekazuje się młodym ludziom, tylko karmi się ich jedynie słuszną teorią świata ciągłej walki i konkurencji na każdym odcinku. Choć i wtedy byli bogaci i biedni to nikogo nie widziało się grzebiących w koszach na śmiecie i szperających po śmietnikach za resztkami nadającymi się do powtórnego wykorzystania. Tych na górze ta rzeczywistość niewiele obchodzi. Nikt nawet nie odważy się wspomnieć, że kiedyś ludzie, pomimo pozornej suwerenności, musieli żyć i przetrwać. Kolejne pokolenia są dziećmi także tamtej ojczyzny, tamtych matki i ojców – naszych krewnych. Oni nie byli

„hołotą”, jak twierdzi Pan Prezes Kaczyński. Tym stwierdzeniem on obraża i mojego ojca wraz z matką oraz rodziców innych współobywateli! Czy nas za to przeprosił poza wąską grupą „inteligencji etosowej”, pokajał się przed nami? A przecież naruszył w sposób brutalny godność każdego Polaka!

I Pan Panie Prezesie wraz z bratem oczekujecie naszych głosów przy urnach wyborczych?

– Nie do wiary?!

□

Jerzy Hyrjak – publicysta i redaktor



KRZYSZTOF BIEŃKOWSKI

A jednak

Wszystko się porwało Sąsiad
omija sąsiada jak wyrwę
w jezdni Jego wyobrażenie
jego lepszość wyrosła na
wirtualnym nawozie demokracji
co przypomina słoma
przyklepiona do buta języka
i pośniedziałych cokołów Nawet
jego niedzielne dopasowanie do Kościoła
anielsko zmienia reebok nike snikers
Pięćzłotówki na tacy spoglądają
z góry na starowinę za jeden
złoty Tylko wyciągając do niej rękę na
Przeżycie sobie na znak pokoju
odwraca oczy

Joanna Kania-Obrok nie żyje

JOANNA KANIA-OBROK urodziła się w Krakowie w 1962, zmarła nagle w 2009. Była utalentowaną poetką. Interesowała się filozofią i filmem. Była członkinią Stowarzyszenia Twórczego Artystyczno-Literackiego. Gdy debiutowała była już w pełni dojrzałą osobowością twórczą. Miała własny i oryginalny język poetycki. Widziała ludzi jako jej bliskich a zarazem dalekich. Odczuwała wobec nich zarówno miłość, ale i rozczarowanie, a niekiedy złość. Podobnie postrzegała również obiekty, znaki kultury, także te, nazwijmy je, metafizyczne, jak diabeł, aniołki, Bóg. Jej uczucia były formą poznania, a nie suchymi sylogizmami, czy martwymi konstrukcjami pojęciowymi. Świat był dla niej zbyt obcy, musiała go wciąż na nowo odkrywać i oswajać, bo nie była i nie chciała być w stosunku do niego obojętną. A oswajała go humorem, przekorą, ironią. Przygotowywała swój debiutancki tomik pt. „Nigdy bez mojej zgody”, do którego postłowie napisał Andrzej K. Torbus, gdzie tak opisał jej poezję: „Joanna Kania-Obrok w swoim debiutanckim tomiku wierszy pt. *Nigdy bez mojej zgody* z niezwykłą wyrazistością i konsekwencją prowadzi dialog z codziennością, i tym, co stanowi wszak sens życia. Tym czymś jest miłość. Miłość chyba niespełniona do końca, gdyż nostalgia za nią przebija z każdego wersu. Jest też dom, a w nim życiowe troski i kłopoty.

Tęsknota za kimś bliskim, kogo już nie ma i nie będzie (?), to główny temat tej liryki. Trzeba dużej odwagi, aby niczym na spowiedzi, opisać swoje doznania i sytuacje, niekiedy bardzo intymne. Melancholijne są te wiersze, napisane sprawnie i z ogromnym taktem. Są bardzo bezpośrednie i aż do bólu prawdziwe. Dobrze, że poetka nie moralizuje, nie sili się na wyszukane metafory i pseudo-intelektualizm. Pokazuje życie takie, jakim jest – i wcale nie chce go upiększać. Niektóre miniatury to prawdziwe perełki, ot choćby „Zakochany piekarz”, czy „Mieszkasz w mojej głowie”. Wiadomo jak trudno jest pisać utwory krótkie, tak by każde użyte słowo miało swoją wagę i moc i nie można było zrezygnować ani z jednego zwrotu, jak przykładowo w wierszu Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej: „I klonom ręce opadły i mnie”.

Warto zwrócić uwagę na rzekorny, czasami „sowizdrzański” humor Joanny Kani-Obrok. Autorka w wierszach o miłości i rozstaniach, poprzez delikatną ironię sygnalizuje Czytelnikowi, że wobec rozczarowań możliwy jest pewien dystans, aby smutek był mniejszy. Służą temu również dowcipne puenty. Jestem przekonany, że tomik ten zostanie ciepło przyjęty przez Czytelników i krytykę, a Joanna Kania-Obrok następnymi utworami potwierdzi swój talent”.
Cóż – los zrządził inaczej.

Redakcja

CZESŁAWA JOLANTA KOTARBA

● Coraz wyraźniejsze i coraz groźniejsze są symptomy kryzysu finansowego w Polsce, choć jeszcze nie tak dawno rząd buńczucznie zapowiadał, że nas on nie dotknie. Ale rychło trzeba było jednak „spokornieć” i przyznać, że nie jest tak dobrze jak myślano. Teraz trwają jeszcze gorączkowe poszukiwania oszczędności w budżecie państwa, by skutecznie zasypać dziurę budżetową. Określenie to bardzo irytuje rządzących (przypomina sławetną „dziurę” zostawioną przez rządy AWS i zasypaną przez rząd SLD). Niech się to zjawisko zwie jak chce, istotne, że dla państwa i społeczeństwa może przynieść przykre konsekwencje. Każdego dnia dowiadujemy się, które resorty i w jakim stopniu poddane będą przykrej operacji amputowania części budżetu. Dla społeczeństwa wszystkie cięcia finansowe oznaczają bolesne ograniczenia. Już w tym roku 6-latki pozostaną w domu (z czego cieszy się dość duża grupa rodziców), nie będzie pieniędzy na nowy sprzęt dla policji i wojska, co może pogorszyć sprawność ich działań, ograniczymy udział naszej armii w pokojowych misjach (co zgodne jest z odczuciem społecznym), ale co może zmniejszyć produkcję tzw. zbrojeniówki i spowodować redukcję pracowników w tych zakładach. Zmora, która spędza sen z oczu tysiącom Polaków, to narastające redukcje w zakładach pracy.

Szybko wzrasta bezrobocie i tym samym spada poziom życia rodaków. Media donoszą, że symptomatyczne jest, że spada spożycie chleba. Emigracja zarobkowa Polaków – ów wentyl bezpieczeństwa ekonomicznego polskich rodzin powoli się kończy. Do Polski, w której niestety wzrasta bezrobocie, wracają Polacy z zachodnich krajów, bo ich tam nie chcą, u nich też jest kryzys. Nie jest to zjawisko masowe, niemniej istnieje. Cięcia budżetowe nie ominęły MSZ, ale co najbardziej martwi Polaków także resort zdrowia. Min. Ewa Kopacz obiecywała, że pacjentom nie zabierze nawet złotówki, a teraz okazało się, że zabierze 52 mln złotych. Jak wyliczył „Dziennik” (cyt. za „trybuną”) za takie pieniądze możnaby przeszczepić 400 serc, albo przeprowadzić 130 tys. dializ, albo 2 mln 600 tys. pacjentom zapewnić wizytę u specjalistów. W ramach oszczędzania rząd zamierza także ograniczyć dotowanie działalności partii politycznych. Są w tej materii różne koncepcje. Oszczędzać będziemy na wszystkim. Być może tylko nie na płacach i na emeryturach, bo jak powiedział jeden z dziennikarzy „to spowodowałoby spadek popularności rządu”. W czas kryzysu wszystko się jednak zdarzyć może. Z rozmachem planuje się oszczędności, a co z osłonami dla grup społecznych słabszych ekonomicznie i dla ich rodzin?

● W Polsce zbliżamy się szybkim krokiem do wprowadzenia podatku liniowego, choć rządzący uważają, że bezpieczniej jest mówić o obniżeniu podatków. W bieżącym roku większość narodu, w tym szczególnie emeryci i prawie cała budżetówka, w wyniku obniżenia o 1% podatku uzyskała miesięcznie od kilku do kilkunastu złotych większe pensje i świadczenia. Jak ten „zysk” będzie się miał do coraz wyższych rachunków za gaz i energię elektryczną, za żywność i usługi? Jak ten gest państwa w stosunku do ludzi o niewielkich dochodach ma się do 15% obniżki dla ludzi będących w drugiej grupie podatkowej? Czy to jest sprawiedliwe? Słysz się głosy, także wśród ekonomistów, że w czas kryzysu w ogóle nie powinno się tej grupie obniżać podatków.

● Do problemów ekonomicznych dołączyły inne, społecznie bardzo trudne. W resorcie sprawiedliwości nastąpiło trzęsienie ziemi (dymisje) spowodowane samobójstwami kryminalistów odbywających karę więzienia. Na pożarcie, głównie dla zaspokojenia pisowskiej opozycji wystawiono ministra sprawiedliwości pana Zbigniewa Cwiakalskiego, nazywając tę dymisję „honorową”. Trudno mi osądzić jak dalece owa dymisja była zasadna, ale to nie zmienia faktu, że po rządach poprzedniego ministra sprawiedliwości, nowy minister jawił się jako kompetentny, sprawny i bardzo kulturalny. A jak fascynującą miał barwę głosu! Nowy minister p. Andrzej Czuma mimo kombatanckiego, nieposzlakowanego życiorysu, został niewybrednie zaatakowany, głównie przez media. Zarzuca się ministrowi niesolidność w regulowaniu swoich zobowiązań finansowych w czasie wieloletniego pobytu w Stanach Zjednoczonych.

Minister zaprzecza tym oskarżeniom. Czyżby to była klątwa rzucona na Ministerstwo Sprawiedliwości? Aż strach pomyśleć kto mógłby być jej autorem.

● Dwudziesta rocznica obrad Okrągłego Stołu znów podzieliła jej uczestników. Do grona dawnych sceptyków, krytyków dołączyli jeszcze nowi, którzy w tamtych czasach byli jeszcze w przedszkolach i we freblówce lub zgoła zajmowali się czym innym niż polityka. Dziwić musi także postawa prezydenta Lecha Kaczyńskiego i byłego prezydenta Lecha Wałęsy. Obaj nie wzięli udziału w konferencji organizowanego 6 lutego w sejmie, a prezydent Lech Kaczyński na drugi dzień celebrował w Pałacu Prezydenckim własną, można rzec, kontrkonferencję. Mimo iż Europa, a nawet świat docenia znaczenie obrad Okrągłego Stołu czemu dał wyraz na konferencji w Berlinie (9 lutego) szef dyplomacji niemieckiej mówiąc, że „wydarzenie to było trzęsieniem ziemi, które zmieniło nie tylko Polskę, ale Europę a nawet świat”, polscy historycy, publicyści i politycy obecni na konferencji w Pałacu Prezydenckim poddali je totalnej krytyce. Diametralnie inaczej, a więc pozytywnie Okrągły Stół ocenili jej uczestnicy, zarówno ci z ówczesnej opozycji jak i ze strony ówczesnej władzy. Adam Michnik m.in. powiedział: „Okrągły Stół był najbardziej romantyczną operacją polityczną polskiej historii XX wieku”. Aleksander Kwaśniewski nazwał obrady Okrągłego Stołu „pierwszym udanym, bezkrwawym powstaniem narodowym”. Władysław Frasyniuk jest przekonany, że „uczestnicy Okrągłego Stołu powinni przestać się tłumaczyć i przyjąć, że już nikt o zdrowych umysłach nie skrytykuje Okrągłego Stołu”. Zbigniew Bujak zapytany

o to, co było najcenniejszym owocem obrad uznał: „otwarcie drogi do społeczeństwa obywatelskiego”. Ocenę krytyków Okrągłego Stołu najtrafniej sformułował red. W. Dębski („Trybuna” nr 31/2009): „Niech więc sobie różni prawicowi *wizjonerzy* bajdurzą, co chcą, niech tworzą fantastyczną rzeczywistość – dla Polski najważniejsze pozostanie to, co się stało naprawdę. Czyli porozumienie Okrągłego Stołu, wybory czerwcowe, kolejne 20 lat, które Polacy urządzali sobie lepiej lub gorzej, ale jednak w realnym świecie”.

Obserwując rocznicowe wydarzenia w Polsce, mimo woli porównywałam ich atmosferę z atmosferą uroczystości zaprzysiężenia prezydenta USA – Obamy. Uczestniczyli w tej uroczystości wszyscy żyjący poprzedni prezydenci wraz ze swymi małżonkami. Prezydent Obama zapewnił, że będzie korzystał z ich mądrości i doświadczenia. Czy u nas byłoby to możliwe? Chyba nie, chociaż to kraj „cywilizacji białego człowieka”. Zdecydowanie nie miał racji poseł PiS martwiąc się, że nadchodzi „cywilizacja czarnego człowieka”. Ów czarny człowiek – prezydent Obama pokazał klasę i kulturę polityczną. Uczmy się zatem od niego!

● Kobiety czekają na ostateczny kształt ustawy biomedycznej, którą wraz z zespołem przygotowuje poseł Jarosław Gowin. Nie ma się co łudzić, że przyniesie ona postęp w rozwiązaniu problemu walki z bezpłodnością. Nie łudźmy się. Z całą pewnością natomiast zadowoli ona Kościół i prawicowych polityków. Teraz przygotowywana ustawa biomedyczna zająć się także musi eutanazją. Po wyroku sądu włoskiego zezwalającego na przerwanie uprzejmych terapii młodej Włoszki pozostają-

cej kilkanaście lat w śpiączce, w Europie i także w Polsce rozgorzała społeczna dyskusja na temat cywilizacji śmierci. Zdania medyków, filozofów-etyków, jak i zwykłych ludzi są mocno podzielone. Szczególne emocje wzbudzają propozycje formułowania przez ludzi tzw. testamentów życia i śmierci.

● W Polsce w ostatnich latach ujawniono wiele drastycznych, wręcz porażających przypadków znęcania się fizycznego i psychicznego, bicia, nierzadko ze skutkiem śmiertelnym dzieci przez swych rodziców, czy też konkubentów matki lub ojca. Te drastyczne, okrutne przypadki spowodowały, że Rada Ministrów przyjęła projekt ustawy o przeciwdziałaniu przemocy w rodzinie, ustawa zakazuje takich form karcenia, które naruszają godność dzieci i prowadzą do cierpień fizycznych i psychicznych. Klaps wymierzony „swawolnemu Dyziowi” nie narusza jego godności, ani nie powoduje cierpień, o jakich jest mowa w ustawie. Nie wylewajmy zatem dziecka z kąpielą i nie oskarżajmy rodziców o działania niezgodne z ustawą jeśli klapssem uraczą swą latorośl.

● Niestety, znowu w polskich szkołach są przypadki znęcania się młodzieży nad nauczycielami. Ostatnio ujawniony tego typu skandal zdarzył się w szkole zawodowej w Rykach. Ile jest takich skandalicznych zdarzeń? Nauczyciele niechętnie je ujawniają, by nie być posądzonym o to, że nie dają sobie rady z uczniami. Psycholodzy twierdzą, że zło ma początek w rodzinie: rodzice nie znajdują ani w dzieciach, ani w sobie winy. Chętnie za całe zło obwiniają środowisko i szkołę. Przyczyną takiej rodzicielskiej postawy jest nagminny brak

czasu na wychowanie, wygodnictwo, po-
błażliwość, a czasami akceptacja cwaniac-
kiego zachowania. Nie myślą, że kiedyś oni
mogą być ofiarami takich postaw swych
dzieci.

● Najbardziej lapidarna diagnoza sytuacji
polskich pacjentów sformułowana przez p.
minister Ewę Kopacz: „Kolejki do specja-
listów są długie, bo wzrosła świadomość
pacjentów i wszyscy chcą się leczyć”. To
jest zwykła kpina!

● Były premier rządu polskiego p. Kazi-
mierz Marcinkiewicz zaskoczył swych
bliskich i swych politycznych przyjaciół.
Zakochał się i ani myśli z tej miłości zre-
zygnować zdradzając w ten sposób nie tyl-
ko rodzinę, ale wyznawany do tej pory sys-
tem wartości. Dziennikarze i politycy mają
wdzięczny temat zastępczy, a społeczeń-
stwo fundowany przez media spektakl
przypominający brazylijski serial. Gdy słu-
cham z jakim zainteresowaniem i jak do-
ciekliwie dziennikarze i różni telewizyjni
gości roztrząsają ten miłosny przypadek,
to przypomina mi się pewna pani, która tak
określiła swe czytelnicze zainteresowania:
„Bardzo lubię książki, w których bogate lu-
dzie się kochają”. Wprawdzie były premier
nie jest krezusem, ale jak sam przyznał, żyje
mu się dobrze i jego dziewczynie też.

Panie i Panowie! Zostawcie w spokoju
p. Kazimierza, przecież „każdemu wolno
kochać – to miłości takie prawo” – śpiewał
niegdyś Aleksander Żabczyński. Eks pre-
mierowi też wolno.

● W Pakistanie zginął polski inżynier Piotr
Stańczyk zamordowany przez talibów. Za-
bito w bestialski sposób niewinnego czło-
wieka. Czy tak samo uważają talibowie?

Niezależnie od politycznych, ekonomicz-
nych motywów, dla talibów prawdopodobnie
miał znaczenie fakt, że zabili człowieka
pochodzącego z narodu, który okupuje
Afganistan. O tym powinniśmy pamiętać
szczególnie z uwagi na naszą niedawną tra-
giczną przeszłość. Coraz bardziej tracimy
sympatię narodów Azji. W Iraku już nie
jesteśmy postrzegani jako sympatyczny
naród – naród budowniczych, lecz naród
okupantów. Nasze racje i ich racje są roz-
bieżne. Ktoś z rozmówców telewizyjnych
nie bez racji powiedział, że bezpieczny
świat kurczy się dla Polaków. Musimy
ostrożnie w pewnych rejonach świata pro-
wadzić swe interesy gospodarcze, nauko-
we i turystyczne. Taka jest ocena naszego
udziału w misjach pokojowych na świecie.
Niezależnie od tego jak bardzo byłyby szla-
chetne nasze intencje.

● W środę 11 lutego tego roku w krakow-
skiej „Kuźnicy” odbył się wieczór wspo-
mnień poświęcony pamięci Mieczysławowi
Rakowskiemu. Był Rakowski wielokrotnie
gościem „Kuźnicy” – na spotkania z nim
zawsze przychodziły tłumy spodziewając
się, nie bez racji, interesujących rozmów
z gościem. Wspominali M. Rakowskiego
– b. premiera, polityka i dziennikarza daw-
ni jego współpracownicy i przyjaciele jak
np. prezes krakowskiej „Kuźnicy” prof.
Hieronim Kubiak, doc. Andrzej Kurz,
red. Daniel Passent, prof. Bolesław Faron,
red. “Zdania” Edward Chudziński oraz inni
uczestnicy spotkania. W świetle ich wy-
powiedzi Mieczysław Rakowski jawił się
jako człowiek niezwykle pracowity, zdolny,
bardzo ambitny, ideowy. Jego bardzo cha-
rakterystyczną cechą (wszyscy uczestni-
cy spotkania ją podkreślali), była ogrom-
na lojalność wobec współpracowników,

przyjaciół i zwierzchników. Współczesna Polska zawdzięcza mu jako premierowi, o czym się chętnie zapomina, ustawę o wolności gospodarczej, która dała początek przemianom społeczno-gospodarczym w kraju, wymienialność złotówki (kantory), ułatwienia paszportowe i inne ułatwiające rozwój kraju. Był M. Rakowski w każdym calu europejskim socjaldemokratą. Jak powiedział Andrzej Kurz: „symbolem PRL – symbolem tego wszystkiego, co było w PRL najlepsze, najwartościowsze”.

Uczestnicy spotkania wysłuchali także fragmentu nagranych przez red. E. Chudzińskiego wywiadu z M. Rakowskim. To bardzo wzruszające słyszeć głos człowieka, który jeszcze tak niedawno był wśród nas żywy. □



Marzanna Fiałkowska-Pyzowska

Łóżko w chmurach

W naszym łóżku
stawałam się rzeką
szepczącą Ci najintymniejsze...
ptakiem wrywającym puch
z piersi by wymościć gniazdo
dzikim stepem który ujarzmiłeś
dotykem twych silnych ramion

Po rozstaniu jakiś czas
tuliłam się do kwiatów które
w łóżku wyrastały nocą
z bólu jak moje ciało

W końcu wyrzuciłam
ten stary mebel
by już przestać wspominać

Teraz

nasze łóżko na śmietniku
marzy o miłości

Kraków 2009



STEFAN BERDAK, rysunek

■ Historycy fałszują przeszłość, ideolodzy – przyszłość.

Charles de Talleyrand-Périgord

■ Polityka podobna jest do legendarnego sfinksa: pożera wszystkich, którzy nie odgadną jej zagadek.

Antoni Rivarol

■ Najczystsze wino leją nam politycy. Bez domieszki prawdy.

Gabriel Laub

■ Obelgi to argumenty tych, którzy nie mają argumentów.

Jean Jacques Rousseau

Tylko mali ludzie boją się o prestiż, wielcy go mają.

Karol Čapek

■ Z wszystkich siedmiu grzechów głównych najłatwiej można wybaczyć lenistwo i obżarstwo, a najwięcej szkód i nieszczęść, zbrodni i wojen, jak sobie wyobrażam, powoduje zawiść.

Leszek Kołakowski

■ To zdumiewające, że bogactwo ludzi Kościoła wzięło swój początek od zasady ubóstwa.

Andrzej Majewski

■ Sumienie nie powstrzymuje od grzechów, przeszkadza tylko cieszyć się nimi.

Jean Cocteau

■ Rasowy mężczyzna jest drapieżnikiem, który ściga tylko wielką zwierzynę – władzę lub kobietę.

Benjamin Disraeli

■ Bez magii świat nie byłby do zniesienia.

Hermann Hesse

■ Kłamać nie wolno, ale nie zawsze trzeba całą prawdę mówić.

Seneka

■ Ludzie głęboko inteligentni nigdy nie bywają dobrymi mężami – po prostu nie żenią się.

Henry de Montherlant

Wybrała: Czesława Jolanta Kotarba



ISSN 1507-4781



977150744780051



STEFAN BERDAK, *Głowa głowie nie równa*, olej, płótno, 70x50cm